



WE CZWORO

PRZEZ

ESTEJĘ i WŁAŚC.



WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy-Świat Nr. 41.

WE CZWORO.

Wę czworo

przez

ESTEJĘ i WŁASTĘ.



WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA

Nowy-Świat Nr. 41.

Zbiory specjalne



92440

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Января 1892 года.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Estetyka. — We czworo.

1

K-41/79/98821

Z KSIĘGOZBIORU
Argumento Saloniego

Nr. _____



Księżna Zofia do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

...Te kilka kropek niech zastąpią tytuł, jaki się z méj strony hrabiemu, panu, czy téż kuzynowi, należy. Namyslałam się długo, jak mam pana tytułować: „Szanowny Panie Hrabio?”—to jakoś dziwnie brzmi między nami: „Kochany Kuzynie?” — nie wiem, czy wypada, tak się mało znamy. Polegać będę w dalszym ciągu na intuicji pióra, a także na wyrozumiałości pana. Jakkolwiek zresztą pana nazwę, przyjaźń i wdzięczność jaką mam dla niego, nie na wyborze tytułu nie straci.

Przedewszystkiém dzięki składam łaskawemu kuzynowi za tak serdeczne zajęcie się mojemi interesami. Nie wątpię na chwilę, że najlepiej wyjdę na tém, jeżeli z bezgraniczném zaufaniem oddam hrabiemu wszelkie sprawy, dotyczące majątków, jakie mi ś. p. mąż mój zostawił. Wiem z ust biednego Henryka, jak bardzo cenił pana i jak zupełnie na zdaniu jego polegał. Byliście najlepszymi przyjaciółmi, najbliższymi krewnymi, a przywiązanie, jakie was łączyło, tak miłe zawsze robiło na mnie wra-

zenie, że po śmierci biednego Henryka, jest to największą pociechą dla mnie do pana się zwracać. Pana wskazówki i rady będą dla mnie równie nieomylnymi, jak rady, których mi kiedyś mąż mój udzielał. Prosiłabym hrabiego o nieskąpienie mi nawet nagany, gdy jój będzie potrzeba, nawet bury, gdybym nie obawiała się trudzić cię, kuzynie, memi osobistemi sprawami. Jednego tylko odżalować nie mogę, czemu nie było nam daném bliżej się poznać za życia Henryka? Tyle razy oczekiwaliśmy pana oboje, w czasie podróży naszej po Szwajcaryi. Dla mnie byłeś, hrabio, owym „mytem” niepochwytym, o którym ciągle się słyzy, ale nigdy go spotkać nie można. Pamiętam ową chwilę, kiedy w Genewie, w hotelu przy *table d'hôte*, pierwszy raz rękę pana uścisnęłam. Smutny byłeś, kuzynie, dnia tego i później. Pamiętam twoje pierwsze słowa: „Czy się księżna nie boi, abym moją powagą nie zaemił wesółych chwil jój podróży poślubnej?” Otóż przyznaję, że się tego obawiałam trochę, bo nie umiałam śmiać się i być swobodną wobec żaloby pana. Rozumiałam, że po śmierci ukochanej matki nie możesz być wesóło usposobionym, kuzynie, ale taką byłam egoistką wtedy! Chciałam się tylko śmiać i bawić, bo tak mi było dobrze na świecie przy Henryku. Trzpiotowatą musiałam ci się wydać; nie rozumiałeś pewnie, jak się mógł brat twój cioteczny zakochać we mnie dość poważnie, aby się nie bać dozgonnych węzłów. Niedługo trwały te węzły...

...Wszystko się teraz zmieniło.

Przebac mi kuzynie, te przydługie wspomnienia moje, ale ty jeden bliski zostałeś z rodziny mego, a mnie tak bardzo, tak koniecznie potrzeba, nietylko już myśleć, ale i mówić o nim. Ty jeden znałeś go i oceniałeś tak, jak ja go oceniałam; ty jeden pojdziesz żal mój wielki po stracie najlepszego mego — przyjaciela. Lepiej może, że pierwszy mój list do ciebie przelamuje odrazu lody, kochany kuzynie.

To, co mi donosisz o losach Bereszkowic, majątku mego nad Wartą, jest ujęte w tak lakoniczne, czysto urzędowe formy, że gdyby nie dobroć hrabiego, iż się tém trudzić raczysz, byłabym odczuła może pewien żal do niego za tę etykietalną odezwę.

Mam nadzieję, że moim długim listem zechcę pana do odpłacania mi równą monetą. Liczę, że prędko powitam hrabiego u siebie, a wtedy przestanie mnie jako obcą uważać. Mąż mój wybrał pana za opiekuna mego. Myślę, że łaskawy mój kuzyn nietylko ze względu czysto materyalnego z zadania swego wywiązać się raczy. Z zaufaniem w każdą sprawę chce się do niego udawać. Polecam się pamięci hrabiego, łącząc serdeczne uściśnienie ręki

Zofia Hońska.

Hrabia Andrzej do księżnej Zofii.

Wyszomir, d...

Szukasz łaskawa księżno, odpowiedniego tytułu, którymbyś mnie nazwać mogła. Nie szukaj długo, nazywaj mnie, jak ci się podoba, jak ci instynkt poddyktuje. O jedno tylko proszę, uważaj mnie zawsze za brata. Wszakże Henryk był dla mnie od dzieciństwa bratem najczulszym, a jako wybrana jego serca, czyś się, księżno, dla mnie siostrą nie stała? Przyjaźni braterskiej od kuzynki wymagać jeszcze nie śmiem, bo na to (jak sama mówisz) zamało się znamy. O zaufanie siostry tylko proszę — proszę o nie w imieniu Henryka. Biedny Henryk, naznaczając mnie opiekunem swój żony, dał mi przez to ostatni, wielki dowód swój przyjaźni. Mojm zadaniem będzie teraz tej przyjaźni okazać się godnym. Księżno kochana, ty mi w tém zadaniu, w spełnianiu wszystkich życzeń naszego Henryka, swój pomocy nie odmówisz, nieprawdaż? Gdy cię, kuzynko, po raz pierwszy, wówczas, w Genewie, poznałem, wydałaś mi się — niech cię to nie obraża — wielkiem, wielkiem... dzieckiem! Ale dzieci na kobiety wyrastają, a dojrzewają one najprędzej pod ostrym powiewem nieszczęścia. Gdy cię, kuzynko, po raz drugi spotkałam, zaraz po śmierci Henryka, w twój ciężkiej, za obnej szacie, już dzieckiem, motylkiem, promy-

kien majowego słońca nie byłaś; byłaś kobietą i do tej to właśnie kobiety udaję się dziś w ważnej sprawie.

Wspominasz księżno w swym liście o Bereszkowcach; majątek ten bezwarunkowo sprzedanym być musi. Przeczuję, że odczytując te słowa, zawołasz z oburzeniem: „Ślicznie ten miły kuzynek swą administracyę zaczyna!” — i żal okropny za pięknymi Bereszkowcami, za parkiem i ślicznym pałacykiem nad Wartą, serce twe ściśnie. Ale kuzynko, .cobyś powiedziała, gdyby pięknego poranku żyd, lub niemiec, w starym Hońskim zamczysku się rozgościł? A tu wyboru niema: albo Bereszkowce przestaną być wiosenną ulubioną rezydentą księżny, albo... ale o tej drugiej alternatywie wspominać mi nawet straszno!... Henryk Hońsk tak kochał! Szanował on tak święcie wszystkie jego pamiątki! Każdy kamień tego rodzowego gniazda był mu drogim!... Pamiętam, gdyśmy jeszcze chłopakami w bluzkach byli, jak nas moja biedna matka po starym pałacu oprowadzała, jak nam poważnie, uroczyście prawie, wszystkie jego tradycye opowiadała. Ale, gdybym wszystkie opowiadania mojej biednej matki o jój ukochanym Hońsku przytaczać zaczął, końca-by temu nie było, a kończyć muszę, bo interes pilny i list ten dziś jeszcze wyjść powinien. Rozpisałem się i rozmarzyłem, jak stary dziwak, a jak stary dystrakt nie powiedziałem księżnie głównej przyczyny, dla której jeden z dwóch większych jój majątków sprzedanym

być musi: Henryk, kuzynko, zostawił po sobie długi, nie swoje, ale jeszcze nieboszczyka ojca swego, który, jak to kuzynce wiadomo, za granicą *grand train* prowadził. Długi te spleconemi być muszą. Hońsk zaś sprzedanym być nie powinien. Zresztą, zostawiam to decyzji kuzynki, księżna jesteś panią swęj woli, ja jęj doradzcą, administratorem tylko. Jako taki, składam księżnie wyrazy głębokiego uszanowania, choć śmiem przytém prosić, aby mi od dnia dzisiejszego wolno było rączki jęj po bratersku ucałować.

Andrzej Gasztold.

Jak się miewa matka Henryka, biedna, stara księżna?

Księżna Zofia do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Sprzedać Bereszkowce? Kuzynie drogi, czy się doprawdy bez tego obejść nie można? Ta myśl jest poprostu okropną dla mnie. Wspominasz hrabio z takim naciskiem o pamiątkach, wiążących cię z Hońskiem i zupełnie podzielam twe zdanie, Hońsk sprzedanym być nie może, to byłoby zbrodnią. Ale czy to nie jest łatwém do pojęcia, że o ile dla hrabiego najdawniejsze rodowe wspomnienia łączą się z tęp dawném gniazdem, o tyle dla mnie nie było milszego zakątka na ziemi od Bereszkowic. Co tu

począć? Czy niema jakiej pośredniej drogi wyjścia? Naturalnie, że długi ojca mego męża, muszą być splecone, to nie ulega wątpliwości. Ale czy nie można by uregulować tych wszystkich zawikłanych interesów, pozbywając się pewnej części folwarków, należących do Bereszkowic, byle zachować mój pałacyk ukochany i kościół, w którym się pierwszy raz, jako małeńka dziewczynka, modliłam i groby familijne, gdzie spoczywają ciała rodziców moich? Przyznaję otwarcie hrabiemu, że myśl odstąpienia Bereszkowic obcym ludziom jest mi zanadto przykłą. To znaczny klucz przecie! Niech pan sprzedaje wszystko, byle uratować pamiątki; te są dla mnie równie drogiemi, jak Hońsk, z którym także za nic w świecie rozstaćbym się nie chciała.

Widzę zachmurzone czoło pana i także zdaje mi się, że myśli jego odgadnąć potrafię: „A to mi satysfakcyja z kobietami; niedosyć trudów moich, zamiast podziękować, dręczą jeszcze!” Ale przecież nie weźmiesz próśby mojęj za sentymentalną, bo wtedy cóżbym ja powiedziéć miała o szczegółach, jakie kochany kuzyn *à propos* Hońska przytaczasz?

Wiesz hrabio, że ta nasza dzisiejsza korespondencyja wygląda mi na rozprawę ludzi z innego wieku, z innego społeczeństwa. I my, którzyśmy połowę życia naszego za granicą spędzili, sprzeczamy się o co? O sprzedaż rodzinnego gniazda! Ty nie chcesz i ja nie chcę... Bardzo nam się to chwali; ale

bodaj czyby cała falanga demokratyczno-postępowa potrafiła uwierzyć temu, a szczególnie czyby wierzyć chciała? My „kosmopolici”, zacofańcy, według większości głosów „postępowych”, tylko tracić umiemy, a nie więcej dbamy o ziemię naszą, jak o sprzedaż gruntów na Kongo... Chociaż mam bardzo wiele do zarzucenia „postępowym” braciom naszym — choćby to jedno, że są bajecznie zacofani w uprzedzeniach swoich, jednak przyznać im trzeba, że sfera nasza dała im nieraz powód do obwinienia o kosmopolityzm. Bo w sferze naszej przedewszystkiem ukrywamy bacznie jedni przed drugimi to, co w nas tkwi dobrego — *c'est chic* pozować na gorszych, niż jesteśmy — i wierzą nam na słowo i mamy reputację!... Boże! jakąż my mamy reputację!... Darmozjadów, wilkołaków, dziwolągów — strach pomysłu! Więc, choć to jakoś i do mojej światowej powłoki nie przystaje, błagam cię, kuzynie, ratuj Bereszkowce, choćby dlatego, aby mnie w moich stronach nie kamienowano, że „ojcowiznę marnuję za granicą”. Bo ty wiesz przecie, hrabio kochany, że „demokracji postępowej” wolno majątek sprzedąć dla ratowania innego, to nie grzech; ale nam, „kosmopolitom”, nie wolno; nikomu na myśl nie przyjdzie obronić nas dobrą słowem. Każda sprzedaż nazywać się będzie w kraju „marnotrawstwem”, choćby konieczną rację bytu miała.

Ale już dosyć o téj sprawie. Taką jestem poważną, że aż sobie samą imponuję. Czy przez sug-

gestyę nie chcesz mnie, kuzynie, zarazić swoją powagą? Z góry uprzedzam, że to ci się nie uda. Iluzjami bawisz się, kochany hrabio, co do mnie. Domyślasz się dziś we mnie „kobiety”, a sam nacisk, jaki kładziesz na to słowo, a także pojęcie, jakie sobie o panu wyrobiłam, każe mi przypuszczać, że pod mianem „kobiety” wyobrazasz sobie coś bardzo idealnego, wzniosłego, rzadkiego. Dzieci, wietrznie, pustych głów, pustych sere, choćby w najpiękniejszym kobiecym ciele, pewno nie zaszczytasz nazwą, która, według ciebie, powinna wszystkie zalety mieścić w sobie. A więc wstrzymaj się w sądzie swoim o mnie. We mnie jeszcze bardzo dużo dziecka, bardzo pusto nieraz w głowie, a tak bardzo pusto czasem i w sercu. To tylko, gdy się do pana, poważny mentorze, odzywam, w takie uroczyste i pełne godności szaty się przystrajam. Uprzedzam cię więc z góry, kuzynie kochany, że pstrocizna bawi mnie także, uprzedzam cię, aby czasem rozezarowania nie było. Bo widzisz, rządę się zasadą, że lepiej nie oczarowywać, niż później rozezarowywać.

Odczytuję list mój, przerwany wpadnięciem roztrzępanej Izy — gorsza od hordy Tatarów ta dziewczyna! Odczytuję — i widzę, że ostatnie zdanie należałoby wykreślić. Ale po namyśle zostawiam. Talleyrand powiedział: *„Il faut se défier du premier mouvement, parce qu'il est le plus souvent honnête”*. Ja stanowczo oburzam się na to szkaradne zdanie; ja

cała jestem oddana pierwszemu wrażeniu. Nie cierpię nieufności... choćby do siebie saméj, więc idę za pierwszym popędem i przedstawiam się panu taką, jaką jestem — i nie wykreślam.

Więc pan się nazywasz starym dziwakiem? No, no, czy tu czasem niéma trochę hipokryzyi? Przypuśćmy, że się nieco zdziwaczało i słusznie, bo nikomu bezkarnie od ludzi uciekać nie wolno, ale z kąd ta pretensya do starości? Może żeby mnie za imponować? Niestety, ja liczyć umiem, choć nieświetnie, bo z po za czterech działań nigdy wybrnąć nie mogłam, ale dostatecznie, aby wiedziéć, że skoro ja mam lat 25, to pan, będąc o 10 lat starszym ode mnie, stu lat mieć nie możesz. Mniejsza z tém; jeżeli o téj starości wspominasz, kuzynie, z intencją, aby się w mych oczach aureolą otoczyć i wpłynąć na obudzenie we mnie posłuszeństwa, uległości, cierpliwości, wogóle cnót, jakich dotąd nie posiadałam; jeżeli taką była intencya twoja, to dajmy na to, że ja nic nie zmiarkowałam i że obiecuję posłuszeństwo, uległość, cierpliwość, dopóty, dopóki nie zażadasz ode mnie zgody na sprzedaż Bereszkowic i zgody na wiele innych rzeczy jeszcze (*il faut laisser une porte au salut*). Najpierw *à propos* Bereszkowic. Iza, siostra moja, wołałaby, jak mi to sama oświadczyła, w zastaw staremu żydowi się sprzedać, niż zgodzić się na oglądanie obcych figur w naszym starém gnieździe, albo na nieoglądanie więcej gniazda tego.

Pan nie znasz Izy! To straszne dziecko! Ogień, huragan, nawałnica, są niczem w porównaniu z Izą, gdy się rozgniewa. Ale ja nie chcę, abyś ję się pan obawiał po za obrębem kwestyi bereszkowickiej i na uspokojenie powiem panu, że Izę, gdyby nie była siostrą moją nazwałabym perłą najczystszej wody. To moja дума, to mój cel w życiu.

Hola, hola! Zaczynam być poetyczną, a to nie moja rola stanowczo. Ale gdybyś pan Izę widział!.. jużbyś się niczemu nie dziwił. Czy pamiętasz, hrabio, ową miniaturę matki mojej, z czasów, kiedy była młodą panienką? Otóż przyznałeś, że piękniejszej twarzy, o idealniejszym wyrazie, nie zdarzyło ci się spotkać. Cheiałeś mnie komplementem uraczyć przy téj sposobności i dodałeś, że jestem bardzo do mamy podobną. To był komplement, ale za to owa miniatura, to portret Izy. Jak się te idealne, rozmarzone, prawie smutne oczy, mogą zamieniać, przy każdej sposobności, w takie tryskające życiem i figlarnością spojrzenie, tego sama nie pojmuję. Ale bo téż nie widziałam osoby, wpadającej tak łatwo z zadumania i rozmarzenia w wesołość i pustotę dziecinną. Otóż i rozgawędziłam się, jak jaka stara kokosz, pisklę swoje chwalać.

Gwałt kończyć! Nie sprzedawaj hrabio Bereszkowic, Iza-by płakała, a żalby ci było jęj oczu.

Shake-hands serdeczne łączę.

Zofia.

Hrabia Andrzej do Księżny Zofii.

Wyszomir, d...

Odgadłaś kuzynko, twierdząc, że twój opiekun pod słowem „kobieta” istotę wyższą rozumie, ale daremnie żądasz, abym cię do kategorii tych istot nie zaliczał. Mów, co chcesz księżno kochana, nazywaj siebie dzieckiem bez serca i głowy, maluj siebie w jakich chcesz, czarnych lub pstrych, przez cię ulubionych kolorach, ja zawsze pod tą karnawałową sukienką duszę kobiecą odkryję, a w tej duszy będzie iskra tego, co właściwą naturę kobiety tworzy, to jest *poświęcenie*. Ja z Hamletem nie wołam: „*Frailty, thy name is woman!*” — bo miałem świętą matkę i przez pamięć dla niej, w każdej kobiecie zawsze coś świętego widzę. Widzę w niej i poznaję to, co ją wyżej od nas, mężczyzn, stawia, a mianowicie potrzebę, chęć poświęcenia się dla swych ukochanych. Uczucie to bywa u jednych mniej, u drugich więcej, u trzecich zupełnie nie rozwinięte, ale tkwi ono zawsze w sercu kobiety i trzeba umieć tylko do tego serca trafić, aby tę iskrę w niem rozdmuchać. Ja np. znałbym sposób, którymbym księżnę nieomylnie do sprzedania Bereszkowic doprowadził. Gdybym ci powiedział: „kuzynko, zrób to dla Henryka, poświęć swe ukochane Bereszkowce, jego pamięci”, to pewny jestem, że księżna-bys się ani chwili nie

zawahała i gorzki ten kielich do dna wychyliła, a wychyliłabyś go z uśmiechem, bo taka to już wazna natura kobieca, że w każdym poświęceniu pewną rozkosz znaleźć potraficie. Jednak będzie to, myślę, pociechą dla cię, kuzynko, gdy ci powiem, że Bereszkowce sprzedane nie będą, lub raczej, że postaram się wszelkimi możliwymi siłami, aby sprzedane nie były. A co, tryumfujesz księżno?! Tryumfuj, jeżeli ci to satysfakcyę sprawia! Zwycięzony jestem, to prawda, ale nie tyś, kuzynko, nie twa wymowa, nie myśl gniewu tej strasznej, nieznaniej mi panny Izy, mnie zwyciężyła! Poddaję się nie tobie, księżno, ale idei, którą tak pięknie wygłaszasz. Idea ta jest również moją, jak twoją. Dobrze mówisz, kochana kuzynko: owi butni „pseudo-postępowcy”, ze swoją pochodnią pseudo-oświaty, coraz więcej nas nacierają; radziłyby tym swoim kagankiem stare nasze gniazda podpalać. Oddali nam jednak tę przysługę, że więcej się dziś nad sobą zastanawiamy, częściej podajemy sobie ręce.

Trudna, ciężka to będzie sprawa interesami tak pokierować, aby znaleźć kupca na Bereszkowickie folwarki, same Bereszkowce sobie zostawiając. Trudniej jeszcze będzie potem, z dochodów jednej wioski tylko, pałac i park utrzymać. Wszystko to nie arcy-miłe, ale zawsze mniej groźne od zastawienia u staro-żyda owiej pięknej ukochanej siostrzyczki księżny!

Ach, starzy żydzi! Będę ja teraz miał z nimi

do czynienia! Jutro już zapewne w moją kupiecko-administratorską podróż się puszcze. Na szczęście, mam kilka dobrych książek na drogę, między innymi: „*Dans le ciel et sur la terre*” Flammariona, którą księżnie polecam. Ale prawda! nie wiem nawet, czy się kuzynka astronomią interesuje! Ja, jako pustelnik, tój najwspanialszój z nauk całą duszą się oddaję, choć teraz coraz mniej mam czasu z gwiazdami rozmawiać.

Ale i z tobą (powiedziałbym: „gwiazdo ziemska”, gdybym się nie bał być „*fadasse*”), kuzynko, zadługo już gawędzę. Odkładam zatem na raz drugi wypowiedzenie ci, księżno kochana, zdania mego o Talleyrandzie i o pewnej mojej znajomój, którą pstrocizna bawi, którój podobno czasem w głowie pusto, w co nie wierzę, która chce ze swego starego opiekuna młodzieniaszka zrobić, etc. etc. i rączki którój po bratersku całuję, choć mi na to jeszcze pozwolenia nie dała. Po powrocie z mego bereszkowickiego objazdu, mam zamiar na dni kilka pojechać do Wiednia; może masz, kuzynko, jakie sprawunki, lub polecenia, jestem zawsze na twe rozkazy. List swój przysły proszę jednak jeszcze tu adresować.

Sereu starój księżny się polecam i ręce jój całuję. Do widzenia, kuzynko kochana, proszę nie zapominać o

A. Gasztoldzie.

Księżna Zofia do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Kochany Kuzynie!

Fatalnie jestem dziś usposobiona i do listu siadać nie powinnam, a to, że pisać muszę, więcój mi jeszcze humor psuje.

Nieznośna jest ta kwestya bereszkowicka; żałuję, że zbyt żywo wzięłam ją do serca. Czuję, że hrabia niekontent, radby się może pozbyć ciężaru. Więc rób, jak chcesz, kuzynie, sprzedawaj, nie sprzedawaj, kupuj, zastawiaj, pał, ocalał — zostawiam to fantazyi twojój; ale nic mi o tém nie wspominaj, bo mnie to irytuje.

Wyobraź sobie, panie Andrzeju, czy to nie jest prawdziwém utrapieniem — Iza wyjeżdża. Opuszcza mnie na kilka tygodni, a może i na zimę całą. Mizerna była, cierpiała na częste bóle głowy, poradziłam się o nią doktorów. Nasz miejscowy eskulap wysłał ją za granicę, trochę dla rozrywki, a także, aby się powag lekarskich poradzić, czy nie lepiej byłoby spędzić zimę w łagodniejszym klimacie.

Iza tak ochoczo chwyciła się tój myśli, że nie mam odwagi jój perswadować; témbardziej, że trochę niespokojna jestem o nią. Ale co ja bez niój pocznę? Mów, co chcesz, hrabio, o poświęceniu; entuzjazmuj się nad naszą wyższością; wszystko to



brzmi pięknie i ja to w teorii lubię, ale w praktyce inaczej się rzeczy przedstawiają. Powiedz mi, co ja tu pocznę bez Izy? A potem, nie będę miała chwili spokoju o nią, bo sama jej towarzyszyć nie mogę, więc pojedzie pod opieką cioci Melci Szowińskiej, wiecznie gotowej do łjazdy, która, jak *deus ex machina*, zjawiła się w Hońsku, właśnie w chwili układania planów na tę wycieczkę i natychmiast ofiarowała się jako opiekunka. Iza to z entuzjazmem przyjęła, bo dla niej ciocia Melcia — to egida wolności i ja milcząc muszę.

Ciocia Melcia, to okaz. Wyobraź sobie, kuzynie, otyłą, okrągłą, pulchną figurkę, ruchliwą jak *perpetuum mobile*; gadatliwą, jak wszystkie wróble razem wzięte, głośną jak fanfara wojskowa. Wszędzie jej pełno, wszędzie ją widać! Tańczy jeździe i flirtuje, choć ma przeszło 50 lat; bardzo lubi protegować młode pokolenie i konkurentami swoich faworytek dumna, jakby się o jej rękę starali. Z tym wszystkim, najlepsza kobieta i kocha Izę więcej, niżbym tego pragnęła. Iza się nią bawi, jak najlepszą komedią i wbiła sobie w głowę, że z nią, a nie z kim innym pojedzie. Gdybym ja choć trochę powagi mieć mogła! Gdzietam! Na moje perswazyje, Iza odpowiada: „Jedź z nami“. Nie mogę, matki Henryka nie opuszczę, toby sensu nie miało.

— Możeby i nie miało — odpowiada Iza — ale że to tenże sam sens dyktuje, że ja jechać muszę, skoro mi doktorzy każą. Skoro jechać muszę, to

pojadę *tylko* z ciocią Melcią i radzić się będę doktorów wiedeńskich, a nie innych!

— Czemu wiedeńskich?

— Bo mam do nich najwięcej zaufania.

— Mów poważnie Izo; ty wiecznie żartujesz.

— Tak dalece mówię poważnie, że w chwili ślubu poważniej księdzu odpowiadać nie będę. Chcę być w Wiedniu teraz — właśnie teraz. Nietylko że się doktorów poradzę, ale w dodatku poznam tego mitycznego hrabiego Andrzeja. On mnie zaciękuje. To musi być świetny typ średniowieczny. Teraz, kiedy wszyscy wszędzie jeżdżą, tak samo się ubierają, tak samo widzą i to samo czytają, tacy wszyscy podobni do siebie, że mnie to nudzić zaczyna.

Słyszysz, panie Andrzeju? Ja, Izę, tego trzymiela młodego, nudzić to zaczyna i dlatego jedzie oglądać... ciebie, hrabio! Co pan na to? Bo ja zostałam bez odpowiedzi na taki argument. Daremnie jej tłómaczę, że pan sam przyjedziesz. „Nie wierzę; mityczne postacie wizyt nie składają — *c'est trop banal*; hrabia Andrzej nie spospolituje się do tego stopnia, aby z kufrem, jak zwyczajny śmiertelnik, do Hońska miał przyjeżdżać. To widocznie rycerz, który nie lubi odchyłać przyłbicy. Otóż, ja pojedę w oczy mu zajrzeć, rzucę mu rękawicę, pokonam i związanego niewolnika rzucę u stóp twoich”.

Co pan na to? Bo mnie rozpacz ogarnia, że Iza

jest tak źle wychowana. Nie dziw się kuzynie, że ci o tém piszę, ale spotkanie między wami jest prawie nieuniknione, więc wolę cię przygotować na niekonsekwencye tego dziecka. Nie chcę, abyś się do niej zrażał, wolę cię z góry prosić o wiele pobłażania i względności. *C'est une enfant terrible*, ale ona temu nie winna, bez rodziców wychowana, delikatnego zdrowia, a taka miła, tak umie za serce chwycić, że wszystko było jęj wolno, psutęj na każdym kroku, przedewszystkiem przezemnie. Więc ja też odpowiedzialność na siebie biore; nie mam ani dość silnego charakteru, ani powagi, ani logiki. Iza zresztą ma się za mędrszą odemnie, bo jęj główka przeladowana jest różnemi wiadomościami, tak, że nieraz na uczoną pozuje.

Mam wielkie zaufanie do ciebie, kuzynie, o tém już dziś naturalnie wątpić nie możesz; więc się nie dziw, że z oryginalną prośbą do ciebie wystąpię. Nie pozwól Izie nadwierać sił zbyt forsowném bieganiem po Wiedniu, nakłoń ją do traktowania poważnie tego co doktor każe, a potem... może ci się uda wpłynąć na nią i powstrzymać od jakich niedorzeczności (na które z góry jestem przygotowana), jeżeli sam masz zamiar dłużej w Wiedniu się zatrzymać.

Iza ma wiele *laisser-aller* w swoim zachowaniu, nieżyczliwi mogą to sobie fałszywie tłómaczyć, a tam, gdzie jest tylko dziecinna lekkomyślność, kokieterę

upatrywać. Ona, niestety, nie sobie z opinii ludzkiej nie robi, dowodząc, że to „pusty orzech”. Może ty, hrabio, nauczysz ją, że łupina tego pustego orzecha jest tak twarda, iż uderzając, może rozbić, zniszczyć życie kobiety. Ona mnie nie wierzy...

Piękną rolę naznaczam ci, kuzynie drogi, ale nie wiem dlaczego mam to uczucie, że ty, mentorze, podołasz zadaniu. Chciałeś odemnie polecenia do Wiednia — oto je masz, i piękne! Ale większego dowodu zaufania dać ci nie mogłam.

Co do mnie, czarnemi myślami głowę mam nabita. Obowiązki, które wzięłam na siebie, dręczą mnie; jak do turmy jestem przykuta do nich łańcuchem... własnej woli, jeżeli chcesz; ale nieraz własna wola jest równie silną i trudną do zwalczenia, jak wola cudza; ma się to uczucie, że się jęj *musi* być posłusznym; nie miałyby się spokoju, gdyby się przeciw niej buntować chciało.

Iza dowodzi, że to fantazya. Jeżeli ty fantazyę tę nazywasz poświęceniem, hrabio, to wiedz, że niezawsze z „uśmiechem na ustach” ją spełniam. Wiesz, mości poeto, że zaparcie się siebie, jeżeli się zdarza, to mniej poetycznie wygląda, niż ci się to zdaje?

Więc będziecie się bawić i używać świata bezemnie, szkaradni niewdzięcznicy. Widzę was w operze, widzę w muzeach, widzę na koncertach Straussa. Boże mój! a ja tak Straussa lubię!

Tylko proszę mi Izę krótko trzymać.

Jednak ciekawa to będzie trójka, te trzy typy: ciocia Melcia, Iza i pan. Doprawdy, że trzeba by spektatora, a mnie przeciętną śmiertelniczkę tam nie będzie!

A więc polecam hrabiemu ciocię i jej kasztanowate loczki, i złote binokle, i 20 pudeł, i białego pin czera Mamuta, i—moją uczoną, *esprit fort*, kapryśną, miłą, śliczną, ale często nieznośną siostrzyczkę. Wszystko to wysiądzie w hotelu Imperial. Czy masz, kuzynie, odwagę opiekować się przedstawionemi ci wyżej okazami? Jabym nie miała. Ale od czegoż się jest mężczyzną i *preux chevalier* w dodatku?

Pozdrowienia i serdeczne uściśnienia ręki przesyłam.

Zofia Hońska.

Hrabia Andrzej do Księżny Zofii.

Wyszomir, d...

I ja, łaskawa księżno, dziś fatalnie, fatalniej może od ciebie — usposobiony jestem. Zły jestem okropnie. Przed chwilą, zmokły i zziębnięty, z Bereszkowic do domu powróciłem; w moim gabinecie czekał na mnie twój list ostatni. Spostrzegłszy go pomyślałem sobie: są jeszcze na tym Bożym świecie niektóre miłe rzeczy i osoby! — i usiadłszy w dużym

fotelu, przy kominku, do gawędki z tobą, kuzynko, się zabrałem.

Ale... już pierwsza stronnica twego listu zmroziła mi serce, jak przed chwilą ten deszcz nieznośny ciało mi zmroził. Pomyślałem sobie z goryczą: oto nagroda za twe trudy i kłopoty! Przed paru tygodniami błagano cię o wyratowanie Bereszkowic, teraz ta kwestya księżnę *nudzi!* Teraz, gdy Bereszkowce są wyratowane, jesteś proszony, aby o tém wszystkiém więcej nie wspominać, co delikatnie powiedziane, znaczy: że się natrętnym stałeś! Za to wyższa władza, łaskawie, wspaniałomyślnie, inną ci funkcyę naznacza, a mianowicie urząd, nawpół mentora, nawpół bony! — i to czyj? wielki Boże! Ośmnastoletniej panny — z kaprysami i pięćdziesięcioletniej pani — z pieskami! Nie, doprawdy, kuzynko, zanadto na mnie łaskawa jesteś! Łaskawszą jeszcze od ciebie jest owa panna Iza, która we mnie „bohatera z powieści” widzieć raczy! Niestety! za bohatera wcale się nie uważam i arcy nie po bohatersku wyznaję księżnie, że „*sans peur et sans reproche*” nie jestem, bo się wielu rzeczy, między innymi popsutych panienek, światowych ciotek, rozpieszczonych piesków — boję! Wyznaję także, że do moich zasad należy unikać tego, co mnie straszy, a ponieważ misya, którą mi księżna powierza, jest dla mnie arcyprzerażająca, zatem jak najpiękniej do samych nówek księżny się kłaniam i jaknajpokorniej o zwol-

nienie z honoru szapronowania tych pań proszę. Zresztą, jadę do Wiednia tylko na dni parę, a nawet wcalebym teraz tam nie jechał, gdybym nie był wzwany, jako družba, na ślub mego przyjaciela, Zdzisia S., z tą śliczną Węgiereczką, hrabianką Fasty, którą księżna zapewne w świecie spotykać musiałaś. Rozumne to i dobre stworzonko; pewny jestem, że mego zacnego Zdzisia uszczęśliwić potrafi. On, przeciwny, twierdzi, że gdybym ja jego narzeczonej do ołtarza nie poprowadził, toby szczęście jego zupełnym nie było. Do Wiednia więc na ten akt uroczysty jechać muszę, choć, szczerze mówiąc, wolałbym spokojnie i samotnie, z mojami książkami, teraz w domu siedzieć. Moja ostatnia wyprawa po złote runo, t. j. po kupca na bereszkowickie folwarki, tak mnie zmęczyła, że teraz za spokojem tylko wzdycham. A ty, kuzynko, chciałaś mnie na szapronowanie twych pań skazać! Jedno ci jednak obiecuję, mianowicie, że je odwiedzę; a wiesz, księżno kochana, dlaczego? — dlatego, aby twą siostrę rozczarować i raz na zawsze jej dowieść, że ani „mityczną”, ani „mitologiczną postacią” nie jestem, że, jak każdy inny śmiertelnik, ruszam się, obracam, a nawet z wizytami chodzę. Nie powiem, aby to było dla mnie sposobem najmiłszym spędzania czasu, bo w braku bohatera, „*le sauvage*” zawsze we mnie siedzi. Teraz nawet myśl tego ślubu, tego mnóstwa osób, tego koła tak światowego, zgrozą mnie przejmują. Choć to,

się może, i słusznie, wyda księżnie olbrzymią dozą zarozumiałości, jednak wyznam szczerze, że się zawsze, nie powiem lepszym, ale więcej człowiekiem, *einzeln, als im Gemein*, czuję.

Ot, wiesz co, kuzynko, zamieńmy role: jedź ty do Wiednia z temi paniami, ja w Hońsku zostanę, starą księżny pilnować będę. Będzie to dla mnie prawdziwą rozkoszą, bo za Hońskiem już tak zatęskniłem! Czy nie zgadzasz na ten projekt, kuzynko? Ale gdzie tam! daremnie cię o to pytam! Księżna swych obowiązków nie porzucisz, z pewnością na to poświęcająca się!

Do widzenia, kochana kuzynko, jutro do Wiednia wyjeżdżam i pomimo złego humoru, obiecuję ci być w „Imperial” u pani z loczkami, a nawet... spełnić twe polecenie i przykazać pannie Izie, aby się z nadto zwiedzaniem miasta nie męczyła.

Rączki kuzynki całuję i pozostają pełen uszanowania, ale... nieposłuszny

Andrzej Gasztold.

Księżna Zofia do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Teraz wiem nareszcie, czem jesteś, hrabio kochany, i wiem nawet czém nie jesteś; ale mnie martwi rezultat moich spostrzeżeń.

Jesteś tetrykiem, jesteś gderliwym starym kawa-

lerem, jesteś niedomyślnym, przywiązującym wagę do litery, nie do ducha; mizantropem, pesymistą, bodaj, czy nie fantastykiem nawet.

Nie jesteś psychologiem, nie jesteś uosobieniem rycerskości naszych pradziadów; nie jesteś mnóstwem rzeczy, któremi cię w chwili rozbujania wyobraźni ozdobiłam. Strach, co za rozczarowanie! O ile to jednak zdaleka ludzie lepiej wyglądają, niż zbliska, bo choć ci się nie przyjrzałam, kuzynie, o ile to zewnętrznej strony dotyczy, i nie wiem, czyś zbrzydł czy wyprzystojniał od owego spotkania w Genewie, to dzięki korespondencyi naszej, dajesz mi się coraz lepiej poznać wewnątrznie i to mnie martwi. Może lepiej przestańmy pisywać do siebie? Sprawozdania z zarządu dobrami memi udzielić mi raczysz za pośrednictwem plenipotentą twego, a ja przestanę cię trudzić, o ile to dalszej opieki moralnej i duchowej dotyczy.

A jednak...

A jednak, kuzynie, to być nie może, abys ty rzeczywiście serca był pozbawionym. Jeżeli umiesz sercem stawiać się w cudze położenie — w położenie kobiety, która sobie samą niezawsze radzić umie, a która jest odpowiedzialną za los siostry ukochanej — toś powinien zrozumieć moje obawy, mój wielki niepokój. Nie lubię nie melodramatyzować, dlatego kłopotów moich nie przybieram w tragiczne frazesy; tobie się może żartem wydał i lekkomyślnością nawet

cały mój list ostatni. Jednak między liniami mogłeś tam wyczytać wiele niepokoju, gdybys był psychologiem. A może ja też zanadto od ciebie wymagam; nie znasz mnie bliżej, więc czytasz to, co napisane, głębiej nie sięgając. Zatem, poważnie rzeczy biorąc, powtarzam raz jeszcze, że byłabym ci wdzięczną, gdybys choć z daleka czuwał nad Izą; oprócz mnie, nie ma ona nikogo, a ja? — oprócz ciebie, także nie mam nikogo.

Zdziwiłby się legion moich przyjaciół, gdyby wyczytał powyższe zdanie, ale faktem jest, że nie liczę na nikogo; może dlatego, że w gruncie ducha jestem skryta i z nikim nie zwykłam się dzielić tém, co czasem zaboli; może to dlatego nie znalazłam dłoni, któraby ból goić, lub koić umiała. Licząc na zdanie biednego Henryka, licząc także na intuicyę, na przeczucie, do ciebie, kuzynie, się zwracam, a ty?... Łajesz mnie poprostu, wyśmiewasz, persiflujesz i...

Ale ja, siadając do tego listu, trochę obrażona, bardzo nawet obrażona, chciałam ci proponować przerwanie korespondencyi; chciałam ceremonialnie i zimno wrócić do etykietałnych stosunków, bo to jest fatum. Wszystkiemu winien papier; szukałam małego formatu — wyczerpał się; zaczęłam na dużym — pióro machinalnie zamysła pędzi; już przeskoczyło rowy, kopce, płoty wszystkich możliwych konwenansów — poniosło mnie dalej, wiele dalej, niż miałam zamiar

być poniesioną i nie pozostaje nic, jak puścić cugle tym natrętnym myślom, kiedy ich okiełznać nie umiem.

Czy hrabia myślałeś doprawdy, że mnie już znużyła kwestya Bereszkowie? To być nie może. Jeżeli tak, to wiedz o tém z góry, kuzynie, że gdy raz czego chcę, to wiem, że chcę i dlaczego chcę i *à moins* bardzo ważnego powodu, nie odstępuję od tego, czego chcę. Jeżeli tak sobie na wiwat, zdarzyło mi się lekko i obojętnie sprawę sprzedaży traktować, to jedynie zawdzięczam złemu, a może i dobremu zwyczajowi, jaki mam, że nawet gdy dbam o coś najgoręcej, jeszcze na pozór do tego wagi nie przywiązuję. Tylko ty, kuzynie, który tyle mądrych dzieł czytujesz, powinienes na jakiś czas je porzucić i odcyfrować choćby jedno serce — męzkie, czy kobiece, mniejsza z tém — w ogóle jednak, powinienes nauczyć się nie sądzić z pozorów. Nie zawsze ci, albo „te”, które pięknymi frazesami sypią, zasługują na uznanie, ale też nie zawsze potępiać należy tych, czy „te”, które się śmieją i pozornie wesoło biorą wszystkie sprawy życia, bo nie ci najmniej cierpią, którzy najczęściej uśmiech na twarzy mają.

Ale wszystko to, doprawdy sensu nie ma; kobieca próżność nie powinna mi pozwolić tłómaczyć się i uniewinniać tam, gdzie mnie nie rozumiano, czy też nie starano się zrozumieć.

Krótko i węzłowato mówiąc, o Bereszkowce tak jestem spokojną i tak filozoficznie o nich dziś wspo-

minam, że jestem najgłębiej przekonaną, iż ty, kuzynie, czuwasz nad niemi i że nie będą sprzedane. Gdybym nie miała téj pewności, tobym dziś jeszcze, mimo fatalnej sloty, siadła choćby do „perekładnej” i puściła się w pogoń za kupcami na resztę folwarków, byle... moje groby ocalić. Może to sentymentalne? Nie cierpię sentymentalności.

Swoją drogą, tak mi ciebie żal, biedny panie Andrzeju, gdy pomyślę, co ci kłopotu zrobiłam tym moim pseudo-kaprysem: ratowania miłego mi gniazda. Gdy pomyślę, żeś ziałł i mokł, i w brudnej żydowskiej oberży noce spędzał, aby dogodzić mojej fantazyi, to mnie żal zdejmuję do siebie samój, że nie mam więcej inicjatywy i że sama wszystkiemu zaradzić nie umiem. Jakiem prawem mam mącić życie twoje—a kiedy je lubisz ciche i zamknięte, zkąd do tego przychodzę, aby cię odrywać od twych ulubionych zajęć: książki — nauki? Wszystko to mówię sobie w téj chwili i rozumiem już zły humor twój, i za początek listu cię przepraszam, i odwołuję wszystkie szykany i epitety, zdobiące pierwszą stronę méj misywy, i odwołuję moją prośbę; więcej nawet — nie pozwalałam już panu ani się kępować, ani opiekować Izą, a za to pozwalałam, nietylko ucałować ręce moje (na tę prośbę ze strony hrabiego dawno już chciałam odpowiedzieć), ale pozwalałam lając się nadal i zrędzić i marudzić, byle tylko przyjaźń pana zachować, o którą mi bardzo, ale to bardzo chodzi.

Zofia Hońska.

Hrabia Andrzej do Księżny Zofii.

Wiedeń, Grand Hôtel, d...

Za dobra, za poczciwa jesteś, kuzynko droga. Nazywasz mnie tetrykiem tylko, kiedy poprostu jestem litewskim niedźwiedziem. Imponujesz mi twoją wspaniałomyślnością, księżno kochana, przebaczyłaś ciężkie uderzenie łapy niedźwiedzia; rozumiałaś, że tak on, jak jego prototyp Lafontain'a, z wyższemi, delikatniejszymi istotami obcować nie umie.

Wierz mi, kuzynko, że potrafię jednak żałować za grzechy moje, a choć ciężko i niezgrabnie, potrafię jeszcze uklęknąć u nóg twoich i o zapomnienie cię błagać, bo przebaczyć łatwiej dużo niż zapomnieć. Jeszcze przed odebraniem listu twego czułem, żem zawinił względem ciebie; postępowania mego ja sam sobie darować nie mogę.

Wszakżeś moją siostrą być chciała, a czyż ja z tobą, jak z siostrą postąpiłem? Powinienem był przeczuć szlachetne serce twoje; zamiast tego, szorstkością i egoizmem odpowiedziałem na twoje wezwanie. Zaledwie trochę pracy zadałem sobie, zajmując się materyalnemi interesami twemi, a już zdążyłem pysznić się, jak paw, położonemi zasługami, które tylko w mojej poirytowanej imaginacji istniały. Już miałem czas wylać cię, żeś mi niedość za moje, tak zwane poświęcenie, wdzięczna. Poświęcenie!

Wracam do swego; dla nas mężczyzn, ten wyraz jest „*ein leerer Schall*”. My się ani poświęcić, ani w obcą duszę wniknąć nie potrafimy. Gdyby istniała rzeczpospolita egoistów, sami mężczyźni braliby w nią udział, a ja pewnie mógłbym być prezydentem.

Już to ślicznie sprawiłem się wobec ciebie, kuzynko, tak jestem zawstydzony, że oczu na ciebie nie śmiałybym podnieść. Coby Henryk na to powiedział? On, który w liście swoim, pisanym na dwa tygodnie przed śmiercią, mówił mi: „Ja ci Zosię powierzam — czuwaj nad nią”.

Te słowa Henryka, od chwili w której zawiniłem, księżno, wobec ciebie, ciągle mnie prześladowają, bez przestanku brzmią mi w uszach; dręczą mnie, jak wyrzut sumienia. Poznają dzisiaj doniosłość tych kilku wyrazów, znaczą one: „Toruj jej drogę w życiu, bierz jej smutki na siebie, byle jej ulżyć”. Zrozumiałem słowa te, gdy ci się, kuzynko, skarga z serca wydobyła, że oprócz siostry, nikogo nie masz na świecie; że na mnie jednego, jak na przyjaciela, liczyć raczysz.

Dotąd nie byłem tój przyjaźni godnym, ale teraz starać się będę dowieść ci, że pomimo egoizmu, mizantropii, pesymizmu etc., istnieje we mnie iskra dobrego. Obiecuję ci, kuzynko, raz na zawsze, że tak w zły, jak w dobrej doli, żona Henryka znajdzie we mnie wiernego przyjaciela, prawdziwego brata.

Chciałbym ci tego dowieść, nie słowami, ale czynem. Poprawę moją od tego zaczynam, że wszystkie kłopoty księżnej, co do jej siostry, biorę do serca. Dotąd mimo gorącej chęci, aby się pannie Izie przedstawić, nie miałem sposobności do tego. Te panie ciągle w ruchu; trzy razy byłem u nich w „Imperial” — zawsze daremnie. Karty moje już cały stos formować muszą u nich na stole. Zdaleka tylko przyglądałem się siostrze twojej, kuzynko. Nazajutrz, po przybyciu do Wiednia, byłem w teatrze i w łoży podziwiałem z krzesel pannę Izę. Przyznam szczerze, że nie widzę powodu obaw twoich o nią, księżno kochana. Kwitnąca życiem i weselem, robi mi wrażenie ślicznego, jasnopiórowego ptaszka. Cóż kuzynkę przerażać może w tém szczęśliwém, pełném wdzięku stworzeniu? Bóg nad ptaszkami i nad takimi, jak panna Iza, dziećmi czuwa; ptaki od burzy, dzieci od nieszczęścia chroni — jedne, jak drugie, walki i cierpienia-by nie zniosły. Jedne dla słońca, drugie dla szczęścia stworzone.

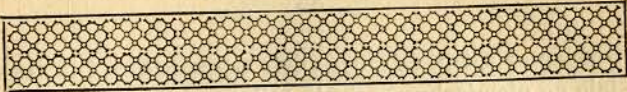
Poznałem pannę Izę po wielkiém podobieństwie do ciebie, kuzynko; te same, bardzo jasne blond włosy; te same, duże, szafirowe oczy — tylko, że oczy panny Izy, ile razy na nią spojrzałem, uśmiechnięte były radośnie, figlarnie, a twoje, księżno, nawet gdy się śmiejesz, zdają się przez łzy na świat spoglądać.

Tyle o twojej siostrze kuzynko, aby ci dowieść,

że mi polecenia twoje nietylko do sumienia, ale do gustu przypadły. Chciałbym, abyś mnie na większą próbę wystawiła, niż na opiekowanie się panną Izą. Każ mi pinczerowi mentorować, uczyć go sztuczek rozmaitych, każ mi fryzować loczki kasztanowate ciotki Melci, wszystko zrobię, byleś zapomniała o przestępstwach moich. Jako penitent, rączki twoje stokroć czulęj, niż zwykle całuję.

A. Gasztold.

CZEŚĆ DRUGA.



List Izy do Księżny Zofii.

Wiedeń, hôtel Impérial, d...

I cóż tam porabiacie, Zosiu, ty i biedna stara księżna? Co porabiają twoje wdowy, sieroty, kaleki; mój wyżeł, moja wierzchówka i zajęce w lesie? Co wy tam wszyscy robicie bezemnie, bo ja, ledwie zajechałam, już za wami tęsknię.

Najpierw z ciocią Melcią mam masę kłopotu. Powiadam ci, gdy będzie wystawa okazów w stylu baroque, zapakuję ją ostrożnie, w watę zawinę, aby się żadna z jej oryginalności nie uszkodziła i pošlę— a że wezmę złoty medal, o tém na chwilę nie wątpię. Już jej to mówiłam; spodobał jej się ten projekt, tylko prosi, abym nie zapomniała Mamuta pinczera z nią razem zapakować. Trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że obraźliwa nie jest, wszystkie moje impertynencye ze stoicyzmem znosi, co mi imponuje, bo od ciebie byłabym już od chwili wyjazdu na tuziny bury liczyła.

O ile ze mną ciocia jest anielskiój słodczy, o tyle toczy zaciętą walkę z kelnerami, konduktorami etc.

Jednego złażała, że się o bilety upominał — i to złażała po niemiecku — ciocia tylko po niemiecku laje; nigdy jeszcze *der*, *die*, ani *das*, nie umieściła na właściwym miejscu; dowodzi, że to niedystyngowanie mówić biegle germańskiem narzeczem — *c'est à payer les places*, powtarzam.

Jednego z konduktorów papierosami częstowała i brała go na egzamin, dowodząc później, że poznaje w nim jakiegoś lorda, dawnego znajomego, który widocznie *incognito* chce zachować. Przy bufetach upominała się o ostrygi i jakieś sławne paszteciki, o których dotąd marzy; lażała kelnerów, że nie porządnego do zjedzenia nie mają i że dobrzy dla Kochinchiny, a nie dla krajów cywilizowanych.

Kochinchina jest szczytem barbarzyńskich porównań cioci; nasze towarzyszkę podróży, gdy niedość szykownie się przedstawiały, dostawały natychmiast miano Kochinchinek — mimo uwag z méj strony, że do moich czubatych kur w niczym niepodobne.

Najgorszy jednak to ten Mamut nieznośny; nadeptałam mu na ogon niechęcący, ciocia zdawało się, że ogon spuchł i dalejże smarować, okłady robić — i tak dojechałyśmy do hotelu: ciocia z Mamutem na rękę, Mamut z zawiniętym ogonem — *c'était d'un grotesque!* — umarłyby się zaśmiał.

Myślałam, że portyer hotelowy i cały personel służebny, odkąd żyje, nie widział takiej cioci, takiego pinczera i takiej, zaśmiewającej się bez żadnego

respektu, siostrzenicy; ale okazało się, że ciocia z Mamutem są tu, jak u siebie — ja jedna tylko obca.

Gdy nasze pudełka zaczęto znosić do numeru, pytając o ich liczbę, ja z poważną miną oświadczyłam garsonowi, że osobno za nami cały transport jeszcze idzie. Dzięki cioci, ubawiłam się wyśmieniście. Wyobraź sobie, że nasza Węgiereczka, Lory Fasty, z którą się tak zaprzyjaźniłam na polowaniu zeszłego roku w Podbilczu, mieszka także w Impérial. Już wiesz od twego „*preux chevalier*”, hr. Gasztolda, że wychodzi ona za męża za pana Zdzisława. Między nami mówiąc, to sensu nie ma. Pomyśl tylko: mieć lat dziewiętnaście, czarne cudowne oczy gazelli, pleć olśniewającą, nos, usta, figurkę *primo cartello*; być kuzynką Palfych, Andrassych, Esterhazych i innych Węgrów; móc tańczyć lansyera u dworu, co zaszczytne, ale nudne — i kotyliona w pięknych salonach prywatnych, co mniej zaszczytne, ale bajecznie zabawne; móc z owymi kuzynkami polować na dworskich polowaniach, móc być damą honorową cesarzowej, mieć milionowy posag i iść za męża, za takiego sobie Zdzisia — *cella me passe*.

Ale co mnie cieszy, to, że Lory zna naszą zacną ciocię Melcie; powitanie tych pań było rozczulające. Lory posuwa dobroć swoją aż do zmieniania okładów własną ręką na ogonie Mamuta. To nie dosyć. Tak ona, jak jój matka, serdecznie nas zapraszają na ślub; Zdzisław łączy się z ich prośbami; dlaczego

nie miałybyśmy zrobić im tej przyjemności i sobie także?

Myślę, Zochno, że nie nie miałabyś przeciw temu, a mnie się to tak uśmiecha. Za cztery dni raut u wuja Lory, ks. Ziltsy — nazajutrz ślub. Muszę mieć dwie nowe toalety. Dziś chcemy obstalować u Lauferowej: jedną białą, *crêpe de Chine*, na raut; drugą różową, mieniącą, w rzut z blawatków, podobną do starych materyj prababek — cudowna będzie; poczciwa Lauferowa obiecuje, że wszystko na czas wykończy.

Twojego mitycznego Andrzeja dotąd nie widziałam: podobno wczoraj przyjechał. Lory nacieszy się nim nie może; powiada, że gdyby Zdzisława nie kochała, to tylko hr. Gasztold mógłby się jój podobać.

Mnie jednak ta perfekcyja już przestała interesować; zanadto jest doskonała, więc pewnie musi być nudny; ja perfekcyj nie lubię, zawsze ziewam w ich towarzystwie. Trzeba być zamkniętą na wsi, w starym, pełnym duchów zameczysku, aby sobie tak imaginację zapalać do mitów. Ów rycerz, który mi spokój mącił, pewnie wyda mi się, wśród uroczych Węgrów, prostym sobie szlachcicem, hreczkosiejem, nie mniej, niż poetycznym zjawiskiem. Już bym go prawie wolała nie widzieć; nie lubię rozczarowań.

Moja droga, jedyna Zosieczko, tylko pamiętaj, aby mojej Zingarze dawano po cztery garnce owsa

dziennie. Pan Zdzisław mówi, że ją zapasiemy, ale to nieprawda; tęsknota za mną trawić ją musi, trzeba jój to wynagrodzić. O chartach pamiętaj. Wyłowi nie pozwól się rozbijać po polach; wszystkie kuropatwy wypłoszy, nie będzie na co polować. Zresztą, powierz to wszystko opiece starego Rudowskiego, a sama porzuć sieroty, wdowy i samotność — przyjeżdżaj, czekam cię z bijącym sercem. Jeżeli mnie zostawisz samą sobie, to z nudów zakochem się w jakim Węgrze i będziesz miała kłopot. Stara księżna obejdzie się bez ciebie, ona nie wie nawet, że ty w Hońsku zostałaś, biedaczko. Tylko pod tym warunkiem będę u doktora, że ty mnie zaprowadzisz, aby dogodzić twój fantazyi. Zdrowa jestem, jak młody rekin; nie myślę długo siedzieć za granicą. Jeżeli ciocia nie zechce, to ja sama powrócę do Hońska, *à moins*, że się tu ciebie doczekam. Nie patrz na mnie tak groźnie, cóżby to szkodziło, gdybym się sama przejechała? Nie zginęłabym z pewnością, włożyłabym obrączkę ślubną i w drodze udawałabym żonę Battenberga. Boże mój! jakieby to było świetne *passe-temps*.

Tymczasem czas ucieka, a Lauferowa czeka, więc do widzenia, moja soror złota; w szybkę cię całuję z wielkiego pośpiechu. Stariej księżnej ślę ucałowanie rączek.

Twoja

Iza.

List Księżny Zofii do Izy.

Hońsk, d...

Z tonu twego listu, droga moja Izo, widzę, że ci humor sprzyja. Tém lepiej — spokojniejsza jestem o zdrowie twoje, gdy z taką werwą się odzywasz.

Bawi mnie sposób, w jaki zapytujesz o moje zdanie, wybierając się na ślub Lory. Gdybym temu nawet i przeciwną była, to zapóźno pytasz mnie o radę. Jest-to więc ceremonia mojej do zbytku niezależnej siostry — ceremonia, która mnie więcej rozśmieszyła, niż rozczuliła. Niezupelnie rada jestem z twojego rzucenia się w świat pod skrzydłami cioci Melci. Jój opieka nie jest dla ciebie dostateczną. Boję się, że trzpiot Iza zostanie skrytykowaną przez nowe i obce towarzystwo; ale moje przestrogi przyjdą zapóźno, bo liczę, że dziś właśnie ślub się odbył.

Co wy tam w téj chwili robicie? Wesoło i gwaro pewnie w koło ciebie. A tu tymczasem tak pu. sto, tak głucho, że mimowoli szelest każdy mnie straszy, własnego cienia się boję. Wicher szaleje na dworze, huczy, szumi, wyje, wścieka się, jak gdyby chciał najstarsze dęby z korzeniami powyrywać. Głównie chodzi mu o wysadzenie okien i drzwi w naszym starém zameczysku, jak gdyby chciał gwałtem zajrzeć, co się w mojem buduarze dzieje.

Widzę, jak się ironicznie uśmiechasz, gdy ja bu-

duarem nazywam ową „stodolę”, którą ty tak bez respektu ochrzcilaś. Cóż chcesz? Gdy na zamek w Hońsku plan rysowano, nasze prababki nie знаły „*l'art de boudier*”. Dlatego to, pomimo wszystkich wysiłków z méj strony, nie mogę dawniej komnaty przeistoczyć na modny wynalazek. Wszystko tu ginie — portyery, makaty, dywany, etażerki, stoliki, szezlongi, szafy. Nawet twój śliczny portrecik na sztalugach niknie w téj przestrzeni.

Nasi ojcowie mieli pojęcie o tém, co zewnętrzną wielkość, powagę, a nawet majestat stanowi, ale za to nie mieli wyobrażenia o komforcie i tém, co Niemcy wyrazem „*heimlich*” określają. To widocznie nie leżało w ich naturze; oni domowego ogniska, tak jak my dziś, nie pojmowali.

Babki widocznie nie grały wielkiej roli, ani wywierały wpływu na mężów, bo one, prawie przyrosłe do domu, powinny były wynaleść coś przytulniejszego, sympatyczniejszego, niż te kościelne prawie rozmiary. Ale podobno babki nasze nie tworzyły, bo tworzyć nie umiały — i... podobno było im z tém lepiej. Ich imaginacya nie byłaby się posunęła do planowania *fugi* od boku cioci Melci, dla odegrania roli żony Battenberga. Powiesz, że to jasne, ponieważ Battenberg nie był wtedy jeszcze wymyślony dla rozrywki publiczności. Jest to argument bardzo trafny. Dlatego więcej pocisków na ciebie rzucać nie będę, bo z góry wiem, że każdy mi

odrzuć, i że ty zawsze na placu z miną tryumfatora zostajesz, gdy ja się cofam, jak niepyszna. Wracając jednak do babek, żal mi okropnie, że nie jestem jedną z nich. Pierwsza z brzegu babunia byłaby miała zgromadzonej dookoła siebie cały poczet panien respektowych, z krosienkami, z kantyczkami, i o strachach nie byłoby mowy.

A więc tak, sama jestem. Wyfrunęłaś, mój ptaku jasnopióry, jak cię poetycznie hr. Andrzej określa, i zostawiłaś głuchą pustkę po sobie. Jedyną moją pociechą będą długie i częste listy od ciebie; pamiętaj, żeś mi to solennie przyrzekła. Ja w zamian głośno, po dawnemu, myślęć będę wobec ciebie. Ta wymiana zdań, to jedyny łącznik, jaki nam pozostał na czas jakiś.

Powiesz znowu, że mam wolną wolę i że powinienam korzystać z tego przywileju, aby się z wami złączyć.

Gdyby sumienia nie było, ani serca, ani rozumu, to możnaby mówić o wolnej woli, ale zważywszy na te trzy motory ludzkie, łatwa z nich konkluzja, że wolna wola jest tylko powolną służką owęj silnej trójcy. Można wprawdzie trójęć zburzyć, albo kazać jęć zamilknąć, ale to rzecz ateisty; ja ją uznaję, ja jęć hołduję i na usługi dobrowolnie wolną wolę jęć oddaję. I nie przyjadę, bo sumienie i serce każą mi przy matce Henryka pozostać. Ty wiesz, jaka ona słabowita, zgrzybiała staruszka. Czyż ja mogę

zostawić ją samą, na opiece służby? Ona długo żyć nie będzie, ale póki żyje, ja jęć nie odstąpię. Gdyby jęć się co złego przytrafiło w czasie mojęj nieobecności, całe życie miałabym to sobie do wyrzucenia. To wystarcza, że jest matką Henryka, abym ją, jak moją własną, kochała. Coraz mniej widzi biedaczka, nieraz mnie bierze za Wyszowską i naodwrot, gdy jęć kieliszek tokaju podajemy. I nie zdaje sobie sprawy z niczego, o twoim wyjeździe zdaje się nie wiedzieć. Co to za smutny, okropny koniec życia!

Niewesołe myśli cisną mi się dziś do głowy. Wiatr szumiący wydaje mi się jękiem żalonym wszystkich smutnych i cierpiących. Daremnie głowę wysilam, szukając ratunku na różne nędze ludzkie, jest to tak niemożliwe do znalezienia, jak niemożliwem jest uciszenie wichru. Gdybym mogła zapomnieć o tych, którzy płaczą, tak jak się zapomina o nawalnicy na balu, w wirze świata, przy wesołej kolacyi, wśród hołdów i muzyki. Gdybym mogła... to bym nie chciała! Nigdy, nigdy przytłumiać w sobie nie będę głosu, który cierpienie bliźnich przypomina, choćbym i sama więcej cierpieć musiała dlatego. Pamięć na słowa: „Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą” — nieraz mnie strachem przejmuje. Czemuż ja mam tyle, tyle, kiedy drudzy nie mają, gdy mrą z głodu i nędry.

Czuję, że wiele odemnie żądać będą, boć nie

moją pracą, nie memi zasługami, zdobyłam to, co mam.

Ale gdzież ja to zajęchałam od punktu, w którym się tłómaczę, dlaczego przyjechać nie mogę. Strach pomyśleć, że Iza trzpiot, lekkoduch, ziewać będzie nad moją prozą. Ale mniejsza o to, nie oduczysz mnie od dzielenia się z sobą myślą każdą, zostaw mi tę przyjemność. Ty masz za to tyle, tyle innych satysfakcyj. Przedewszystkiém musiałaś już poznać rycerza Gasztolda. Tego ci najwięcej zazdrościć. Znam go mało, ale wiem, że nie jest banalnym hreczkosiejem, więc téż rozczarowania dla ciebie się nie boję. Dla mnie jest on niezmiernie sympatyczny, dużo gruntu w tym człowieku; on nie żyje modnym pasożytnym życiem. Jestem pewna, że ten potrafi wiele oddać, gdy od niego w rachunkach wiele żądać będą.

Czy wiesz, że cię bardzo admirował, widząc cię w łoży, w teatrze? Pochlebilo to méj próżności siostrzanéj. Teraz się tylko obawiam, czy rozczarowanie nie nastąpi z jego strony. On bardzo wiele od kobiety wymaga, bardzo wysoko ją stawia, a ty tak lubisz pozować na gorszą, niż nią jesteś w istocie.

O Zingarę bądź spokojna, co drugi dzień sama na nią jeżdżę; w doskonałym jest humorze, wesola, jak jéj właścicielka, także trochę trzpiotowata, co dowodzi, że jéj owsa nie brak.

Wyobraź sobie, że córka Wojciecha, stangreta,

umarła wczoraj. Pamiętasz tę Piotrusię. Takie to było świeże i zdrowe napozór stworzenie, a dziś na cmentarzu dół jéj kopią. Byłam przy jéj śmierci; biedaczka męczyła się okropnie; tak nie wiele mogłam dla niéj zrobić, ale przecież choć na tyle poradziłam, że cieplej i widniej było w izbie, mniej duszno, mniej hałaśliwie. Jéj babka, staruszka, żyje, a te młode, potrzebne siły, zostały zmarnowane.

Czy zmarnowane? Wierzę, że nie; wszystko, co napozór tak niesprawiedliwém się wydaje, tak buntuje nasz słaby rozum, wszystko to ma swoją rację bytu; kiedyś zrozumiemy to pewnie — to, i wiele innych rzeczy.

Kłaniaj się rycerzowi odemnie, pozdrów go serdecznie, wkrótce napiszę do niego. Ciocię uściskaj; pinczera pamięci mnie poleć, a sama radź się koniecznie czempredźej; oszczędzaj się, a przez pamięć na mnie, nie lekceważ swego zdrowia.

Zofia.

List Izy do Księżny Zofii.

Wiedeń, d...

Dzień dobry, Zochno! Okropnie jeszcze jestem zaspana; jeżeli tak dalej pójdzie, to nigdy zupełnie się nie rozbudzę; nie potrafię w końcu rozróżnić co sen, a co rzeczywistość. Pomyśl tylko! W poniedziałek raut, wtorek rano ślub, wieczorem opera;

wczoraj, środa, opera, potem u nas herbatka; ostatni hr. Andrzej wyniósł się o trzeciej dopiero, i powiedz mi, kiedy ja się mam wyspać?

Bo ciocia drzemie przynajmniej w chwili, kiedy ja galerię zwiedzam i oglądam; chodzi ze mną, ale ciałem tylko, bo duch jój zawsze wybiera porę do drzemki, gdy wejdzie do muzeum; to wystarcza, aby tę artystyczną duszę ukolysać. Z początku, próbowała Mamuta przemycać, aby mu zaprezentować dzieła sztuki, ale skoro stanowcze *вето* zostało położone w tym względzie, odtąd biedną ciocię głucha apatya ogarnia, ile razy do Belwederu wstępuje.

Ja naturalnie udaję, że tego nie widzę, ignoruję także wszelkie aluzye, jakie ciocia w stronę hr. Andrzeja wysyła, chcąc go zmiękczyć na wdzięki Mamuta i zdecydować na piastowanie faworyta. Oddaję sprawiedliwość rycerzowi, że sobie znakomicie umie radzić. Jabym mogła energicznie koniec temu położyć, bo mnie jednej ciocia się boi. Ale tak mnie bawi wycofywanie się p. Andrzeja z roli piastuna, że nie mieszam się do niczego, udaję głuchą i ślepą.

Dotąd, Zosiu, w opowiadaniach moich listownych miałaś dwóch bohaterów: ciocię i Mamuta, teraz przybywa trzeci — hrabia Gasztold. O kim innym nie potrafię mówić; na tej trójce świat się dla mnie zamyka. Ale wypada tło podać, na jakim zarysowała się dla mnie postać trzeciego bohatera. A więc: olbrzymi mozaikowy salon u ks. Ziltsych, w naro-

żnikach gaje egzotycznych kwiatów, żółte adamszkowe fotele i krzesła, rzędem pod ścianami ustawione, na nich wieniec pań pięknych i brzydkich, starych i młodych — *tout comme chez nous*. Grupy pań w przepysznych toaletach, w rozmowie z panami frakowanymi i dekorowanymi; ci chodzą, — ci siedzą, tamci stoją. Widzisz to wszystko?

Deszcz światła z boków, z góry; dokoła gwar, ale przytłumiony, a wszystko razem nieco sztywne, nieco zimne.

Mnie tam naturalnie nie było, znalazłam sobie miejsce milutkie, wesołe, nie nie ceremonialne, w mniejszym saloniku, obok, i gawędziłam z Lory, czekając, póki się z Węgrami nie poznam.

Raptem podnoszę oczy. Na owém tle, wyżej opisaném, wsparty o kolumnę marmurową, uwieńczoną olbrzymim kandelabrem, stał — rycerz — wysoki blondyn, o tęskném, modrém oku, nos wydatny, ale klasyczny, ręka jedna bez rękawiczki, właśnie ta, na której się opierał, ręka wyrzeźbiona, nigdy takiej nie widziałam; długa, wązka, trochę smągła, nerwowa — olimpijska jednym słowem. Wąs długi, trochę za długi, ale dodający rycerskości bardzo rycerskiemu obliczu; takim musiał być Witold, brat Jagiełły.

Nie patrzył na mnie, ale ja go doskonale widziałam; zadumaném i trochę znudzoném, trochę rozmarzoném okiem lustrował całe towarzystwo. Raptem

zbliżył się Zdzisław do niego, zamienił z nim słów kilka, wziął go pod rękę i ku nam się zwrócił; ja wtedy udawałam bardzo zajętą rozmową z Lory; — ukłon; „hrabia Gasztold” — wielkie zdziwienie: „A, to pan?” z mojej strony — i... jesteśmy przyjaciółmi.

Bajeczny jest ten twój *preux chevalier*. Marzyciel, trochę egzaltowany, poeta, uczony, a czasem taki naiwny, że się nim nacieszyć nie mogę. Interesuje mnie. Takiego osobnika jeszcze nie widziałam. Wyobraź sobie, że on był w tobie prawie zakochany; doprawdy, że był. To mnie bawiło do wysokiego stopnia. Ale to „*spirit of mischief*”, które we mnie podobno siedzi, zaraz mi podszeptało oryginalny koncept. Pomyślałam sobie, że ty już dosyć ludzi nabalamuciłaś, że ci ta jedna ofiara więcej zupełnie niepotrzebna, i że ją dla siebie ujarzmie; jako na *passé-temps* zagraniczne, będzie to dosyć zajmujące.

Cudownie mi się powodzi. Tęskne oczy rycerza Gasztolda coraz częściej i żywiej się uśmiechają, od rana do wieczora gotów na moje usługi, eiceronuje nam po galeryach, sprawunki nawet z nami robi; znamy się od trzech dni, a wydaje mi się, jakbyśmy od trzech lat w zażyłości z sobą byli.

Z początku mówiliśmy tylko o tobie, teraz mówimy czasem i o sobie. Mój czyli twój — bo nie wiem, do której z nas właściwie należy — a więc nasz rycerz, bardzo przyzwoicie się zachowuje; nawet dla cioci pełen jest atencji. Ja w ciocię wma-

wiam, że te wszystkie grzeczności to dla niej, ona prawie wierzy, tylko ją irytuje zbyt lekki sposób traktowania Mamuta przez pana Andrzeja.

Na ślubie siedzieliśmy obok siebie. Z drugiej strony miałam sąsiada, o jakim nawet w śmiałych snach moich nie marzyłam; wszystko co słyszałam o Węgrach, w nim jest skoncentrowane. Prototyp idealny Madziara. Takich czarnych oczu nie powinno się mieć do codziennego użytku, to zbyt. Już to bogowie łaskawi na mnie bywają zwykle; mieć takich dwóch sąsiadów, to doprawdy zmysł estetyczny rozwija i wykształca. Ów Węgier, to pan Volnary, sławny z mów sejmowych, podobno bardzo wymowny. Bawiłam się znakomicie, aż grzech tak się dobrze bawić, kiedy ciebie niema.

Rycerz Gasztold opiekował się moim wachlarzem, memi rękawiczkami, chodził za mną jak troskliwa niania, prosząc, abym się nie zaziębiła; pilnował, abym nie piła wody, co było zbytkiem obawy, bo ja wody nie lubię. Mój Węgier znowu dolewał mi ciągle szampana. „Niech pani pokaże siłę owych polskich główek, o których mówią, że tylko zwyciężać umieją, same niezwyciężone”.

Je ne demandais pas mieux — ale na to poetyczny hr. Andrzej: „Nasze panie zachowują siłę swych główek na lepsze okazje, umieją wybaczać tym, którzy w libacyach nadużywają, ale źleby było, gdyby im przykład dawać miały w wypróżnianiu butelek”.

To mnie zmroziło; nie śmiałam dotknąć kieliszka, choć mi się uśmiechał; pierwszy raz nie miałam odwagi własnych opinij. Co to jest za zgubny wpływ świata; zrobię się hypokrytką. On umie ambicyę rozdmuchać, ten twój — nie, ten nasz rycerz, i to całkiem niepotrzebną ambicyę! Mnie jest dobrze z moją niezależnością, z moim uporem, z moją stanowczością, a on co chwila odwołuje się do kobiecej słodyczy, do wdzięku, leżącego w uległości, do różnych takich przestarzałych formulek i ja jestem dość śmieszna, że się kryję z memi zasadami niepodległości. Nosi za mną płaszcze, szale, okrywa, otula. No, no — niech i tak będzie do czasu, rycerzu Gasztoldzie; twoją własną bronią cię zwyciężę — będę posłuszną, będę łagodną, będę trusią, ale jak zginiesz z méj ręki, to nie żałuj później; powiedz sobie, że sam tego chciałeś.

Wiesz, co on wymyślił, ten nasz sławny rycerz? Ni mniej, ni więcej, ale „zabroniłby żonie konno jeździć, gdyby ją miał”. Słyszałaś ty coś podobnego. Ja aż odskoczyłam na krzesło. To wszystko przy sławném ślubném śniadaniu. Uspokoiły mnie trochę słowa Volnarego: „Kobieta, nie lubiąca koni i konnej jazdy, musi mieć charakter zmokłej kury, limfatyczny, apatyczny — to ślimak nie kobieta; ja ślimaków ani ryb nie znoszę”. Tryumfująco spojrzalam na Andrzeja, ale on różnemi argumentami dosyć logicznie, jak na takiego poetę, popierał swoją sprawę; ci panowie ciągle się w zdaniach różnili.

Nie nudź mnie, Zochno! Nie myślę radzić się doktorów; zdrowa jestem jak owe ryby, których Volnary nie cierpi. Marzę tylko o powrocie do Hońska, i o Zingarze; naturalnie o tobie przedewszystkiem.

Biedna stara księżna! Gdyby ona wiedziała, wiele mi krwi napsuje tém trzymaniem ciebie na uwięzi, choć ona temu nie winna.

Czy będziesz na polowaniach w Sitowiu?

Wyobraź sobie, że hr. Andrzej zapomniał o egzystencyi Maksa, którego dziesięć lat temu niedorostkiem widział. Czy Maks powrócił nareszcie z Anglii, czy ci się podoba? Pisz prędko i spodziewaj mnie się wkrótce.

Wiesz, co mnie najbardziej uderzyło w hr. Gasztoldzie? Głos jego, dziwnie sympatyczny, dźwięczny, pełny organ; gdy mówi, wolę go słuchać, niż pięknej muzyki. Prawdziwa harmonia.

Twoja

Iza.

List Księżny Zofii do Izy.

Hońsk, d...

Ostrożnie z ogniem, Izo moja droga. Okropnie mi się pani bałamuci. Dziecko moje jedyne, błagam cię, nie upajaj się tak światem, ja się tego okropnie dla ciebie boję.

Więcej nie powiem; jeżeli te kilka słów nie wystarczy, to i więcej na nieby się nie zdało, a wiem z doświadczenia, że wszystkie moje morały nazwiesz „marnowaniem elokwencyi”.

Psułam cię dawniej, toć w dalszym ciągu psuć cię muszę; jedyny to sposób, abys się całkiem z pod mego wpływu nie wykradła. Nie wiem, czy i to się na co zda, ale że nie najwygodniej tym razem postępować logicznie i systematycznie, więc zamiast bury, znowu cię uściskam, ucałuję serdecznie bardzo, choć listownie, bo się okropnie za tobą stęskniłam. Tylko o jedno cię proszę, nie balamucь zanadto rycerza Gasztolda. I cóż ci potem? Co ci z tego przyjdzie?

Gdybyż on mógł być mężem dla ciebie, *à la bonne heure*, spokojna byłabym o los twój, ale czuję, że nie z tego nie będzie. Ty uważasz go za *passé-temps* tylko, bawisz się, pochlebia ci, że taki poważny, niezwykły człowiek hołdy ci składa, a w rezultacie o niczym innym nie myślisz.

Ja się nawet temu tak bardzo nie dziwię, bo między wami niema spójni żadnej; żadnego pokrewieństwa dusz, żadnej duchowej harmonii. Niestety, siostrzyczka moja nie potrafiłaby nigdy ocenić siły i głębi wzniosłości szlachetnego serca i umysłu. Ciebie olśni i zabierze tylko ten, co zewnętrznym blaskiem i urokiem cię pociągnie.

Nie gniewaj się, któż ma w tobie czytać, jeżeli

nie ja. A to, co mówię, nie jest surową krytyką; ja mogę cię sądzić, ale krytykować nie umiem, bo cię zanadto kocham; nawet wady twoje są mi drogie, bo część ciębie stanowią. Ty, bez nich, nie byłabyś sobą.

A może źle robię, że ci to mówię? Alboż ja wiem? Serca słucham, gdy o tobie myślę i piszę do ciebie; serce mi to dyktuje. Podobno serce błądzi bardzo często, tém gorzej dla niego... ja najwięcej zawsze błędy serca uwzględnić potrafię...

Więc masz i ostrzeżenie i pozwolenie i nagane i pochwałę... Biedaczko ty, jakże mogłabyś być inną, wychowana przez siostrę, która nigdy na stanowczość względem ciebie zdobyć się nie mogła. To też wobec Boga i ludzi ja chcę i powinnam odpowiadać za niekonsekwencje twoje, gdybyś ty rzeczywiście kiedy zbłądzić mogła.

Nie mówmy więcej o tém; ja wiem, że to wszystko cię nie interesuje. Pytasz o fakta i czyny, a nie o refleksje moje, i może masz słuszość, bo te ostatnie niewiele warte; te pierwsze, t. j. czyny, tym razem też niezbyt idealnie się przedstawiają, i daleką jestem od świecenia tobie przykładem.

Tydzien temu odwiedziłam Sitowie po półrocznej niebytności. Zdecydowałam się z trudnością na wyjazd, ale taki spleen mnie ogarniał w mojem samotnieniu, że trzeba było koniecznie szukać jakiegoś antidotum na tę wewnętrzną zmoreę.

Nie wyobrażałam sobie, że Sitowie jest teraz punktem zbornym wszystkich nemrodów z okolicy. Od śmierci Henryka tak wyszłam ze stosunków, że doprawdy wstyd mi się między ludźmi pokazać, zdziaczałam.

Widocznie jednak owo zdziczenie było całkiem powierzchowne, bo prędko zostałam w wir wciągnięta. Wyobraż sobie moje zdziwienie, gdy na samym wstępie do Sitowia: — kto mi rękę podaje, całując ją z wielką galanterią, kto mi prawi wstępny madrygał, kto podaje ramię, aby mnie do salonu wprowadzić? Ni mniej, ni więcej, tylko Maks, ale Maks przeistoczony, z długim wąsem kasztanowatym, z krótko przyszyronemi włosami, wysoki szczupły, smagły, zwinny jak... co?

Tiens — nie znajduję porównania; gdybyś go znała, tobyś mi podszepnęła: „zwinny jak Maks”, bo to szczyt porównań, ale że go pamiętasz zaledwie na pół ociosanym, ośm lat temu, więc chciałabym ci go obrazowo, plastycznie zaprezentować, aby ci się odwdziżyć za portret rycerza Gasztolda.

Powiadam ci, byłam zdumiona. Nigdy nie była bym się spodziewała takiej metamorfozy po rudawym, psotnym niedorostku. Jesteśmy zupełnie w równym wieku, ale ja mając lat osiemnaście, byłam mężatką, a on wtedy, jako nieznośny *blanc bec*, do Anglii na studia się wybierał. Dziwię się, żeśmy się nie spotkali w czasie jego wakacyj, ale rada jestem z tego,

bo rzadko się miewa niespodzianki w życiu, a tutaj miałam prawdziwą niespodziankę.

Od owego pierwszego spotkania Maks jest zwykłym moim towarzyszem. *Ne t'alarme pas, ma chère*. Towarzystwo to ogranicza się na kłusowaniu albo galopowaniu w jednej linii i na kilku walcach, jakie przetańczyliśmy kilka dni temu w salonie jego rodziców w Sitowiu. Rozhulała się tutejsza okolica.

Młody lord, tak Maksa nazywają, bo pozuje trochę na Anglika, wszystkie konie, wszystkie psy i wszystkich dwunogich z okolicy zwietrzył. Zrobił naganekę, spędził do jednego mianownika — i harcujemy, bo harcujemy!

Mnie to i dziwi i bawi, i patrzę na siebie i niedowierzam sobie. Czy to ja, czy to nie ja? Ale już drzwi moich zamknąć nie mogę. Sama sobie kłopotu narobiłam; trzeba się było nie ruszać z ślimaczej skorupy. Teraz mi spokoju nie dadzą. Bileciki, sygnały, sztafety, telegramy, posłańcy! Tutaj mi godzinę oznaczają, tam mnie proszą, abym na moim terenie pozwoliła obławę urządzać, tutaj mnie błagają, abym balową toaletę z sobą przywiozła.

Jednym słowem, możnaby stracić głowę, ale ja moją chowam na lepsze jeszcze okazyje.

Dwa tygodnie temu, dumając nad... cudnym a misternym zakrętasem najwyższego loczka w cioci piramidzie, w samotnym zameczysku, ani przypuszczałam, że dziś będę miała zapisanych w karneciku

Maksa do mazura, Jerzego do kontredansa, a całą bandę szlachty okolicznej do reszty tańców.

Dnie za sobą gonia, a czasem tak różne od siebie.

Tymczasem do widzenia, moja jedyna. Na zakończenie kładę to, od czego zaczęłam: ostrożnie z ogniem; nie dlatego abyś ty się poparzyć miała. Dlaczegoż w takim razie? Albo ja wiem? Może to przecucie, może to współczucie? Mniejsza o to. Powiedz mi, jaka jest ostateczna decyzja co do zimy, bo to jednak najwięcej mnie interesuje i niepokoi.

Twoja

Zofia.

List Izy do Księżny Zofii.

Wiedeń, d...

Moja Zochno droga — jestem dotąd pod wrażeniem twego listu, nie tyle, aby go rozpamiętywać jako pokutująca grzesznica, niestety! Jeżeli ci o to właśnie chodziło, nie osiągnęłaś celu; smutno mi, że cię pod tym względem ucieszyć nie mogę.

Ale jestem pod wrażeniem, bo przeczuwam na dnie tych ślicznych frazesów intencję jakąś ukrytą, ale jaką? Czy powinnam brać dosłownie twoje: „Ostrożnie z ogniem” — i ogień ten zalać zimną wodą, nie pozwalając na szerzenie się pożaru?

Nie, ty jesteś taką dyplomatką, że nie byłabyś tak naiwnie i wyraźnie mnie ostrzegając, wiedząc, że

im więcej ostrzeżeń, tém ochotniej rwę się do niebezpieczeństwa. Więc przypuszczam co innego. Chcesz mnie wziąć na ambicję i wstawiasz we mnie błyskotliwe gusta, rozpaczając, że nigdy nie potrafię ocenić serc wzniosłych i głębokich, tylko w tym celu, abym dała dowód, że mnie stać na ocenę ukrytych skarbów.

Cóż? *Y suis-je? Hier liegt der Hund begraben!* Przyznaj się, że taka, a nie inna była twoja intencja.

Brawo Zosiu, ślicznie umiesz brać się do wzbudzania we mnie zapału i uwielbienia tego, co sama godnym podziwu znajdujesz. Uznaję pracę twoją na tém polu, ziarno zasiane dotychczas nie wiem czy kiełkuje, ale czekajmy... Do wiosny daleko. Kto wie? Może plon zbierzesz obfity, może będziesz miała pociechę ze mnie i przekonasz się, że nie samym blichtrzem zewnętrznym podbija się serce moje. To wszystko jednak zależeć będzie od nudów. Dotychczas rycerz Gasztold mnie hawi, wszystkie więc szanse ma za sobą. Jeżeli mnie nikt w drogę nie wejdzie, jeżeli nikogo więcej interesującego nie spotkam na drodze żywota, jeżeli ciocia z Mamutem zostaną jedynymi rozrywkami memi, jeżeli rycerz Gasztold niezbyt często dosiadać będzie rumaka moralizatorskiego, jeżeli, jednym słowem, to, owo i tamto w dzisiejszym *status quo* pozostanie, to kto wie?...

Raz przecież za mąż wyjść trzeba. Ja siebie starą panną nie widzę, stanowczo to nie moja rola.

Zakonnica nie widzę się także, nie mam powołania,— brrrrm — wstawać o 4-ój rano i kantyczki śpiewać na zimnym kamieniu, w ciemnym kościele! *Horreur!* I pomyśleć, że są kobiety, które się na to zdobywają — i że się nazywają kobietami przytém. Czémś ja jestem w takim razie? Przecież nie może być, abyśmy do téj samój klasyfikacji istot należały?

Czémś być trzeba. Jeżeli nie starą panną i nie zakonnica, toć już tylko mężatką, w najgorszym razie. Z trojga złego, wolałabym nie. Ale ty znowu nie pozwoliłabyś mi pójść za mojm powołaniem; nie podobałabym ci się w roli cyrkówki, ani baletnicy— w gruncie nie wiem dlaczego? Co to kobiecie ubliżać może, że sobie skacze przez papierowe kółka i że się na pięcie na grzbiecie końskim wykręca? Przesady! Jeżeli to ludzi bawi, to któż mi dowiedzie, że zajęcie takie gorszém jest od cerowania pończoch, albo gotowania rumianku chorym bębnom?

Pssst, Zosiu, błagam cię, zaklinam na wszystkie świętości, na Bramę, Wisznu i Siwę, nie pokazuj tego listu *au preux chevalier*, nie zdradz mnie; ty nie wiesz nawet, jakaby to katastrofę wywołało.

Albo, albo. Ja ci stawiam takie ultimatum: jeżeli mnie obedrzesz ze złudzeń, któremi mnie okrył rycerz Gasztold, jeżeli wyrwiesz ze szpon moich serce jego, to wstępuję do baletu. Nie targuj się, nie perswaduj, musisz wybierać między temi dwiema ostatecznościami. Tylko życie pełne wrażeń może być

życiem dla mnie. Dotychczas wrażeń mi nie brakło: dawniej szalony galop *de chasse* na mojej Zingarze, kłótnie i scenki z tobą, loezki cioci, ułożone w stylu *rococo*, to bizantyńskim, to gotyckim, to *renaissance*, uśmiercone przezemnie zające (i gęsi dla odmiany) i wiele innych rzeczy, wystarczało dla zaabsorbowania mnie. Tyś mnie do wrażeń zaprawiła, dziś bez nich żyć nie mogę.

A więc dziś mam studium, okaz, unikat, serce głębokie i wzniosłe, palpitujące pod ręką moją. To mi wystarcza chwilowo; jeżeli mi je wydrzesz, nigdzie już szczęśliwą być nie potrafię, chyba w roli Esmeraldy albo Ondyny. Co prawda, ta ostatnia najwięcej ma dla mnie uroku; tambym laury zbierała. Światło, gwar, ruch, oklaski, a ja fruвам, a ja lecę, a ja krążę, to na ziemi, to w obłokach, wale, *fandango*, *bolero!*

Ach! te przesady, one życie moje złamią; już ja to widzę oczyma duszy, przecuciem.

Gniewasz się, Zochno? Nie, ty masz za wiele rozumu na to. Ja cię już zresztą gorszyć nie będę. To tylko taki szal mnie napadł, bo mi tak hipokryzya ciąży strasznie. Hrabia Andrzej jest codziennym gościem u nas, kilka godzin spędzamy razem, to tu, to owdzie; a ja się wtedy zamieniam w trusię, w lalkę malowaną. Już sama nie wiem, czy to z chęci ujarznienia téj niezłomnej stalowej duszy, czy też poprostu ze strachu.

Bo ja go się boję, doprawdy! Ty nie wierzysz? Ba, ja sama nie wierzyłabym, gdybym się nie była dokumentalnie przekonała. Wyobraź sobie operę, w operze lożę, w loży ciocia, ja i z przydługą wizytą pan Volnary, wiesz, ten Węgier, o zabójczém spojrzaniu. Na scenie się demenują chóry, duety, tercety; wchodzi Faust. *Je ne te dis que ça*. Jakże się tu dziwić całemu batalionowi Małgorzat, jeżeli Faust był taki? Coś niebywalego! Poprostu ukłęknać przed nim, bo to już nie człowiek, ale jakieś bóstwo olimpijskie — Apollo? — oklepiane porównanie. Tezeusz, Perseusz! — czy ja wiem? Ale że zdobywca, to fakt. *J'étais enlevée*.

Zwierzam się z mego zachwytu Volnaremu, a że to poczciwy chłopiec, wcale nie zazdrosny, więc obiecuje mi przedstawić Fausta, znając go osobiście i serdecznie. Ja końca trelów doczekać nie mogę. Wchodzi rycerz Gasztold; naturalnie, wobec niego, moje ekstazy na dno serca wsunęłam; rozmawiam przyzwyczajenie i dość przytomnie, czuję tylko, że ten łotr Volnary złośliwie się uśmiecha i natrętnie mi się przygląda.

Myślałam, że zapomni o obietnicy, gdzie tam! Wychodzimy z loży, on ramię cioci podał, mnie hr. Andrzej; tłok niesłychany, musimy czekać zanim nasz powóz zajdzie; Volnary się ekskuzuje, znika; po chwili wraca, prowadząc za rękaw — o zgrozo — Fausta!

Ja płonę rumieńcem, niby mak polny; Volnary recytuje: „*Monsieur Sostini*”. Faust głęboki, nieco teatralny ukłon składa, ja i ciocia głowy uchylamy. Nie śmiem spojrzeć przed siebie. Szczęściem jakiś ktoś złapał Fausta w tym tłoku i coś mu rozpowiadając zaczął; Volnary do mnie się zwracając, mówi: „Pani życzenie spełniłem, widziałaś Fausta zbliska, czy czar trwa zawsze?”

Ach! ten Węgier zdrajca! On mi to na złość zrobił, on odgadł, że ja się boję jak tchórz podły, jak żak szkolny, że się boję Andrzeja. Odpowiedziałam mu, że czar prysnął i tak było rzeczywiście, bo Faust zbliska śmiesznym, afektowanym, manierowanym mi się wydał, ale byłam przynębiona tą sprawą i miałam czego.

Andrzej nas odprowadzał i palnął mi oracyę na twój rachunek: „To nie towarzystwo dla pani. Księżna Zofia bardzo byłaby zmartwiona. Volnary niema taktu, ależ kobieta, zwłaszcza Polka w obcym kraju, powinna mieć dosyć godności, aby drugich nią natchnąć. Pani jest bardzo młoda i nieostrożna, ale przez wzgląd na ks. Zofię, niech się pani trzyma zdaleka od ludzi, których bliżej znać nie może” etc., etc.

C'était très beau. Byłam tak skruszoną, że aż lzy miałam w oczach, gdyśmy po operze herbatę pili razem; on myślał że to lzy skruchy, tymczasem był to płacz na pół nerwów, na pół zbuntowania, na pół

upokorzenia, a wszystko razem sensu nie miało. Komedia!

Czy ty myślisz, że to jedyna scena, jaką mi zrobił? Słuchaj. U Sechenyich miało się odbyć wielkie polowanie; my tam nie bywamy, więc naturalnie, nie byliśmy proszone, ale za to Volnary był. Ty wiesz, jaką mam pasyę do polowania; aż ręce załamalam, że ten Węgier harcować będzie po polach, a ja w dusznym hotelu siedzieć muszę. On na pocieszenie: „Zabiję na intencję pani największego rogacza; zostanę królem polowania, trofea przysię pani, skórę własną ręką wyprawię i pod nóżki pani złożę, zgoda?” Przecież nie mogłam odrzucić. „Zgoda” — rzekłam. Otóż wczoraj, gdy hr. Andrzej był u nas, wchodzi wygalonowany lokaj, rozkłada w saloniku skórę jelenią, pysznie oprawną, olbrzymie rogi i oddaje mi bilecik.

Ja znowu drzę pod wzrokiem rycerza Gasztolda, jak zbrodniarz jaki; listu nie śmiem otworzyć.

Ciocia z rąk mi go wyrywa i czyta głośno! „Przysięgam, że własną ręką skórę wyprawiałem; antypatyczne zajęcie i nieestetyczne, gdyby się nie miało celu na widoku; błagam, aby pani na niej nóżki oprzeć raczyła; żałuję, że sam się w ową skórę zamienić nie mogę. Trofea zdobyłem; cudów waleczności dokazywałem; byłem królem polowania. Królowanie moje do stóp pani składam także, jak i wszelkie trofea. Złożyłbym wiele innych rzeczy

jeszcze, gdybym się nie bał, że pani nawet o skórę dbać nie będziesz, a cóż dopiero o garbarza?”

Ciocia miała zamiar zataczać się ze śmiechu nad sprytem Węgra, ale jej w tym surowy głos hrabiego Andrzeja przeszkodził.

— Czy pani masz intencję przyjąć te hołdy?

Spuściłam oczy, szepecząc:

— Nie mam pojęcia, co z tym fantem uczynić.

— Czy mnie pani pozwolisz zdecydować?

— Proszę.

Wtedy rycerz Gasztold, zwracając się do kamerdynera, rzekł:

— Proszę, zabierz te przedmioty, to widocznie pomyłka; nie do tego numeru przeznaczone być muszą.

To nie dosyć. Znowu kazanie, znowu przestrogi. Pojmiesz, że nie zniosłabym takiego systemu, gdyby nie było kompensaty — ale jest kompensata.

Niezłomny rycerz złoży broń, prędjéj, późniéj; teraz cugle wolniéj puszczam, aby w przyszłości tém łatwiéj powodować hardym, ale ujeżdżonym już rumakiem. Widzisz, moja złota, za wszystko, co się tu dzieje, ty jedna odpowiedzialność weźmiesz na siebie. Czemuś mnie tu wyprawiała? Czemu mam całą zimę spędzić zdala od ciebie?

Ci doktorzy udają mądrych i do Meranu mnie wysyłają. Jadę, aby twój woli dogodzić, ale bogowie jedni wiedzą, że to tylko kaprysy, wymysły,

fantazy. Tobie dobrze być rozsądną; chłopców gromada w koło ciebie, pełna stajnia koni, szerokie pola, trochę mgły, stada zajęcy, *un tour de valse* na deser; za tę cenę i ja potrafiłabym być ideałem. W Maksie odgaduję perłę czystej wody, ale cóż mi po tém? Zanim się w moje ręce dostanie, już przez ciebie będzie pochłonięty z sercem duszą, czapką dżokejską i sportsmeńskim kadlubem.

Biada nieobecny! A zostaw tam kogo dla mnie.

Twoja

Iza.

List Księżny Zofii do Izy.

Hońsk, d...

Z tobą, Izo, trzeba być fatalistką — *vogue la galère* — ani steru, ani żagli, ani wiosła! Nie nie masz, ale płyniesz i to zawsze szukając wirów i prądów; spokojnych wód nie lubisz. Naturalnie, że osiwiiałabym przed czasem, gdybym miała ciągle rozmyślać nad rafami, mieliznami i huraganami, jakie ci grozić mogą. Mimowoli dreszczem mnie nieraz napelniają te różne niebezpieczeństwa, ale wtedy do fatalizmu się uciekam — *vogue la galère*.

Szalona dziewczyno; ty doprawdy, podobna jesteś do tego gołębia z bajki Lafontaine'a; wtedy dopiero przyznasz mi słusność, gdy ci skrzydła opalą, gdy ci kto kajdanami serce skuje, które ci ciężyć

będą, etc. etc. Ale — masz słusność; mnie tylko milczeć należy; taką cię mam, jaką sobie ciebie wychowałam, a świadczę się niebem na uniewinnienie, że słowa moje, jakich używałam na poskramianie mej siostry, więcej może byłyby zrobiły wrażenia na wróblach, srokach i wiewiórkach, niż na tobie. Nigdy mnie nie słuchałaś. Błagam cię o jedno tylko — nie kompromituj się; zostaw przynajmniej Węgra w spokoju. Mam nadzieję, że ten półgłówek Volnary usunięty zostanie z twych oczu, gdy do Meranu wyjedziesz; liczę, że jutro powinniście wyruszyć.

Miałam list dosyć długi od hr. Gasztolda. Czy ty wiesz, że on bardzo na ciebie oburzony? Straciłaś łaski, niepoprawny trzpiecie, i dobrze ci tak; ja twych interesów, naturalnie, poprawiać nie myślę. Barometr afektów rycerza spadł strasznie, a ja rada z tego jestem; przynajmniej wezas jeszcze przejrzał *preux chevalier*, widocznie był olśniony dopiero, ale nie zaślepiiony.

Co do mnie, bądź spokojna nie mam żadnych morderczych zamiarów na „kadlub dżokejski” Maksa Wielogórskiego; w nim już dość niespokojny duch siedzi; gdyby się zakochał, gorzejby mu się jeszcze w głowie pokręciło.

Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, bo to bardzo dobry chłopiec. Nie jest wprawdzie moim ideałem, jako mężczyzna. Język jego, zdaje mi się, że ma najwięcej wartości; nogi także wysługują się społec-

czeństwu, o ile je stać na to; znawca sztuki choreograficznej i hippicznej; w tym kierunku nie mu zarzucić nie można. Ale że ja ani do... baletników, ani... cyrkowych bohaterów nigdy nabożeństwa nie miałam, więc Maksa mogę tylko lubić dla jego sprytu i dla tych wszystkich zalet, których niema. Nie śmiej się... których niema, ale które mógłby mieć tak łatwo.

Nieraz sobie myślę, jak wiele możnaby z tego człowieka zrobić, gdyby się dostał w dobre ręce, pod dobry wpływ. Smutne to wprawdzie mówić o wpływie, gdy chodzi o mężczyznę pełnoletniego. W moim kobiecym, może zacofanym pojęciu, on to właśnie wpływ powinien wywierać; ale zważywszy, że świat stoi — nieporządkiem, o ile to dzieł i usposobień ludzkich dotyczy, więc staram się o wyrozumiałość i pocieszam się, gdy w człowieku odnajduję choćby tylko materyał do zrobienia zeń czegoś. Tyłu ludzi nawet materyału nie posiada; zerami się urodzili, zerami są i zerami umrą. Żal mi tylko, gdy się materyał marnuje; gdy, przez brak dobrego wpływu, inteligencya niezaprzeczoną paczy się i gdy *au moral* oczy zdrowe, z nałogu zezować poczynają.

Albo się bardzo myślę, albo Maks, olśniony własnymi paradoksami, często ekscentryczne myśli w czyn zamienia. Pozuje na ekscentryka, a jest to niebezpieczna mania, gdy sztucznie zaszczepiona. Chciałabym mu niejedno wyperswadować — dla sa-

tysfakcyi, jak ty to nazywasz: oczyszczenia świata z zielsk, gadów i pasożytów. Cóż chcesz? — widocznie mam coś bocianiego w sobie; to moje powołanie — widzę cię, jak kończysz zdanie moje, dodając: „nawracać ładnych chłopców.”

Okropnie jesteś złośliwa, Izo, a to defekt staropaniński; nie zarzekaj się, tak! gotowa jesteś osiąść na koszu; jeżeli zaś znajdzie się taki, który rzeczywiście zaryzykuje ciebie za małżonkę pojąć, to będzie dowód, że nie zamykają wszystkich niebezpiecznych waryatów. *Tu es pétrie de défaits*; ale dosyć o tém, bo ten przedmiot przypomina mi, iż sama w piersi winnam się ze skruchą uderzyć.

Wkrótce spodziewam się hr. Gasztolda w Hońsku; pisze mi, że tylko kilka dni zabawi w Meranie; myślę, że tym razem odwiedzi mnie nareszcie. Cieszę się tą nadzieją; jest on mi codziennie sympatyczniejszym. Taki zacny, pocziwy. Szlachetna w nim dusza; cały drugim oddany, pracą, życiem całym, świeci przykładem. Wiele on już dobrego zdążył zrobić; Henryk, za życia jeszcze, mówił mi nieraz, że wszystko, czego Gasztold dotknie, przeistacza się w oczach: ziemia wartości nabiera; majątek jego rośnie z rokiem każdym, a jednak o stronie estetycznej życia nie zapomina; otacza się pięknym, nauką — i tyle, tyle robi dobrego — i tak naturalnie, cicho, bez rozgłosu; taki inny jest od tych czezych głów, od tych fanfaronów, którymi świat, a zwłaszcza nasze towarzystwo, tak gęsto zasiane.

Szkoda, wielka szkoda, Izo, że ja cię jemu oddać nie mogę; byłabym spokojna o ciebie; a gdybyś się postarała, to mogłabyś być godną niego. Że jednak starać się nie myślisz, więc proszę cię, przyslij mi go prędko; nie zatrzymuj go niepotrzebnie. Pomyśl tylko, czy ja nie jestem godną pożalowania; dopiero miesiąc minął, jak wyjechałaś, więc mam przed sobą całą zimę jeszcze. Polowania się kończą, wiele osób z sąsiedztwa na zimowe leże do miasta się wybiera, a ja tu sama zostanę, śniegami zasypana.

Odwagi mi nie brak; zająć się umiem, a mam dużo zajęcia — i książek tyle, których latem, przy tobie, nie miałam czasu czytać; a jednak... strach mnie ogarnia na myśl o tej samotności. Przyznaję szczerze, że radabym uciekła do ciebie; tęskno mi za tobą już teraz i codzien bardziej; cóż to później będzie? Dzisiaj rano budzę się, wyglądam przez okno, świat inny, zmrożony, lśniący od białości śniegu; a te białe dachy, drzewa, klomby i pola dziwnie smutno mnie usposobiły. Zimno mi się zrobiło wewnątrz... w sercu, tak, jakby i serce tym lśniącym, białym całunem pokryte zostało. Wron stado całe przysiadło na środku ogrodu, a rzesza tych krzykliwych stworzeń sejm odprawiała w lipowym szpalerze; to moi jedyni towarzysze na przyszłość. Te śnieżne obszary, to sine, niskie niebo, które zdaje się opadać i przytłaczać swoim ciężarem, to obraz tej wielkiej monotonii, nietylko już zimy, ale, dla mnie, życia całego.

Jestem w jednym z tych dni, w których w przyszłość ze strachem spoglądam. Tak długo jeszcze żyć mogę, a za mną grób jeden, który szczęście moje zabrał z sobą i cóż mnie jeszcze czekać może? Bezbarność pól zimowych; monotonia nieba sino-szarego. Jako urozmaicenie tu i owdzie troska, niepokój i przykrość; to jedyne plamy, które na horyzoncie występują, tak, jak owe wrony, odznaczające się na jasno-chmurnej przestrzeni.

Bardzo mi smutno. Jest tylko jeden punkt, który oczy moje przyciąga i serce moje pociesza — to ten złoty krzyż, wieńczący wieżyczkę kościelną. Tego śnieg nie zasypał, a dach kościółka, choć z blachy, tak prześwieca miejscami, gdzie się śnieg nie utrzymał, że dla mnie zdaleka promienieje, jak nadzieja, do odwagi — i modlitwy zachęcając. Więc choć mi smutno, rezygnuję i czekam kiedy wesołość i swoboda znów do duszy zawitają. Byle mnie tylko dobry humor nie opuścił, byłem nie stetryczała przed czasem. Co to jest jednak owo szczęście, ów feniks, o którym wszyscy mówią, a nikt nawet zobaczyć go nie może; na drobnostce trywialnej polega — na humorze. Dla mnie szczęśliwym jest nasz poczciwy Nikifor, kredencarz. Nigdy go nie widziałam nachmurzonego; krakowiaki sobie podśpiewuje, albo przygwizduje; żarcikami rozmiesza cały personel służbowy. Gdy się co stłucze, to na szczęście; gdy mu kto dokuczy, „to nie ze złego serca.” Tam swata

tu do chrztu trzyma, rad z siebie i z drugich. Ani wie, że jest właścicielem drogocennej perły, której nikt za góry złota nie kupi — humoru; ani wie także, że go sobie nieraz biorę za przykład, trzymając się zasady, że nie wyżej, ale nieraz niżej, znaleźć można skarby, któremi dobrze choć oczy nacieszyć.

Wzruszysz ramionami na moją prozę dzisiejszą i będziesz miała słuszność; zupełnie o czém inném pisać chciałam; nigdy wiedzieć nie można, gdzie nas nasza fantazyja poprowadzi. Jestem zdrowa; mama zawsze tak samo, więcej drżmie, niż żyje. Pisz prędko do kochającej siostry.

Twoja

Zofia.

List Izy do Księżny Zofii.

Méran, d...

Zochno, co tobie? Jeszcze cię nie widziałam w równie rozmazanej fazie? Gdzież się twoja energia podziała? Gdzie hart duszy? Wstydz się, perfekcyo, wstydz się! Gdzież pani swój piedestał podziała? Wędrujesz sobie po manowcach spleenu, jak jaka zwyczajna śmiertelniczka, nazywasz to brakiem odwagi do życia, poetycznie stan twój duszy

określasz, a ja ci prozą przedstawię zmore, która cię gnębi: jest to nuda.

Tak, jest to nuda, w całym znaczeniu tego słowa. Ja znam tę panią; gdzie zawita, wnosi z sobą pustkę. Głowa, serce, czyny nawet, wydają się nie mieć racyi bytu; cel każdy, choćby... walcowania z Volnarym i zawracania głowy Litwinom — wydaje się bezpodstawnym i bezzasadnym; w dalszym ciągu, nuda bezbarwną powłoką pokrywa góry, łądy, siola i lasy; na co spojrzysz, do ziewania cię pobudza; nuda kładzie ci pęta na umysł, każda książka, choćby to było arcydzieło... Gyp'a, wyda ci się *insipide*; nuda wciska się i wtrąca do pacierza, do obiadu, do łóżka nawet; to mało, wkrada się do flirtu, do sprzeczek z cicią; gorzej — nuda siada na loczkach cici i nie pozwala mi rozkoszować się niemi; nawet gdy ciocia sama na specjalnej maszynie gotuje zupkę dla Mamuta, nawet gdy Mamut rozlewa śmietankę na cici aksamitne *vêtement*, nawet w tych wypadkach, nuda śmiać mi się nie pozwala, ale ziewać muszę. Ty nie wiesz, co ci jest, Zochno, ale wierz mi, ty się nudzisz.

Jabym się temu nie dziwiła, ale zważywszy, że masz — o misyonarzu! — świętą misję do spełnienia, że masz pod ręką grzesznika, bałwochwalcę, do nawracania, więc się dziwię. Podobno nie ma na nudę lepszego lekarstwa, jak praca, (ja tego nie próbowałam, ale to podobno niezawodne). Pracuj

więc, siostró moja droga. Pomyśl, co to za cel szlachetny, jedną duszę pozyskać dla wieczności, jedną zbląkaną owieczkę do owczarni powrócić, i to taką owieczkę! *Tiens* — oddałabym wszystkie rozkosze marnego mego żywota, żeby móż się pochwalić nawróceniem Maksa. Ty nigdy nie umiałaś i nigdy nie potrafisz wyzyskać sytuacji. Smutne to, ale prawdziwe.

Bardzo byłabym o ciebie niespokojną, gdyby nie myśl, że się nastreczy okazyja, która ci energię powróci; liczę na Maksa; przecucie mówi mi, że on nie zawiedzie mego zaufania.

Tymczasem mam honor ci oświadczyć, że starą panną nie zostanę; że waryatów więcej jest na świecie, niżby bezpieczeństwo spokojnej ludności dozwolić powinno; co więcej, sprawdza się tu aksjomat, przezemnie dawno stwierdzony, że najniebezpieczniejszy waryat to ten, który najwięcej na swój rozum liczy; a chociaż chwilowo ów barometr, o którym wspominasz, nietylko że spadł, ale nawet burzę za sobą sprowadził, to niemniej wierzę w stałą pogodę, naturalnie... znowu do czasu.

Chętniebym ci odesłała hr. Andrzeja, ale to są *pia desideria*; on się tak na mnie gniewa, że musi przynajmniej póty zostać, póki na mnie nie wywrze całego złego humoru. Sto pociech mam z tym człowiekiem! Onby mnie gwałtem chciał mieć taką, jaką mnie sobie wymarzył, a to jest oryginalna preten-

sya — zupełnie tak, jakbym w pinczera cioci wmówić chciała, że on powinien być Neufundlandem; naturalnie! że wyśmiałyby mnie pinczer za taką propozycją. To nie przeszkadza, że im pretensje są oryginalniejsze, tém więcej mają uroku dla mnie. Co mi się jeszcze więcej podoba w moim mentorze, to, że on właśnie gani we mnie te zalety, które najwięcej się drugim podobają.

Całe stada dwunogich wpadają w ekstazę na mój śmiech, moją wesołość, moją wolnomyślność, moje „zasady”. — (*Aj! quelle dissonance, eh?*) — moje kaprysy, fantazyjki, (*j'en suis pétrie*), moje motto: równość, braterstwo i wolność. Jednym słowem, to wszystko, co stanowi *mnie*, podoba się tłumom i osobnikom.

Aż tu trzeba wyprowadzić niedźwiedzia z gęstych litewskich lasów, który na to wszystko pomrukuje, i który, co lepsza, nie chce wierzyć temu wszystkiemu, uparcie obstając przy swojem, że moje zalety nie są mojemu zaletami, lecz wadami i vice-versa. Przyznaj, że jest to nacechowane wyższym komizmem; *c'est renversant, c'est épatant, je n'en reviens pas*.

Tak dalece mnie to interesuje, patrzeć w serce rycerza Gasztolda, że inne sprawy są dla mnie podrzędne. Sama nie wiem, czyby to już miłość była? Może ja go kocham? Ha, ha, ha! moja droga, dobra Zochno, czy ty to widzisz? Ja zakochana, to doprawdy nie ma głowy, ni ogona, jak to Francuzi zwykli sprytnie określać takie chimeryczne dziwo-

łagi. Boć faktem jest, że ja, zakochana, byłabym *au moral* czémś tak pokręconém, tak zagmatwaném, skomplikowaném, a śmieszném przytém, że żadna japońska chimera nie mogłaby najfantastyczniejszą figurą odmalować mojej wewnętrznej istoty.

Tymczasem czekajmy; wielkie kataklizmy muszą się chyba zapowiadać większemi przewrotami, niż te które ja dotychczas w sobie obserwuję. Jeżeli śpię dobrze, jem niezłe, biegam po górach jeszcze lepiej, bałamucę Volnarego najlepiej, to się widocznie świat nie przewrócił dotąd do góry nogami, a trzebaby przynajmniej takiej ewentualności, aby się moje serce także „*upside down*” przewrócić mogło.

Ot, co to jest złe nawyknienie; przyzwyczaiłaś mnie głośno myśleć (miałaś nawet zamiar przyzwyczaić mnie *dobrze* myśleć) i niepotrzebnie teraz plotę, co tobie spokój mącić może; chciałam zataić przed tobą przyjazd Volnary'ego, Flambè Volnary! Trudno, prędzej później, wyszłaby oliwa na wierzch; wole już sama być zwiastunką złej wiadomości; ale nie bój się, dotąd nie sprowadziło to żadnej katastrofy — *à moins*, że humor bardzo zły rycerza do katastrof zaliczać można. Ja się także nie spodziewałam tutaj mojego Węgra. Chodzimy sobie najenotliwiiej w świecie po Promenadzie, ja byłam właśnie w owém stadyum nudy, w którym to nawet sposób, w jaki hr. Gasztold laskę za sobą ciągnie, denerwował mnie; laska w dniu owym pamiętnym, była

moją zmorą; brzydka, gruba, litewska, z galką kamienną; dla mnie galka ta zawsze podejrzenie wygląda, muszę jęj się kiedy dobrze przypatrzeć, czy nie z chleba ulepiona — to do Litwina podobne — okaz... pszenicy naszej swojskiej, bogactwa krajowego. Frazesy! Ale kto wie, czy Litwin pamiętek takich swojskich, nie włóczy za sobą, to do niego podobne.

Wracając do przedmiotu, już miałam dosyć owęj patryarchalnej laski i poczęłam ziewać, idąc obok Andrzeja; za nami drobnym truchciem podążała ciocia z pinczerem i Lusia, siostra Gasztoldowa. Myślałam właśnie — nie nie nie myślałam, bo mnie nuda zawsze wysusza mózg do dna samego; nie nie myślałam, ale prospekt mego życia przytłaczał mnie wtedy całym swoim ciężarem, a choć tak, jak ty, wron na nim nie widziałam, z których mogłabym smutno-poetyczne horoskopy wywodzić jednakże melancholia moja wystarczała, jak na jedną osobę.

Raptem... przystanęłam; naprzeciw mnie przystanął Volnary; on rękę do mnie wyciągnął, a ja, przekonawszy się, że to nie sennie złudzenie, ale rzeczywistość, poczęłam na środku Promenady bić w ręce z radości i bodaj czy nie podskoczyłam nawet.

— Jaki pan dobry, jaki poczciwy; ja zawsze miałam pana za ideał. Przyjeżdżasz w chwili, kiedy mi jesteś najpotrzebniejszym etc.

Fichtre! quelle grimace. Hrabiemu Gasztoldowi

wąsy zwisły na kwintę (czemu *nos* koniecznie?) i wtedy dopiero przypomniałam sobie o jego egzystencji, gdy podniosłam oczy na ten wspaniały okaz litewskiej kultury wąsowej. Okropnie był mentor niekontent ze mnie; dopiero wtedy lica jego się rozchmurzyły, gdy reprimendę zniósł z uległością średniowiecznego biczownika. Zapytał mnie z logiką czystko męską:

— Jeżeli ten Węgier wziął dosłownie pani okrzyki radosne, to prawdopodobnie miał słuszość.

— Miał — odrzekłam — bo się bardzo ucieszyłam; ja go doprawdy, dosyć lubię.

— Czy tylko dosyć? Nie dziwiłbym się, gdyby po takim przyjęciu, miał pretensję do czegoś więcej, niż do lubienia.

— Do czegoż? — spytałam naiwnie.

— Do dużo głębszego uczucia.

— Gdyby był zdolny do takich monstualnych hipotez, to dowodziłoby, że jest lunatykiem, godnym współczucia.

— Więc pani nie dba o niego?

— Nie więcej, jak o rezultat kwestyi wschodniej.

— Ależ to dziecko z pani. Niebezpiecznie jest puszczać samopas „*un bébé*”, które chodzić nie umie.

Słyszysz? I ty tego impertynencją nie nazwiesz? A co ty na to powiesz, że ja bajecznie lubię tego

impertynenta. Brak logiki niewieściej. Ty jedna tylko bezkarnie łajac mnie możesz, ty i rycerz; ale — bezskutecznie łajecie oboje. Pinczera w Neufundlanda nie zmienicie. Bądź spokojna, zdrowa jestem aż nadto; chciałabym trochę pochorować, aby widziéć minę hr. Andrzeja. Volnary przywoicie się sprawia, ciocia téż, pinczer téż i ja téż.

Twoja

Iza.

List Księżny Zofii do Izy.

Hońsk, d...

Izo droga! List twój cały jest tak rozgalopowany, że mnie się w oczach émiło, gdym go czytała. Nietylko, że nie wyjaśnił sytuacji, ale zaprowadził mi chaos w głowie, iż z niczego sobie sprawy nie zdaję. Czy ty patrzysz w przyszłość, trzymając na uwieży hr. Andrzeja, czy téż poprostu drwisz z niego, ze mnie, ze świata? Niepotrzebnie pytam o to, bo ty pewnie sama najmniej umiałabyś odpowiedziéć.

Ja jednak licząc na rozum *du preux chevalier*, że się haniebnie, jak wróbel, nie da wiaść na plewy. Jeżeli sam nie ustąpi z placu, to nie wątpię, że dobre powody mieć będzie do takiej wytrwałości, a jeżeli celu dopnie, to... szczęśé wam Boże. Nie przypuszczam, aby sobie nie potrafił dać rady z tobą późniejszej, jeżeli potrafi ujarzmić cię narazie.

Z twego powodu dwie noce spać nie mogłam i dopiero ta ostatnia konkluzja mnie uspokoiła. Czekałam więc cierpliwie, co z tego będzie.

Co do mnie, śmiałam się sama z siebie, że byłam dość naiwną, aby tobie się zwierzać z memi melancholijnymi uwagami, traflam kulą w płot; moja szanowna siostrzyczka raczyła mnie wyśmiać, wydrwić, że aż sama nad sobą wzruszałam ramionami, odczytawszy prozę twoją. Ale się o to nie gniewam. Przeciwnie, list twój spowodował zbawienny kryzys, i jestem znowu w normalnej fazie, nie szukając w niej południa o „czternastej godzinie”.

Masz słuszność, powinnam się oddać nawracaniu zbląkaną owieczki, to wzniosły cel. Posłuchałam cię narazie. W chwili kiedy czytałam list twój, usłyszałam tentent konia. Spoglądam przez okno mego buduaru, widzę „owieczkę”, zdążającą wyciągniętym kłusem wzdłuż alei wjazdowej, i zatrzymującą się przed narożną wieżą.

Po chwili Jakób zaanonsował pana Maksa Wielogórskiego, podług wszelkich form, a „misyonarz” z listem twoim w ręku powitał „bałwochwalcę”.

Ten ostatni odrazu wystąpił z bluźnierstwem:

Sapristi! Co za wiatr mroźny; strach pomyśleć. Do czego to podobne, kiedy wszyscy porządni ludzie polują?

— Ależ, panie Maksie! co to za pretensje nieuważnione. Jak to widać, że pan się masz za główny

cel na świecie; dla pana powinny być nawet prawa natury zmienione. Czy to rozsądnie?

— Rozsądnie! Kto mówi o rozsądku? Ja z zasady jestem przeciwnym rozsądkowi; to dobre dla żółwi, ale nie dla ludzi. Nie cierpię, gdy księżna ze swoim rozsądkiem wyjeżdża; nie wierzę, abyś była szczerą, nosząc w rękę ten sztandar meskineryi. To poza, to hypokryzja. Wszystkie kobiety, nawet tak idealne, jak ty księżno, hypokrytkami być muszą. Dziwna mania!

— Uważam, żeś pan w złym humorze; grzeczność zostawiłeś pan za granicą.

— Grzeczność? Kiedyż ja byłem grzecznym? To mi się pewnie w życiu nie zdarzyło. Przystedłem na świat bez żadnych uprzedzeń. Jestem dzieckiem swojego wieku; a dziś grzeczność jest tylko pustym brzmieniem bez znaczenia. Dobry przymiotnik dla małych bębnow, różgi potrzebujących. Formułka, która najwyżej dla dzieci znaczenie mieć może. Miała znaczenie także w wiekach średnich, ale wtedy ludzie wszyscy dziećmi byli. Dzisiaj wystarsza nie szturchać łokciem bliźniego, *notabene*, jeżeli ów bliźni nie przeszkadza w niczem; po za tém, jakież są obowiązki grzeczności?

— Są, powinien się pan tych obowiązków na pamięć wyczyć, bo aż przykro pomyśleć, jak pana wychowanie było zaniedbane.

— Wychowanie! Księżna wierzy w wychowa-

nie? Nie! na to trzeba do Hońska przyjechać, aby słyszeć język z zeszłego stulecia. Na to trzeba w starém zameczysku zardzewiałém, omszonym, mieszkając, aby tego języka nie zapomnieć. Rozsądek! Grzeczność! Wychowanie! Jak to brzmi oryginalnie. To mi, doprawdy, przypomina muzykę Luni. Menuecik, tańczony w zwierciadlanej sali Wersalu. Tu dyg, tam dyg, owdzie uśmiech konwencyonalny. Wszystko razem — śmieszności ludzkie. Ty księżno, musisz mieć umysł wiele wyższy od tych odwiecznych przesądów. Pozornie tylko stosujesz się do tła, na jakim cię losy postawiły. Ja ci tego za złe nie mam; przeciwnie, to jest dowodem, że rozumiesz harmonię i estetykę. Zameczysko *rococo*, sale w nim z XVII stulecia, portrety, tytuły, herby inne barbarzyńskie zabytki; potrzeba więc, aby *la dame de seant* dysonansu nie tworzyła — to zupełnie naturalne.

— Ależ na miłość Boską, panie Maksie, co pan mówisz? Czy to seryo, czy żarty? Cóż pan średniowiecznego widzisz w regułach, raz na zawsze przyjętych u wszystkich cywilizowanych ludów, po wszystkie wieki? Jeżeli grzeczność, rozsądek, wychowanie, nie obowiązują w niczém społeczeństwa, to w czémże od dzikich plemion różnić się będziemy? Dotąd myślałam, że tylko barbarzyńcy obywali się bez grzeczności i dobrego wychowania.

— Przecież księżna wiedzieć musisz, że ostate-

czności się łączą. Najwyższa, wyrafinowana cywilizacya, graniczy z barbarzyństwem o tyle, że tak jedna, jak druga, zrzucają z siebie pęta, nałożone przez drobnostkowy umysł ludzki. Brak owych formulek, których księżna bronisz, inaczej się objawia u dzikich, inaczej u wysoce ucywilizowanych; ale tak jedni, jak drudzy, z formułkami nie mają wspólnego.

— Pan mnie przerażasz. Wygłaszasz sofizmata, oparte na glinianych nogach i uparcie przy nich obstajesz. Przytaczam fakta na porażkę paradoksalnych teoryj. Jesteś pan rozsądnym, bo żyjesz mniej więcej tak, jak inni ludzie żyją. Jesz, śpisz, polujesz i grasz w karty, mniej więcej o właściwej porze. Jesteś grzecznym, bo się witasz i żegnasz, kłaniasz i dziękujesz, stukasz do drzwi, wchodząc do cudzego pokoju, rękę paniom podajesz, pomagając do wysiadania z powozu etc. Jesteś dobrze wychowanym, bo się oburzasz, gdy ktoś nóż pakuje do ust przy jedzeniu; bo kładziesz frak, gdy potrzeba, i ustępujesz siedzenia kobiecie, gdy stoi obok ciebie. Są to wprawdzie elementarne tylko zasady owych trzech zalet, dla mnie całkiem nie wystarczające, ale ostatecznie dowodzą, że nie wzięłeś pan rozbratu z tém, co cały świat obowiązuje.

— Przepraszam księżnę. Tylko o tyle kępuję się temi japońszczyznami, o ile nie chcę dysonansu stanowić w—Japonii. Zupełnie tak, jak ty, księżno,

bronisz tego wszystkiego, aby pozostać w stylu średniowiecznym, jako... stosowny pendant do otoczenia. To wcale nie przeszkadza, że w gruncie otrząsnąłem się oddawna z wszelkich rutynowych śmieszności. Bywam rozsądnym, (jeżeli ty księżno chcesz tę nazwę zachować całkiem różnemu pojęciu), gdy mi chodzi o zdobycie jakiegoś upragnionego celu. Bywam grzecznym, ale ten wyraz jest całkiem niedostatecznym; bywam balwochwalczo-pokornym i niewolniczo-usłużnym, gdy owa pokora i owa usłużność są szczytem szczęścia dla mnie. Bywam nawet dobrze wychowanym (także w zenitowym tego słowa znaczeniu), gdy mi chodzi o pozyskanie aprobaty, uznania wymarzonej przezemnie istoty. Pojmuję nawet Don-Kiszota. Gdybyś mi księżno każała rzucić się na wiatrak ze szpadą w rękę, rzuciłbym się; ale to wszystko razem nie zmienia w niczym mojego Credo.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego mnie, jak Piłata, w Credo swoje mieszasz, panie Maksie. Ale, że logicznego związku nie szukam w pana *impromptus*, więc zapytam tylko, cóżbyś pan zrobił, gdyby owa wymarzona przez pana osoba potępiła Credo jego i nakazała mu wręcz przeciwne artykuły wiary?

— Cobym zrobił? Ależ to bardzo proste. Jeżeli Henrykowi IV, dla pozyskania Paryża, wolno było „*abjurer*”, to cóż dopiero mnie, gdyby chodziło o zdobycie pani moich myśli? Henryk IV nie przestał być bohaterem, więc i ja niepotrzebnie robiłbym

sobie skrupuły. Jeżeli myślisz, księżno, że ja przywiązuję wielką wagę do mojej wiary, to się mylisz. Jestem z tych, którzy tak mało są pewni, czy mają rację, że nic ich nie kosztuje tę lub ową hipotezę przyjąć. Co jest prawdą, co jest odstępstwem od niej? Kiedy odstępstwo jest rachubą, kiedy przekonaniem? Któż mi powie? Któż dowiedzie? Daj mi księżno wiarę twoją, ja ją przyjmę. Tobie z nią widocznie dobrze, mnie z moją źle bywa, ale to tak źle... że w każdym razie nie stracę na zamianie, a spróbować zawsze warto.

To ostatnie było już zanadto wyraźną aluzją; nie wiem sama, jak z tego wybrnęłam, ale jakoś *me voilà saine et sauve*. Swoją drogą, zostałam na długo pod wrażeniem smutnych, choć niby to żartobliwo-cynicznych słów biednego chłopca. Jego coś gnębi, boli i tłoczy. W nim nie ma spokoju, szuka oparcia, a w próżni się gubi; żal mi go serdecznie. Cóż ja na to poradzę? Gdybym wiedziała, że coś poradzić mogę...

Ale tak się rozpisałam, a tymczasem Paweł ogrodnik czeka na mnie; uczę się róże szczepić i w oranżeryi codziennie dwie godziny siedzę; to dla mnie najmiłsze chwile.

Tysiąc serdeczności cioci Melei i hr. Andrzejowi załączam; pozdrów Mamuta. Ciebie ściskam. Czyś ty już nawet o Zingarze zapomniała.

Twoja

Zofia.

List Izy do Księżny Zofii.

Méran, d...

Już, już, myślałam, że przegrana z méj strony. Gdyby nie Opatrzność, czuwająca nademną, hr. Andrzej byłby prawdopodobnie w téj chwili w Hońsku, u nóg twoich Zosiu. Tak dalece zabierał się do wyjazdu, że w „*sleepingu*” już miał miejsce zamówione, a Józef, lokaj jego, który wszędzie uwagę na siebie zwraca, przyszedł do mnie z pożegnaniem, bo jestem u niego w stalszych łaskach, niż u jego pana. Pan, co do mnie, rządzi się kapryсами, a sługa obdarza mnie najczulszą i niezmienną przyjaźnią. Pocziwy Józef! — to typ skończony. Stary już, ale dzielnie się trzyma; mina dawnego wojskowego. Wyprostowany, wygolony, krótko ostrzyżony; w obecności hrabiego, inny człowiek: kryguje się, usta sznuruje i oczy wlepia w swego pana, w komiczny sposób. Nawet gdy wchodzi z interesem do niego, nigdy się pierwszy nie odezwie, tylko stanie, jak wryty, przy drzwiach i czeka na zapytanie.

Kilka dni temu wszedł do Luni saloniku, gdzie wszyscy byliśmy zgromadzeni, a że gawęda była niezmiernie ożywiona, więc na niego uwagi nie zwracał. Stał wyciągnięty, jak struna, wzrokiem swego pana magnetyzował; ani drgnął, ani mruknął; bawiło mnie to bardzo; po chwili, zwróciłam uwagę Andrzeja na ten okaz cierpliwości i musztry.

— Czego chcesz? — zapytał rycerz.

— Proszę pana hrabiego, jest miejsce w „ślepij”. „Ślepa” była dla nas zagadką niewytłómaczoną; szalony śmiech nas ogarnął, gdyśmy patrzyli na miłą poważną pana i sługi.

— W „*sleepingu*”, chcesz powiedzieć... Dobrze, możesz iść.

Ani się Andrzej uśmiechnął w czasie téj krótkiej zamiany słów. On jest nieoceniony ze swoją powagą.

W kilka godzin później wchodzi Józef, już do mnie tym razem, całkiem inny; gadatliwy, pełen wylania, prosto zmierza do miejsca, gdzie siedziałam.

— Przyszedłem pannę hrabiankę pożegnać, jedyne. Pan hrabia się uwziął, taki jechać trzeba.

— Okropnie mi przykro, mój Józefie; nie mogliście to wyperswadować panu hrabiemu?

— Et! — machnął ręką — panna hrabiaka żartuje. Żeby mnie pan hrabia chciał zastrzelić, tobym jeszcze cicho siedział. On wie, co robi, nie jemu gadać.

— A wam żal jechać?

— Bogać tam nie żal. W domu pusto, aż strach pomyśleć; takie pustki dobre dla sowy, ale nie dla człowieka. Pan hrabia zmarnieje. Ot, czas-by mu się żenić, zarazby i dusza do domu wstąpiła.

Aluzyę zrozumiałam, ale udając niedomyślną, pytałam dalej:

— A nie mógłby sobie żony na Litwie znaleźć? Panien nie brak?

— Gdzie, dla takiego pana! Proszę panny hrabianki, pierwszej lepszej z brzegu nie weźmie, bo to i dumny i mądry, a dobry pan, bardzo sprawiedliwy— wielki pan.

— Tembardziej, takiemu nie trudno żonę znaleźć.

— A pewnie, pewnie. Każdaby go chciała; ale to tak — pan hrabia grymasi, przebiera, i ta zła i ta niedobra. Ot i teraz. Myślałem, nie darmo tu jedziem, aż tu lichu nadało, wracamy bez niczego, a dom, jak pustkami stał, tak i stać będzie.

— To bardzo smutno, mój Józefie.

Widocznie słowa moje dodały mu otuchy, bo raptem pochylił mi się do nóg, i mówi:

— Ot, gdyby tak dobra wola, a panna hrabianka poprosiła pana hrabiego, toby może i został, bo choć miejsce w „ślepij” jest, ale jeszcze czas, można odmówić. Bo to proszę panny hrabianki i siostra pana hrabiego się martwi, teżby chciała, żeby co z tego było, a potem — et!

I machnął ręką; łzy mu w oczach stały.

— Poproszę Józefie, poproszę — odparłam.

On mi się znowu do nóg pochylił i w rękę pocałował i poszedł, mówiąc:

— Dziękuję panie hrabiance.

Powiedz mi Zochno, czy to nie rozczulające te swadźby Józefa? Trzeba Litwina pana i Mazura

ślugi, aby taki stosunek mógł być między nimi. Ubawiło mnie to niezmiernie. Myślałam już na seryo nad zanieśieniem prośby przed majestat rycerza, gdy odebrałam kartkę od Luni, w której prosi mnie, abym na nią nie czekała z przejażdżką, bo córeczka jej, Zunia, dostała silnego bólu gardła, więc nie chce jej opuszczać.

Natychmiast wybrałam się do Luni i zastałam tam hr. Gasztolda; dziecko miało silną gorączkę. Gdy po kilku godzinach zaszłam znowu zajrzeć, co się z Zunią dzieje, dowiedziałam się, że gorączka wzrasta i że się krupu obawiają. Zaniepokoiło mnie to bardzo.

O wyjeździe Andrzeja mowy już nie było; nie chciał opuszczać siostry w zmartwieniu.

Tym to sposobem życzenie Józefa zostało spełnione; bo gdy raz wyjazd został odłożony, to myślę, że bez mego pozwolenia więcej rycerz projektów robić nie będzie. Pogodziliśmy się najzupełniej; i to choroba dziecka była łącznikiem między nami. Biedactwo, bardzo było bliskie śmierci; przez kilka dni i nocy starałam się Luni nie opuszczać, pielęgnowaliśmy razem maleństwo. Straszny to był widok dla mnie: rozpacz matki, przygębienie Andrzeja — a potem... to wyczekiwanie śmierci. Zunia dusiła się, jej śliczna twarzyczka taki wyraz zboląły miała na sobie, że nie śmiałam patrzeć na nią, bo wzrokiem o litość błagała; przestрах malował się w jej cudnych

oczkach, a tu nie, nie poradzić nie było można. Co się w sercu matki dziać musiało, kiedy moje rwało się na kawałki?

Gdy już straciliśmy nadzieję, Andrzej i doktorzy namówili Lunię na operację; to uratowało dziecko, choć wydawało się bardzo ryzykowném. Dziś niebezpieczeństwo minęło, a hr. Andrzej taką mi wdzięczność okazuje za pomoc, jaką starałam się im udzielić, że to aż śmieszne doprawdy.

Cóż on myślał? — że ja jestem Herodem, bez serca, że mogę obojętnie patrzeć na męczarnie dziecka?

Dopóki tragedia się odgrywała, dopóty nie uderzały mnie jój komiczne strony, ale teraz, gdy sobie przypominam rolę cioci i Volnarego w tém wszystkim, to mnie pusty śmiech bierze. Nie, ta ciocia! Ona jest bajeczna — powiadam ci! Zdawało jój się, że jest niezbędna w téj całej sprawie, że jeżeli ona dziecka nie uratuje, to nikt tego nie dokáže. Co chwila wpadała do saloniku Luni i wywoływała jedną z nas z sypialnego pokoju; to przyniosła fiaszeczkę homeopatycznych ziarenek, to jakąś miksturę do smarowania gardła, a Mamut zawsze *à ses troussees* — naszczekując. Mnie to do rozpaczki doprowadzało. Andrzej zaś buntował się najwięcej na Volnarego, bo ciocia pod pretektem, że sama nie może chodzić po ulicach, zawsze i wszędzie ciągnęła go ze sobą. U Luni zostawiała go w przedpokoju, gdy on miał

dosyć delikatności, aby się do salonu nie dać wciągnąć, ale i stacye w przedpokoju drażniły hr. Andrzeja.

— To śmieszne, to sensu nie ma! — mrucał za każdym razem.

Że jednak, w czasie tych kilku dni, ani Węgier, ani nikt na świecie mnie nie obchodził, więc rycerz wspaniałomyślnie raczy mnie nie obwiniać o „brak taktu” Volnarego.

Dzisiaj miałam z nim długą rozmowę. Z „nim” — to znaczy z Andrzejem. Nie tryumfuj zawczasie — ja wcale nie obiecuję, że się już nie będę płać między „nimi”. Gdy mówię „on”, bo zawsze wolę dodać dla bezpieczeństwa „jaki on” bo jednemu wiary dotąd nie przysięgłam.

Wiesz Zochno, że im bardziej w oczy mi zagłada przysięga taka, im bliżej, wyraźniej rysuje mi się w oczach stula, dwa klęczniki, światła na ołtarzu, im wyraźniej *Veni Creator* brzmi w uszach, tém większy strach mnie ogarnia. Może godzina moja jeszcze nie wybiła? A jednak zdaje mi się, że gdy hr. Andrzej stanowczo i jasno kwestyę postawi, to byłoby szaleństwem z mojej strony, odmowną dawać odpowiedź.

Ja go bardzo lubię — czy to dosyć? Jak na mnie, zdaje mi się, że tak. Nie mam danych do miłości egzaltowanej w mojej naturze. Wszystkie panny, które znam, w moim wieku kochały się już i odkochały po wiele razy. Dla mnie te ich uczucia

wydają się albo egzaltacyą, albo afektacyą, albo imaginacyą. Ja dobrze wiem, że u młodych imaginacya palić się musi, ale wygląda to na pochodnię, która na dwóch końcach podpalona być może; jeden koniec wydaje płomień zawsze w jednym kierunku, w kierunku owęj mitycznej dla mnie miłości — drugi koniec płonie, to na cześć sztuki, to podróży, to zwyczajnego sobie flirtu, to sławy. Otóż moja imaginacya pali się tym odwrotnym, nie panińskim końcem. Wszystko mnie jeszcze bawi, wszystko zajmuje, a dlatego, że wszystko, więc skoncentrowania się wszystkich upodobań na jednym punkcie nie rozumiem.

Gdybym ja z Andrzejem otwarcie mówić mogła. Ale ja z nim jestem mniej niż otwarta. On mnie najczęściej paraliżuje; wyglądam wobec niego na ślimaka, który te niewinne rogi, jakie ma, chowa czém prędzej za dotknięciem cudzej ręki.

Zastanawiałam się nad wrażeniem, jakie on na mnie wywiera. Hipokrytką nie jestem; hipokryzya *c'est un petit vice mesquin*, jest mi wstrętna, jak brzydkie pełzające stworzenia. A jednak, obawiałam się chwilowo, czy wobec niego nie gram komedyi. Nie, nie jest to komedia, bo choćym chciała być inną, gdy on na mnie patrzy, to nie mogę. Zupełnie tak, jak dziecko wobec surowego ojca; szanuję go bardzo i z powodu tego szacunku powstrzymuję się od wszelkich figli w jego obecności.

Więc mam przyjaźń dla Andrzeja i mam szacunek, czy to wystarcza, Zosiu? Powiedz mi. Zastrzegam sobie prawo apelacyi od twego wyroku.

Dzisiaj rycerz pierwszy raz w rękę mnie pocałował, dziękując za Lunię. Byłam dość zdenerwowana kilku niedospanemi nocami i umęczeniem całodzienném, więc pewnie dlatego skłonniejsza do łez i rumieńców. Wyobraź sobie, że ja — ja Iza, lekoduch — na ów hołd rycerski zaczerwieńłam się, jak zwykły pospolity burak, i nieśmiało rzekłam:

— Wszysey powinniśmy tylko Bogu podziękować, ale mnie niech hrabia nie dziękuje. To wygląda na ceremonie, a my przecież dla siebie obcy mi nie jesteśmy, więc o ceremoniach mowy być nie powinno.

Andrzej pochylił się nademną i prosto w oczy mi spojrzął, mówiąc:

— Za ostatnie wyrazy wdzięczniejszy pani jestem, niż za wszystko. To moje gorące pragnienie, abyśmy dla siebie obcy mi nie byli.

Ja się przestraszyłam. Widocznie hrabia inaczej zrozumiał moje słowa, niż ja je pojmowałam; spuszczać więc prędko oczy przed jego byстрыm wzrokiem, odrzekłam:

— To rzecz jasna, przecież jesteśmy w obcym kraju, a z tój samój ojczyzny pochodzimy; gdyby tu na obcej ziemi solidarności nie było między nami, to o wszystkiém przyszloby zwątpić.

Andrzej wyprostował się i już innym głosem odparł:

— Masz pani słuszność. Solidarność jest jednym z pierwszych obowiązków człowieka, zamyka się w niej przyciętym instynkt samozachowawczy; tylko wspólnymi siłami ratować się można. Niestety, trzeba wielkich nieszczęść i wielkich niebezpieczeństw, aby sobie ludzie ręce podawali. W zwykłych okolicznościach królują kasty i sekty, a w kastach i sektach jeszcze przesady i antypaty; solidarność staje się wtedy echem wyrazem bez treści.

— To prawda, solidaryzowaliśmy się przy łóżeczku Zuni, gdy niebezpieczeństwo groziło. Czy teraz mielibyśmy się podzielić na kasty? Czy przesady będą nami powodować? — Powiedziałam to swobodnym, żartobliwym nawet głosem, bo spostrzegłam, że rycerz nierad był z mojej przedostatniej odpowiedzi. Spojrzałam mu w oczy może trochę ezulój, niż należało, ale to całkiem niechęć, z przyzwyczajenia tylko.

— Broń Boże — zawołał — nikt tak zgody, jak ja, nie pragnie. Byle moja pupilka (tak mnie Andrzej często nazywa) wierzyła swemu mentorowi, byle mu sobą trochę, troszeczkę kierować pozwoliła, dla jej własnego dobra, to wieczność całą przysięgam harmonii nie zakłócić.

— O! już warunki! — odparłam. — Już prawa dyktujemy, rycerzu Gasztoldzie. Gdzież się te czasy

podziały, gdy godłem rycerskiem było: „Jeden Bóg nad nami — jedna ona nademną”. A jeżeli ja odkryję w kierownictwie pana uprzedzenia, przesady, a jeżeli o kastowość hrabiego obwinę?

Miałam na myśli Węgra, ale on niczego się nie domyślał, tylko z entuzjazmem zawołał:

— Dziękuję pani, żeś mi dawne rycerskie *motto* przypomniała, a więc dobrze: „Jeden Bóg nad nami, jedna pani nademną”.

Bardzo niedowcipnie i nie w porę zarumieniłam się drugi raz; ten rumieniec zdradził mnie pewnie, bo słowa były naiwnie niedomyślne.

— Naturalnie — rzekłam — że tylko „jedna pani” nad hrabią. Żeby było, gdyby kilka rządziło nim naraz. Jestem dość dyskretną, że o imię tej pani nie zapytam.

Jak widzisz Zochno, uszłam jeszcze tym razem niebezpieczeństwa, ale co będzie jutro, albo za tydzień, albo choćby za miesiąc?

Co będzie, gdy klamka zapadnie?

Dosyć już o moich sprawach osobistych. Przecho-dzę do twoich. Oryginalny to zbieg okoliczności, że obiedwie równocześnie jesteśmy „na przelomie” (jak to szumnie brzmi). *Tu as beau dire* — jesteś więcej zajęta Maksem, niż się tobie samą wydaje. Nie dziwię się temu; z twego opowiadania on mi się bardzo podoba. Ciekawa jestem, czy ty jeszcze długo lawirować będziesz, zanim spuścisz kotwicę. Mnie

się zdaje, że Maks jest bardzo zręcznym korsarzem; ani się spodziewasz, jak twój pawilon powędruje na obce morza. Albo się mylę, albo ów „balwochwalca” prędko nawróconym zostanie; mam wielkie zaufanie w twoich zdolnościach misyonarskich; dasz mu swoją wiarę; on uwierzy w jedno bóstwo, któremu Zofia będzie na imię — i... Amen.

Ja tego pragnę, bo przecież ty nie możesz sama jedna na świecie pozostać. Prędzęj później, i mnie ktoś zabierze, a jabym miała wielkie wyrzuty sumienia ciebie opuścić.

Bądź spokojna o mnie; zdrowsza jestem niż świerki, które się na górach kołyszą. Cudny kraj, Niebo szafirowe. Góry, drzewa, wille, zwierzęta, ludzie, wszystko to pnie się wyżej i wyżej, jakby się chciało wykąpać w téj lazurówój przestrzeni. Czyste, balsamiczne powietrze, lekko oddycha. Orłom się zazdrości, że szybują wysoko, takie wolne, takie swobodne. Chciałabym być okrętem na falach morskich, albo sokołem nad skałami i świerkami płynąć bez przeszkody, nie zależeć od woli ludzkiej. Chciałabym być także Węgrem, służyć w armii, nosić mundur honwedów. Ale nie chciałabym być Mamutem, ciciu pinczerem, faworytem, niewolnikiem wychuchanym i udręczonym. *A propos*, Mamut miał astmę, ale mu górskie powietrze dużo dobrego zrobiło. Cio-cia jest przekonana, że to astma była. Andrzej dowodzi, że otłuszczenie serca; nieraz się z tego powodu

sprzecniają; ja zaś trzymam się innego zdania: Mamut był tak tłusty, że się ruszać nie mógł; teraz spacer po górach trochę go wytrenowały, *à la rigueur w handicapie* mógłby się puścić o lepsze. Cio-cia znowu desperuje, że to zbyt raptowne schudnienie, i suchot dla niego się obawia. Ale już, doprawdy, dosyć na dzisiaj. Nie mam odwagi odczytywać mego listu; przyznać musisz, że słowa dotrzymuję. Ani jednego *fait ni geste* nie ukryłam dotąd przed tobą; widzisz, żeś się jednak pociechy ze mnie doczekała. Ja ci to zresztą zawsze przepowiadałam. Takie łobuzy panny zwykle na ideały wyrastają. Od kilku dni taka jestem dobra, że się zaczynam o siebie obawiać. Mamut, ubiegający się w *handicapie*, ja ubiegająca się o *prix Montyon* — wszystko to niebezpieczną chorobę musi w sobie ukrywać. Zaczynam ziewać z desperacyi nad osobistemi zasługami. Grunt mojej natury wzrusza zawsze szyderezo ramionami nad każdą perfekcją. Tylko nie nad tobą naturalnie. Ciebie jedną uznaję, tobie jednej czołobitność składam, wobec ciebie jednej w prochu się korzę, wobec ciebie i czasem... wobec rycerza Gasztolda.

Widocznie mojem przeznaczeniem jest żyć opromienioną cudzą zasługą i doskonałością. Ponieważ mnie to nie kosztuje, a ja promienie, światło i blask lubię, kapalałabym się w jasności, a więc miło

mi, że mnie wy dwoje udzielacie coś z waszój promienistój aureoli. Tak mi to łatwo przychodzi.

Przyślij mi fotografię Maksa, ja ci załączam podobiznę najświeższą cici z suchotniczym pinczerem i żegnam cię serdecznem uściśnieniem.

Twoja

Iza.

List Księżny Zofii do Izy.

Hońsk, d...

Izo, siostrzyczko moja najmilsza, jak bardzo chciałabym teraz być przy tobie! Taka jestem niepokojna o ciebie, nie wiem, co ci radzić i jak się zapatrywać na tę całą sprawę. Pytasz się mnie, czy przyjaźń i szacunek wystarczają! W wielu razach tak, bo za temi uczuciami idzie trzecie, t. j. przywiązanie. To ostatnie bywa trwalszém od miłości, bo na przekonaniu, na znajomości gruntownej oparte, nie potrzebuje się bać rozczarowań. Niema w przywiązaniu ani rozgorączkowania, ani żadnej z tych cech anormalnych, które miłość charakteryzują. Mnie się zdaje, że gdy się jest zakochaną, to oczy inaczej widzą, uszy inaczej słyszą, myśl inaczej pracuje, krew inaczej krąży w żyłach, cały ustrój wewnętrzny się zmienia; życie nabiera innego kolorytu, średnie tony nikną, wszystko jest muzyką, albo zgrzytem, niebem albo piekłem, wszystkie sprężyny,

kółka, śrubki, jakie w nas funkcyonują, wprowadzone są w ruch, na delirium zakrawający. Uczucie miłości staje prędko u szczytu, dochodzi do zenitu tak łatwo, wzbija się na wysokość tak szybko... *Mais on ne reste pas stationnaire.* Nie, nigdy, nigdzie na jedném miejscu zostać nie może; nawet kamień grobowy zmienia swą postać, a cóż dopiero miłość, to skrzydlate, namiętne, gorączkowe stworzenie. Raz będąc na punkcie kulminacyjnym, już wyżej iść nie może, na miejscu zostać także nie może; więc musi schodzić, a to tak łatwo z góry, ze szczytów. To téż z równym pośpiechem stacza się z wyżyn, z jakim się do szczytu wzbijała, i rozpacz jój, gdy się ujrzy na dnie przepaści, równa się uniesieniu, gdy ją skrzydła gorączkowego uczucia tak wysoko niosły. Przywiązanie nie zna tego wszystkiego, całkiem inna jego marszruta. Po latach, po wielu spostrzegasz, że owdładnęło całą istotą twoją; jak i kiedy — nie wiesz. Ani wady, ani niedoskonałości drogiój ci osoby nie są w stanie wyrugować tego, co minuta za minutą w istotę twoją się wpiło, co zapuściło korzenie tak głęboko, że choćbyś i chciała, wyrwać już nie potrafisz. Miłość to meteor, przywiązanie to drobna gwiazdka, która nigdy nie zachodzi. Miłość to kwiat magnolii, prędko rozkwita i prędko przemija; przywiązanie — to caprifolium, drobna i niepozorna roślina, ale powoli rozszerza

swe gałązki, wyciąga je, sięga dalej i dalej, rozpsiera się szerzej i szerzej i trwa bez końca.

Ja dla ciebie szczególniej bałabym się miłości, bo tybyś rozczarowania nie przeżyła. Pragnęłabym cię widzieć spokojną w przywiązaniu. Ale... Izo moja droga, znając twoją naturę, mimowoli strach mnie ogarnia. Ty nie jesteś stworzona do cichego, powoli wzrastającego uczucia. Co poczujesz, jeżeli zapóźno poznasz pomyłkę? Co poczujesz, jeżeli zapóźno do miłości serce rwać ci się będzie? Tym razem rada jestem, że od mego wyroku chcesz apelować, bo spokojną ręką wyroku takiego, gdy o ciebie chodzi, podpisać nie mogła. Modłę się za ciebie goręcej, niż zwykle, mimo to obawa mnie dręczy, bo czasem najgorętsze modły wysłuchane być nie mogą. Jakiś cel, dla nas ukryty i niezbadany, wymaga, aby się stało, to co się stać musi, a co nam się tak bardzo złem wydaje.

Jak na dzisiaj, są to pesymistyczne zapatrywania, na które uwagi nie zwracaj; idź za własnym instynktem. Liczę zawsze na Andrzeja. Jest to dla mnie wielkiem uspokojeniem, że o niego tu chodzi; gdybyś dla kogo innego odczuwała przyjaźń i szacunek, drżałabym o twój spokój na przyszłość.

Co do mnie, dręczą mnie także różne niepewności, obawy. Waham się, niebardzo siebie rozumiem. Ta myśl, że ty mnie masz na dobre opuścić, wystarcza, aby mnie popchnąć do kroku niebardzo rozważ-

nego może. Nie chciałabym działać lekkomyślnie; staram się brać wagę do ręki, kładę na jedną szalę dodatnie strony, na drugą ujemne.

Dodatnie strony są: Wydobycie się z osamotnienia, cel w życiu, miłość męża, jego inteligencya, wpływ zbawienny, jakibym na niego wywrzeć mogła i chciała.

Ujemne: Mąż, dla mnie zamłody, przestrasza mnie, brak w nim nieraz zasad i religii, nie zgadzam się na pusty i lekkomyślny sposób życia jego, jak dotąd.

A potem... Musiałabym Hońsk opuścić, bo to gniazdo Henryka. Nigdy nie wprowadziłabym tutaj kogoś innego, obcego, na jego miejsce. I mąż-by się na to nie zgodził.

Dla mnie porzucić Hońsk, byłoby to wielkiem cierpieniem. Nie myśl, że żal byłoby mi pozbywać się mitry książęcej. Nie, ani na chwilę, gdybym tej mitry Henrykowi nie zawdzięczała. Nie jestem demokratką — i nie dziw! Z małemi wyjątkami demokratą jest ten, który swoich przywilejów za nicby nie oddał, ale cudzych łaknie. Kastowość istniała od chwili, w której człowiek na świecie się zjawiał. Pierwsi ludzie mieli się za lepszych od małpy (i mieli słuszność). Następnie wojownik wyżej głowę nosił od rolnika, potem silny od słabego, mądry od ograniczonego, i tak dalej. Dzisiaj kamerdyner impertynencko spogląda na stangreta, panna służąca na

praczkę, krawiec na rzeźnika etc. Tak widocznie być musi, bo natura ludzka do końca życia wiele dziecinnych uprzedzeń i śmieszności w sobie zachowuje; a któż jest większym arystokratą od dziecka? Mitra książęca, to jedna z tych zabawek, która dla ludzi-dzieci, zawsze wiele uroku mieć będzie. Jest to przywilej, który przypadkiem dany mi został, więc byłoby śmiesznością i pozą, gdybym nim pogardzała, bo nikt nie pogardza przywilejami, jakie losowi zawdzięcza. Jednak, aby zapłacić pustkę w sercu i w życiu, chętniebym się zgodziła na zrezygnowanie z tytułów. Tylko czy pustkę zapłaciłabym, wychodząc za Maksa? Dopóki sobie stawiam pytanie, czy Maks wart Hońska, toć jasnym jest, że on nie gra jeszcze ważnej roli w mém życiu, bo inaczejbym nie pytała. Gdybym choć tyle powiedziéć mogła, co ty, gdybym pewną była, że czuję dla niego przyjaźń i szacunek, tobym uwierzyła, że z tego przywiązanie wyrośnie. Przyjaźni wprawdzie mam wiele dla niego, współczucia także, ale szacunku... nie.

Tentuje mnie jednak rola kobiety, która z fałszywej drogi potrafi mężczyznę na prawą nawrócić. Uśmiecha mi się myśl, że za jakie kilkanaście lat ten sam Maks, dzięki mnie, byłby może człowiekiem w całym znaczeniu tego słowa, że dzięki méj pracy, i moim dobrym chęciom jeden użyteczny, wpływowy i zdatny człowiek przybyłby społeczeństwu.

Może byłoby to wszystko, ale tylko może, a nuż nie?

Kilka dni temu jeździłam konno na Zingarze. Wyjątkowo ciepły i pogodny był dzień, śnieg znikł zupełnie, zdawało mi się, że to Marzec, nie Grudzień. Zdaleka spostrzegłam dżokejską czapkę Maksa. Ty wiesz, jaki mam wzrok znakomity; gdy go tylko zobaczyłam, starałam się unikać spotkania, bo nie lubię takich spacerów sam na sam. Naturalnie, że ludzie zarazby się nami zajmować zaczęli serdeczniej, niż potrzeba. Myślałam, że on mnie jeszcze nie dostrzegł i pokłusowałam w stronę lasu. Pomyliłam się jednak, bo po chwili usłyszałam tentent konia za sobą, i prawie równocześnie Maks bachmata swego zrównał z Zingarą.

— Chciałaś uciekać, księżno, to bardzo brzydko z twojej strony.

Przez chwilę wyglądaliśmy oboje, jak model do owego sławnego obrazu, na którym jeździec za szczęściem goni.

— Mimowoli przywiązywałam głębsze znaczenie do pochycenia ciebie, zdawało mi się przez chwilę, że doprawdy gonię za niepochwytną marą, *et cela m'enrageait*.

— Tymczasem spostrzegłeś pan z żalem może, że to nie mara, ale zwykła śmiertelniczka. Przykre rozczarowanie.

— Niestety, księżno, w tym wypadku mara, a kobieta znaczy jedno, bo obie niepochwytnie.

— Trzeba znać słowo zaklęcia.

— *Connais pas.* Mnie wróżki niczego nie uczyły. Jakaś stara wiedźma była mi matką chrzestną, pocałowała mnie widocznie serdeczniej, niż potrzebowałem, i w tym pocałunku wlała we mnie zgrzybiałego złośliwego ducha. Ja bardzo zły jestem, czy księżna wie o tém?

— Wiem.

— A to jakim sposobem? Ciekawy jestem.

— Wiem, żeś pan duży majątek sprzedał, aby sobie yacht kupić. Wiem, że zbałamuciłeś miłą, młodą panienkę, udając zakochanego i żeś ją porzucił, życie jej łamiąc. Wiem, żeś wybił szpierutą starego Łukasza, stajennego. Wiem, żeś zadłużył kilka folwarków na zbytckowne życie w Londynie, żeś się pozbył ziemi ojczystej, aby zagraniczne aktorki protegować, żeś prowadził *grand train* w Nicei z wygraną w Monte-Carlo, żeś wreszcie...

— Dostyc księżno, błagam, już dostyc. *Quel cha-pelet infernal!* Goddam, cóż to księżna myślisz, że życie na to dane jest człowiekowi, aby jak żółw w skorupie siedział? Sama mi mówiłaś, że wszystkim na świecie ma swój cel, że każdy musi iść za swoim przeznaczeniem. Prosta rzecz, że aktorki, yachty, karty i kochliwe panny muszą znaleźć amatorów i admiratorów, ja byłem stworzony na amatora,

szedłem za swoim przeznaczeniem, a ty, księżno, robisz mi z tego zarzut.

— Przepraszam pana — rzekłam, zwracając konia ku domowi — zbyt szczerze odpowiedziałam na pana zbyt naiwne pytanie. Nie mam żadnego zamiaru, ani prawa, w życie pana wglądać. Tymczasem dowidzenia! — dodałam zimno i dosyć wyniośle. — Wracam, bo zimno już i ciemno.

Cała ta rozmowa po francusku była prowadzona, więc Ilko dojeżdżacz, który mi towarzyszył, nie zrozumieć nie mógł. Mimo mego pożegnania, Maks mnie nie opuścił.

— Jeżeli księżno rozkazujesz, to się oddalę natychmiast. Ale błagam cię, cofnij swój wyrok. Nie należysz do tych, któreby miały satysfakcyę w dręczeniu ludzi. Potępiasz mnie, gniewasz się za odpowiedź moją, ależ to żarty były! Każdy zarzut twój bolesnym wspomnieniem był dla mnie. Ja wiem, że życie marnowałem dotąd. Ja wiem, że gdyby wszyscy ludzie w kraju naszym do mnie byli podobni, to zmarnielibyśmy szybkim tempem. Ale cóż to pomoże? Przychodzą takie chwile szału na mnie, że chcę tylko upojenia; bądź co bądź, szukam narkotyków, czy to w kartach, czy na szerokim morzu, czy w... tak zwaną miłości. Gdy się ma taką naturę, jak moja, koniecznie oburącz czegoś trzymać się trzeba, albo krzyża t. j. wiary, albo mieć silną kotwicę, albo jedno wyjątkowo szlachetne serce; ina-

czój się ginie. Ja ginę marnie, bo nie mam tego wszystkiego.

— Masz pan ziemię, która ci dała wszystko, co posiadasz, masz pan rodzinę kochającą, masz młodość, siły, zdolności. Masz tyle, tyle — i wszystko to zmarnujesz. W tém, co masz, gdybyś poszukał, znalazłbyś wszystkie trzy skarby, za którymi tęsknisz. Ale nie tym, którzy rozrzucają, obiecano znaleźć, tylko tym, którzy szukają.

Dojeżdżaliśmy do ganku. Maks z konia zeskoczył i rękę mi podał do zsiadania, a żegnając mnie, rzekł półgłosem: „*Je chercherai.*”

Byłabym wolała, gdyby te słowa po polsku wymówił.

Nie wiem, czy to „szukając” innej drogi, takich cudów dokazywał wczoraj przy pożarze. Pomyśl tylko! Spaliła się cała osada w sąsiedztwie Wielogórskich, na pół drogi między Sitowiem a Hońskiem leżąca. Gdy wrócisz, nie poznasz miejsca, gdzie Borowe leżało.

Okropna łuna pożaru tak mnie zestraszyla, że choć późny był wieczór, wzięłam starą Dyszowską, jako towarzyszkę, siadłam do pajaka i pojechałam zobaczyć, czy moja pomoc nie przyda się na co. Naturalnie przedewszystkiem całą straż ogniową z Hońska wyprawiliam z wodą. Dzielnie się ludzie nasi spisywali, zuchy! Ale nie to w porównaniu do Maksa. Ja się z probostwa przyglądałam scenom

tragicznym i bohaterskim. Rada byłam, że się odważyłam na przyjazd, bo biedny stary proboszcz taki był wystraszony, że z trudnością uspokoić go mogłam. Zdawało mu się, że i kościół pójdzie z płomieniem, ale szczęściem ogień nie doszedł do bramy cmentarnej. Wracając do Maksa, cudów dokazywał. Wszędzie go było pełno, jak salamandra uwijał się w ogniu. Dwóch żydków i jedną starą przekupkę uratował od śmierci; komenderował, a komendy jego wszyscy słuchali. Poparzony, osmolony, zjawił się w końcu na probostwie i nigdy mi się tak przystojnym nie wydał. Wiem także, że ofiarował dla pogorzalców kilkaset rubli, drzewo, słomę. Naprędce kilka szop stawiają jego kosztem i z jego materiałów, aby choć trochę biedaków od zimna ochronić. Gdym mu dziękowała, odparł:

— Nie dziękuj księżno... szukam.

Tym razem polskie i proste te słowa serce moje posłyszało. Gdybyż to prawdą było, gdybyż on szczerze szukał i gdyby mu Bóg znaleźć pozwolił... Tymczasem, jedyna siostrzyczko moja, módl się, nie spiesz się z decyzją i szanuj zdrowie.

Twoja
Zofia.

List Izy do księżny Zofii.

Meran, d...

Zochno, już klamka zapadła. Od dziś rana jestem po słowie z panem Andrzejem.

Stało się.

Tak mi jakoś dziwnie na sercu, że nie mogę sobie zdać sprawy z uczuć moich. Równocześnie jest mi i smutno i wesoło; śmiać mi się chce z saméj siebie i płakałabym nad sobą. Pierwszy raz w życiu, robię na sobie wrażenie rozmarzonego mazgaja; chciałabym sobie dać klapsa i do kąta się postawić, bo takie śmieszne rozczulania sensu nie mają.

Stało się. Naturalnie, chcesz wiedziéć jak się stało, więc słuchaj. Wczoraj wieczór przy zielonym stoliku u nas, w hotelu Victoria, siedziała ciocia Melcia, Lunia, siostra Andrzeja i rycerz; grali w bezika, w pięć osób. Volnary i ja należeliśmy wtedy do wychodzących.

Volnary *se surpassait*; taki był komiczny, że ja tylko pragnęłam, aby się trójka grająca jak najdłużej bez nas obchodziła. Ty wiesz, jakie mam skomplikowane usposobienie; w nikim pewnie *la bête et l'ange* takich zaciętych wojen nie prowadzą, jak we mnie. Co prawda, rzadko się to zdarza, w wyjątkowych tylko okazjach, bo zwykle biorę rzeczy tak, jak się prezentują, ani je opromieniam iluzjami, ani tragedją otaczam. Płynę sobie z falą, niebardzo ciekawa dokąd mnie zaniesie, zupełnie zdecydowana na powitanie z równym, może trochę ironicznym spokojem, czy to piaszczystego wybrzeża, czy też łądów pokrytych bogactwami natury. Ty wiesz najlepiej, że w gruncie dbam o bardzo niewiele rzeczy,

że nie przejmuję się drobnostkami życia. Ale gdy chodzi o ważną sprawę, wtedy się rozpoczyna we mnie zacięty pojedynek między złem i dobrem. Nic ci nie mówiłam w przeszłych listach, że nieraz złe brało górę, bo cię straszycie nie chciałam; ale były chwile, gdzie zwalczałam pokusę w postaci Volnarego. Złe mówiło mi, że życie jest farsą, w którém nawet najsmutniejsze epizody mają swoją bardzo komiczną stronę. Jeżeli chcesz wesoło, z werwą, zamaszycie odegrać twoją rolę w farsie, to wybierz nie Andrzeja, ale Volnarego. Jeżeli chcesz, aby życie twoje miało za godło kolibra, wachlarz, szpicrutę i brylanty, to wybierz Volnarego.

Widzisz, że mój zły doradca zna mnie dobrze; trafiał we wszystkie słabe strony moje. Ja tak lubię — tak lubię — wszystko to, czém on mnie tentował. Moim aniołem byłaś ty jedna. Nie ja argumentowałam, z pokusami, tylko twój głos słyszałam odpowiadający: Jeżeli nie chcesz zblazowana, znużona, z pustką straszną w duszy, dojść do kresu życia, to nie myśl o Volnarym. Jeżeli nie chcesz wpaść prędko w zniechęcenie, w rozpacz nawet, jeżeli nie chcesz, aby własne twoje sumienie stało się dla ciebie nieprzyjacielem, narzędziem tortur wewnętrznych, jeżeli masz trochę wyższości w naturze, przywiązanie do kraju, do mnie, trochę poczucia obowiązku, to nie myśl o Volnarym.

Te dwa głosy zaciętą kłótnię prowadziły, męcząc

mnie nieraz strasznie. Wczoraj, gdy z Volnarym siedziałam na kanapce, przeglądając ilustracye francuskie, w chwili, kiedy reszta zatopioną była w znaczeniu punktów, trafiliśmy na obrazek, przedstawiający Vetserę i arekksięcia Rudolfa.

Volnary spojrział na mnie, pytając:

— Czy i pani ich potępia?

— Ja? — i zamyśliłam się na chwilę, bo cała ta tragiczna historia takie różnorodne wrażenia wywarła na mnie, że nie zdawałam sobie sprawy do tej chwili, jakie było ostateczne zapatrywanie moje.

On patrzył na mnie uparcie i czekał odpowiedzi.

Rzekłam w końcu:

— Potępiam ich więcej, niżbym potępiała innych śmiertelników w podobnych warunkach. Zdaje mi się, że arekksiążę nie pojmował doniosłości *noblesse oblige*. Na tamtym świecie, myślę, że słyszy komentarze, jakie nad nim robią portyerzy i subretki; jeżeli zaś widzi fotografie heroiny na bombonierkach, to jego miłość własna musi okropnie nad tém cierpieć. Zeszedł on z piedestału panującego i odegrał rolę bohatera trupy prowineyonalnej. Mniej się dziwię Vetserze. Tyle jest śmiesznie romantycznych panien na świecie.

— Jak się pani zimno i ironicznie zapatruje na wszystko! To dziwne w pani wieku.

— Jeżeli pan sobie przypomni, że to wiek XIX, to się mniej dziwić będzie.

— Gdy własna osoba pani w grę wejdzie, czy się nie odezwie trochę więcej entuzjazmu, zapału?

— Entuzjazmu nigdy; aby się entuzjazmować, trzeba mieć umysł nadwerżony. Dużo rzeczy lubię, wiele rzeczy mnie zajmuje, ale nie wpadam w zachwyty ani w oburzenie, nigdy, nad niczém. Chciałabym wyrobić w sobie zdolność do wesołego śmiechu, albo obojętnego wzruszenia ramionami w każdej okazji życia.

— Gdyby Zingara pożegnała się ze światem, wzruszyłabyś pani ramionami?

Aż podskoczyłam na miejscu. Tak mnie Volnary przyparł do muru tém zapytaniem, że spostrzegłam, iż się zagalopowałam w moich teoriach.

— Niech pan odwoła prędko — zawołałam — jeszcze pan gotów w złą godzinę wymówić. Zingara, to co innego!

Volnary się zaśmiał.

— *Enfoncée Mlle la philosophe*, — widzę, że niewiele potrzeba, aby panią poruszyć.

— Co pan mówisz? Więc Zingara, to „niewiele”? Zastanów się pan!

— No, ja tego nie dowodzę, ale...

— Ale ja panu dowodzę, że moje teorye tylko sięgają okoliczności, mojej własnej osoby dotyczących. Naturalnie, że zmartwienie, albo choroba tych, których kocham, dręczyłaby mnie. Tylko

moich osobistych zmartwień nie odczuwam; żartuję sobie z wszystkiego, co mnie wprost dotyczy.

— Gdybyś pani szła do ołtarza wierność i posłuszeństwo mężowi przysięgać?

— Śmiałabym się z tego.

— A gdy pani przyjdzie wybierać między kilku zakochanymi?

— Na los szczęścia się spuszczę, głowy sobie łamać nie będę.

— Doprawdy? Może pani postawi swoją osobę na jedną kartę?

— Może.

— Spróbujmy.

— Jakto?

— Pani dobrze wie, że panią kocham. *Sans faire des phrases*, mnie ta miłość zmarnuje, albo zbawi. Hr. Gasztold jest moim jedynym *groźnym* rywalem. Pani wszystko jedno, nie dbasz więcej o niego, niż o mnie. Niech karty zdecydują. Gdy siądziemy do gry, jeżeli pani pierwsza bezika atutowego w rękę mieć będziesz, to ja...

— To pan może się zabijesz, tak jak arcyksiążę?

— Nie pani, tylko wstąpię do marynarki. Ożenię się kiedyś może w dalekiej przyszłości, z jaką Rarahu z wysp Tahiti. Jeżeli jednak ja pierwszy bezika mieć będę w rękę, to... to pani będziesz moja wygraną.

Co ty na to powiesz, Zosiu, że ja przyjąłam ten układ? *C'est monstrueux*, ale tak było.

Szczęściem, czy nieszczęściem, (tak bardzo niezego nie jestem pewna), Andrzej posłyszal nasz kompromis i... położył veto. Veto tak energiczne, że wspólne błaganie cioci i Luni, które o niczym nie wiedziały, nalegania Volnary'ego i moje, żadnego skutku nie odniosły.

Jedyny powód, jaki Andrzej dawał uparcie do przerwania zakładu, brzmiał:

— Panna Iza ma gorączkę, niech się czémpredziej położy.

Starsze panie patrzyły na rycerza, przekonane, że to on właśnie ma gorączkę; jego jednak nic nie derutowały żadne zapytania, powtarzał tylko:

— Panna Iza ma gorączkę, dobranoc paniom! Może w ciągu nocy złe minie.

Volnary był wściekły, hrabia trzymał kapelus, ale pilnował Węgra, cofając się tak wolno, że chcąc niechcąc i mój niedoszły bezikowy mąż musiał nas pożegnać.

Dziś rano ciocia wybrała się ze mną na pieszy spacer. Na rogu ulicy spotkałyśmy Andrzeja z Lunią, którzy się do nas przyłączyli.

Lunia, widocznie wtajemniczona, ciocię zaakaprowała; mnie Andrzej rękę podał i szliśmy cudnym wąwozem, wijącym się jak strumień kręty między górami.

Niedługo Andrzej czekał, aby mnie zapytać.

— Czy gorączka minęła?

Nie chciałam grać komedyi, czułam, że słyszał całą moją rozmowę z Volnarym, więc odpowiedziałam.

— Minęła.

— Dzięki Bogu. Wie pani, że truchlałem, przysłuchując się waszej rozmowie wczorajszej. To straszne, jak się pani mało zastanawiasz nad życiem. I cóżbyś poczęła, gdyby los twój zależał od tego narwanego Węgra.

— Śmiałałabym się.

— Czy pani seryo mówisz?

Spuściłam głowę i oczy i odpowiedziałam trochę mniej pewnym tonem:

— Niezupełnie.

— Masz pani trochę zaufania do mnie?

— Mam dużo bardzo!

— Czy powierzyłabyś życie swoje w moje ręce bez strachu?

— Ja się niczego nie boję — odparłam wymijająco, choć czułam, że godzina wybiła i że wszelkie wybiegi na nic się nie przydadzą.

— To nie odpowiedź — odparł Andrzej.

— Kiedy już nie pamiętam o co pan pytał.

— Jakie z pani dziecko — westchnął rycerz głęboko, wymawiając to swoje wieczne *refrain*. — Więc mam powtórzyć pytanie?

— No, niekoniecznie — odparłam naiwnie — jeżeli panu nie śpieszno, to i mnie nie.

— Ależ mnie bardzo śpieszno, panno Izo. Mam to przekonanie, że pani każdej minuty gotowa jesteś zrobić szaleństwo. Ja na to nie chcę pozwolić, chcę mieć prawo czuwania nad panią, a to prawo mogę zyskać tylko, będąc twoim mężem.

— Hm... więc pan urządzasz rodzaj *sauvetage* ze mną. Łowisz pan tonącą. Jeżeli ja się mam brzytwy chwytąć...

— Nie żartuj pani, choć w tej jednej chwili.

— Kiedy ja tak lubię żartować.

Mój władca uśmiechnął się pobłaźliwie na moje słowa i raczył także zażartować, mówiąc:

— Więc mnie pani przyjmujesz jako brzytwę?

— Co za dziwna manja ratunkowa. Zupełnie, jak Zosia z Maksem — odparłam.

Fichtre! Wygadałam się niepotrzebnie; Andrzej spojrział na mnie zdziwiony, ale nie podnosił kwestyi; on jest bardzo dyskretny. Ja też prędko zawróciłam na miejscu i ratując sytuację, mówiłam:

— Jeżeli panu koniecznie zależy na ocaleniu mnie od niebezpieczeństw, niech więc stanie się za coś ambieyi pana. Ale nie wiem, kto hrabiemu zagwarantuje medal zasługi, bo ja nie.

— Więc się pani nie boisz pozbywać wolności?

— Trochę się boję, ale cóż mam robić; prędkiej — później...

— Ja nie chcę pani naglić. Może się pani namyśli.

— Nie hrabio. Już wolę nie. W każdym razie czeka mnie ten skok olbrzymi. Mnie się zdaje, że z góry mam się rzucić z zawiązanymi oczyma w zimną wodę; najlepiej na energię się zdobyć. Raz, dwa, trzy, *m'y voilà*.

I mówiąc to, wsunęłam moją rękę w jego. On ją przytrzymał, ale mówił dalej:

— Jeżeli masz później żałować, panno Izo, to nie chcę.

— Któż kiedy wiedzieć może, czy i czego żałować będzie. Niech mnie pan do zwłoki nie namawia, bo gotowa jestem znowu zaryzykować pannę Izę w bezika.

— Szaleństwo! — obruszył się bardzo.

— A co Zosia na to powie?

— Już do księżnej pisałem, mówiąc jój o moich zamiarach i prosząc o sankcję.

— Miał pan odpowiedź?

— Dotąd nie; ale ona jest na mnie tak łaskawa że myślę, iż nie przeciw temu mieć nie będzie. Musiałem się pospieszyć, nie czekając jój wyroku, bo się bałem powtórnej party bezika.

— Czy mi to często przypominać będziesz, hrabio?

— Nie, nigdy, bo się postaram sam o tém zapomnieć.

— Jesteś wspaniałomyślny, rycerzu Gasztoldzie!

— Jesteś pełna ironii, pani moja.

Pocałował mnie w rękę raz i drugi, przedstawił mi się w roli narzeczonych cioci, Luni i pinczerowi — wszyscy byli bardzo radzi. Mnóstwo pocałunków rozdało się przy tej okazji. Volnary podobno dziś wyjeżdża wieczorem w „ślepej,” tak mi Józef mówił. Poczciwy Józef o mało mnie nie przewrócił, tak mnie silnie ujął za kolana, dziękując za łaskę, panu hrabiemu wyświadczoną.

Dziś nic ci więcej nie donoszę. Jestem jeszcze trochę oszołomiona moim raptownym skokiem w zimną wodę. Pinczerowi się zwierzałam na ucho; bardzo cierpliwie słuchał, w końcu pokręcił ogonem i poszedł. Ja teraz ciągle się zastanawiam, coby znaczyło to pokręcenie ogonem. Czy to znak radości, czy powątpiewania o moim szczęściu? Muszę się spytać Andrzeja, co on o tém myśli! Zawsze trzeba *consulter les augures* przed ważnymi sprawami w życiu. Nie mając pod ręką innego, wybieram pinczera za wielkiego augura. Ja nie umiem tak poetycznie, jak ty, ze śniegu, nieba i ptaszków, horoskopów ciągnąć. *En somme*, jestem dosyć z siebie kontenta. Głównie aby tobie dać dobry przykład, poświęciłam się. Czekam równie pomyślnych wieści co do misyonarza i bałwochwalecy.

Całem sercem twoja

Iza.

List Księżny Zofi do Izy.

Hońsk, d. . . .

Spodziewałam się tego, a jednak miałam wielkie emocje, list twój czytając.

Teraz jednak lżej oddycham; spokojna jestem o ciebie. Andrzej potrafi uchronić cię od niebezpieczeństwa. Szczęść wam Boże obojgu. Dzisiaj nie odpowiadam na list hrabiego; tak się pośpieszył, że nie czekał na moje upoważnienie do kroku stanowczego. Najmniejszego zarzutu mu ztąd nie robię; miał wszelkie prawo mnie się wcale nie radzić, bo przecież tak o jego losie, jak o twoim, ja decydować anibyś śmiała, anibyś mogła. Nie dziwię się także jego pośpiechowi; gdy ma się do czynienia z osobą do tyła ryzykowną, że swoje własne losy szansie bezika zgodziłaby się powierzyć, to nie ma się czasu do tracenia. Wszysey cierpiący na manję ratunkową, jak ty to określasz, śpieszyć się muszą...

Wiem coś o tém i ta potrzeba pośpiechu dręczy mnie; ja nie należę do osób łatwo się decydujących. Zanim ci powiem, czy skorzystam z twego przykładu, do ciebie wrócę jeszcze. Nie pora już do robienia uwag; masz słuszność, klamka zapadła. Dziś, wszelkie uwagi, cisnące mi się pod pióro gwałtem, powstrzymywać muszę; pierwszy akt twego życia odegrany; gdy zasłona spada, nie czas go poprawiać

i przerabiać. To jedno zanotuję tylko, że mnie uderzyło finale téj pierwszej części; ani z jednéj, ani z drugiéj strony, słowo „kocham” nie zostało wymówione. Dlaczego? Pojmuje, żeś ty pominęła określenie uczucia, którego nie rozumiesz dotąd; ale czemu rycerz zaniedbał tak niezbędnego dodatku w podobnych chwilach?

Rozmowa między wami, którą mi przytaczasz, robi wrażenie Minerwy, która, ukryta pod postacią Mentora, oświadcza się z gotowością czuwania nad Telemakiem, trochę lekkomyślniejszym, niż jego prototyp.

Czy ciebie to nie zafrapowało? Czy nie czujesz żalu za tą pieśnią uroczą, która tak mile serce kobiece kołysze i ogrzewa — pieśnią słów gorących, pełnych uczucia, pełnych zachwyty?

Jeżeli braku tego nie spostrzegłaś, to najlepszy dowód, że ci to do szczęścia niepotrzebne. Tém lepiej; wracam do swego; bałabym się egzaltowanej miłości dla ciebie, ale z pewném zdziwieniem patrzę na twój spokój, na powierzchowne traktowanie całej téj, bardzo poważnej sprawy. Pomyliłam się widocznie; zdawało mi się, że ty, gdy pokochasz, to bezgranicznie, ślepo, śmiertelnie. Tém lepiej, tém lepiej, że się pomyliłam. Nie czas już zapytać, czyś się zastanowiła, że cię czekają różne poważne a nieraz trudne obowiązki do spełnienia. Odpowiedział na będziesz nietylko za swój los, ale i los Andrzeja.

Możesz mu zatruć życie — możesz mu je osłodzić. Czy się czujesz na siłach sprostania temu ostatniemu zadaniu? O ile znam hrabiego, zdaje mi się, że on nie jest ani despota, ani zbyt wymagającym, ale ma naturę prawą, bardzo wygórowane poczucie obowiązku, więc nie dziwnego, że każde zboczenie od jego ideału będzie go ranić i boleć. On tobą pokieruje, nie wątpię, ale mimowoli strach mnie ogarnia, czy wy nie stanowicie dwóch zbyt różnych żywiołów. Ty bierzesz wszystko lekko, on bierze wszystko poważnie; ty masz wszystko za drobnostkę — dla niego niema drobnostek; ty dążysz do wolności, niezależności, swobody — on się ma za niewolnika obowiązku. Tworzycie antytezę w całej doniosłości. Czy to nie zbyt wyraźny, jaskrawy nawet kontrast?

Dlatego ja ci mówię to wszystko dziś, kiedy sama nawet nie chciałabym, aby się odstało to, co się stało?

Dawne przyzwyczajenie głośnego myślenia; niech i tak będzie; szczerłość absolutna nie powinna zniknąć między nami, choć się los nasz odmieni. Zresztą, dotychczas „zapóźno” powiedziéć nie można. Póki się jest narzeczoną, póty ręce jeszcze stanowczo nie związane. To bardzo dobry wymysł taka próba przedślubna; choć do pewnego stopnia można się poznać i ocenić, i zastanowić nad przyszłością. Ta sama próba byłaby dużo zbawienniejszą, gdyby po większej części narzeczeni nie grali komedyi idealno-

lirycznej między sobą. Niestety, *on* raz narzeczony i *ona* raz po słowie, przywdziewają jakieś anielskie szaty na pewien czas, w oczy sobie patrzą, gruchają i za nic w świecie nie chcieliby się przyznać, cóż dopiero popisać z jaką przywarą, słabostką choćby. Te anielskie pozory nikną dopiero w kilka miesięcy po^oślubie, a wtedy wielką pretensję ma *on* do *niej* i vice-versa, że się tak w pole wywiedli. A może też to miłość łagodzi wszystkie usterki człowieka, póki samowładnie nim rządzi? Może narzeczeni do-
prawdy w czasie próby idealnieją pod wpływem oczu ukochanych; może takie oczy magnetyzują złe instynkta w człowieku i na czas jakiś usypiają je? Może. Bywa i tak i inaczej prawdopodobnie. Ja-
bym jednak wołała dla was obojga, abyście natury nie zmieniali podczas waszój „przedmowy”. Wołałabym, aby wszystko, co w tobie jest niedoskonałego, Izo, wyszło na jaw jasno i wyraźnie, póki czas. *Chassez la nature, elle revient au galop*. Wszystkie idealne zalety narieczonych są pożyczane tylko na czas jakiś — natura pędem wróci, z kąd była wyrugowana i — nieporozumieniom niema końca, gdy się obie strony, albo choćby jedna, przerachowały.

Jak na dziś, dosyć może tego obroku duchownego; może dawno ziewać zaczęłaś? Pociesz się, o czém inném mówić zacznę, a mianowicie o Maksie. Od pewnego czasu podoba mi się, ale zmiana jest za raptowna, abym na jój trwałość liczyć mogła.

Zawsze i to dobre, że Maks umie chcieć, że pojmuję czego od niego żądam; pewnie nieraz jeszcze reakcja przyjdzie i dawne nałogi wrócą, ale zadaniem kobiety jest przebaczać, wyrozumieć i spokojnie, serdecznie na nowo rozpoczynać dzieło nawracania na dobrą drogę.

Już Maksowi wyperswadowałam konie wyścigowe i krucyatę, jaką zaczął prowadzić na korzyść corocznych wyścigów miejscowych. Ulepszanie rasy koni, to tylko pretekst do zjazdów, bali i gry w karty; jest to może przydatne i potrzebne, ale aż nadto amatorów zrozumiało doniosłość tej potrzeby; tymczasem na wiele użyteczniejsze ulepszenia nie znajduje się ani grosza, ani zamilowania.

Zabrał się „syn marnotrawny” do pracy; ja patrzę na to zdaleka i zachęcam. Przejrzał księgi rachunkowe, pooddalał kilku urzędników niesumiennych, nosi się z planami restauracyi, udoskonalen, budowli i zawsze o me zdanie pyta.

Ja czasem mityguję zbyt ni zapal i czekam, lawirując ostrożnie, jak ty mówisz. Czuję jednak, że koniec bliższy jest, niżbym tego pragnęła.

Za kilka dni Boże Narodzenie, a ty tak daleko odemnie. Jakież macie plany na przyszłość? Nie chcę cię naglić do powrotu; taka jestem szczęśliwa, że ci służy górskie powietrze. Ale w chwili, gdy się los twój rozgrywa, być zdala od ciebie, to okropnie przykre. Ciekawa jestem, kiedy się was do-

czekam nareszcie, ciebie i mego przyszłego szwagra. Nie, stanowczo nie umiem sobie wyobrazić ciebie w roli narzeczonej. Ten biedny rycerz, on pewnie sam nie wie, w jakie niebezpieczeństwo się rzucił? Ale od czegoż rycerze, jeżeli nie od narażania się na różne przygody: porażki i zwycięstwa naprzemian.

Kończę już, bo tego roku sama jestem do przygotowań gwiazdkowych. Bardzo byłam pracowita; wykończyłam całe stosy ciepłych sukienek i sprowadziłam kilkanaście tuzinów ciepłych pończoszek na różne miary, a teraz złocę orzechy, pierniki, jabłka. Tak się cieszę na widok całej gromady bębnowiejskich, które oczy wytrzeszczać będą na drzewko i na swoje prezenta, że doczekać tej chwili nie mogę.

Wyobraź sobie, że się zdobyłam na energię tego roku i tak dla Wasilka, jak Pawełka, różgi są przygotowane w darze — ale chłopaki doprawdy zanadto psoiły tego roku, rodzice przyszli sami na nieh skarżyć; jeden się zakradł do moich kurników i dwie kury zadusił, tak sobie dla sportu — ja wolę jednak przypuścić, że je chciał upiec i zjeść, tylko mu okazji zabrakło. Drugi, Pawelek, ten twój faworyt, największy łobuz w okolicy, tyle oczu koleżkom popodbijał i taki kłótlivy, że z nim ojciec do ładu dojść nie może. Zamiast pierników, różgę dostaną i abecadło; od Nowego Roku przyłączę obydwóch do mojej szkółki; aż się boję, jaka praca mnie z nimi czeka. Tymczasem muszę cię pożegnać, moja Izo

droga. Niech cię Bóg prowadzi. Bądź otwarta z Andrzejem — niech on cię do gruntu pozna, to jedyna rękojmia szczęścia. Do widzenia.

Zofia H.

List Izy do Księżny Zofii.

Méran, d. . .

Moja Zochno droga, jaka z ciebie niepoprawna marzycielka. Cóż ty chciałaś? Aby Andrzej u nóg moich klęknął i z patosem, a namaszczeniem wielkiem, wyrzekł uroczyście: „kocham cię, pani!”

Mais tu est arriérée mon amie; Maks ma rację. Nie rozumiem zkad to pochodzi, bo tak wiekiem, jak wyglądem, soror moja nie należy do przeszłości. Widocznie to wpływ zmurszałego zameczyska, rodzaj atawizmu z murów w ciebie przechodzi, przesady wieków minionych nawiedzają cię. Zresztą pociesz się, owo „kocham” zostało wyrzeczone w chwilach decydujących w mojem życiu. Wprawdzie po francusku i tonem bardzo *matter of fact*; wprawdzie przez Volnary'ego, nie przez Andrzeja, ale w gruncie to na jedno wychodzi — *qu'importe la coupe pourou...* jak to Musset powiedział?

Przepraszam panią, mnie jeszcze nie wolno Musset'a cytować. Nie szykanuj mnie zbyt, bo wierz mi, nektar, w owym kielichu zawarty, a raczej owo wyznanie miłości, nie upoiło mnie bynajmniej,

ani mi serca rozgrzało, ani ukołysało. Jak dotąd, mogę widocznie czytać bezkarnie Musset'a i słuchać bezkarnie czułych deklaracyj. Andrzejowi brawo się należy za wstrzemięźliwość w tym względzie, bo gdyby z patosem wystąpił i lirycznie pragnienie serca swego wyraził, to najwyżej otrzymałby „kaskadę śmiechu srebrnego”.

Tiens, uważam, że w razie potrzeby umiem się ładnie wysłowić.

Zochno, ciesz się, w ślad za listem moim przybędzie Andrzej, jako poseł do Hońska, donoszący ci radosną nowinę mego powrotu. Nie będę czekała, aż mi dzikie gęsi dadzą przykład opuszczania cieplejszego klimatu; zdrowa jestem, spieszę się do ciebie, bo uważam, że mnie obowiązek wzywa. Taka manja ratunkowa napadła moich najbliższych, że poczytuję za stosowne nie pozostawać w tyle. Ja także, pod twoim i Andrzeja wpływem, pragnę spełniać obowiązek; co to za imponujący wyraz: obowiązek! *C'est grand!*

Ja chcę także być wielką, ja chcę także mieć moje zasługi, więc rzucam Méran, rzucam całe zastępy niewolników i dążę, gdzie mnie sumienie wzywa, dążę ratować... ciebie i Maksa. Ciebie, bo z twe g ostatniego listu bije taka aureola świętości, że gdybym temu końca nie położyła, to gotowa jesteś skazać się na włosienicę i biczować co rano, poszcząc i modląc się po nocach. Dla mnie jest to rodzaj sa-

mobójstwa, ale ty masz skłonność do ascetyzmu. Czyż ja wiem? Może który z pradziadów naszych był Karmelitą bosym... Atawizm!.. (to bardzo modne wyrażenie). Nuż duch owego Karmelity w tobie zamieszkał?

Muszę Andrzeja zapytać, czy atawizm tylko w prostej linii się odbywa; jeżeli tak, to mnie uspokoi, bo Karmelici bosy, nie mając dzieci, nie mogliby fikcyj swoich na następne pokolenia przenosić i to byłoby wielką dla mnie pociechą. Tak, czy inaczej, ciebie ratować muszę i ocalić Maksa. Zmiłuj się, kobieto! Czy ty zamierzasz zapisać go do bractwa żalujących braci? Co on tobie zawinił, ten człowiek, że ty chcesz w nim wszelką indywidualność zatracić? że chcesz go na mumię egipską zamienić? Nie, temu wszystkiemu trzeba koniec położyć. Ani się spodziewasz, gdy mnie w swych ramionach ujrzysz. Szkoda, że się nie pospieszylaś i Maksa nie możesz mi jako szwagra przedstawić, bo i jego chętniebym uściskała — po siostrzanemu naturalnie. Los jego coraz więcej interesować mnie zaczyna; wzbudza moje współczucie. Czuję, że broniąc go, mogę mu się na coś przydać, a zwykle kocha się tych, którym się jest potrzebną.

Gdybym ja Andrzejowi potrzebną być mogła. Gdzie tam! Ja w jego życiu stanowić będę *le superflu* — i to nawet nie cacko luksusowe, harmonizujące z gustami właściciela; przeciwnie. Gdybym się

nie bała być impertinentką, to powiedziałabym, że ja z Andrzejem, to uosobienie kozucha z kwiatkiem. Potrzebną mu jestem, jak potrzebny jest wachlarz niedźwiedziowi, albo peruka pincerowi cioci. Co jemu po mnie, doprawdy jestem ciekawa. Pytasz mnie, czy go potrafię uszczęśliwić? Między nami mówiąc, to bardzo niedyskretne pytanie, ale tobie wybaczę je łaskawie, tylko napomknę, że się trzeba trochę zastanowić, nawet pytając o coś. Dużo stosowniej byłoby skreślić: „Czy on mnie potrafi uszczęśliwić” i postawić potrójny znak zapytania. Nie drzyj; nie doszłam do krytycznej chwili, gdziebym seryo o tém powątpiewać zaczęła. Myśmy dopiero prolog otworzyli, odczytaliśmy, a raczej z trudem odcyfrowali pierwsze kartki. Każdy początek jest trudny; nie wątpię, że coraz pójdzie gładszą drogą wzajemnych ustępstw. I tak: ja jemu ustąpiłam, obiecując, że papierosów palić nie będę. Jest to wielka ofiara z méj strony, bo zawsze sobie obiecywałam, że w przyszłości, gdyby mnie wszystko inne w życiu zawiodło, to potrafię znaleźć treść szczęścia w spiralnych kółeczkach siniego dymu. Oczyma imaginacyi wpatrywałam się już nieraz w te kółka, krążki, obłoczki niepochwytne i widziałam w nich historję z tysiąca i jednéj nocy. Ty wiesz, że fantazyą moją umiem jeździć na koniu Ali-baby. Otóż, moim koniem miał być dymek z papierosa. Z rozkazu padyszacha, rumaka zazarowanego

go się pozbyłam. *Tu sais, les hommes, c'est si naïf!* Tyle im satysfakcyi sprawa, gdy na ich rozkaz nie nosimy białego czepeczka, tylko... czepeczek biały. Tak tryumfują, tacy radzi z siebie, że nad nami to wielkie zwycięstwo odnieśli. Za to otrzymałam obietnicę, że do wszystkich polowań z fuzyą, należęć będę. Naturalnie, że wołę polowanie i fuzyę od papierosa, ale zaczęłam się upierać przy ostatnim, aby na pierwsze koncesyę otrzymać; udało mi się; ja daleko zajdę na drodze dyplomacyi.

Ba! *si l'on me consultait...* dawnoby już kwestya wschodnia była załatwiona, bez rozlewu krwi i bez trzymania milionów młokosów pod bronią. Mam plan cudowny, muszę go anonimem Bismarckowi posłać. Szkoda, że ciebie polityka nie interesuje; mnie bardzo. Tylko mnie to martwi, że tak wszystko karłowacieje. Odkąd Boulanger wszedł na szachownicę, jak pies w kłęgle, to interes mój w sprawach publicznych zredukował się bardzo. Do czego to podobne? Jeżeli z takim komiczném nazwiskiem bohaterem można zostać, to przychodzi zwątpić o wszystkiém. Śmieszność jest dla mnie gorsza, niż grzech śmiertelny, a i pomadowany fryzyer, nazywający się Boulanger i noszący czerwony gwoździak w klapie od surduta... *c'est d'un grotesque!* Szczęście, że i Andrzej Boulanger nie lubi.

Jeszcze niezupełnie zbadalam jego teorye polityczne, ale trzeba się będzie do tego zabrać, bo to je-

den z ważniejszych punktów życia małżeńskiego. Ciocia mnie ostrzegęła: Izo — rzekła uroczystym głosem — pamiętaj, że jeżeli nie będzie i nie było nigdy zgody między mną a mężem moim, to z powodu gazet. On trzymał Przegląd Tygodniowy, Lanterne, Siècle, Reformę; ja abonowałam Kronikę Rodzinną, Niwę, Kuryera, Słowo, Przegląd Katolicki, Journal amusant... Powiadam ci, co poczta, co wieczór, ta sama awantura; Henryk się zaperza i czyta mi głośno okropne potwarze tych Lewiatanów, co w jego gazetach pisali; potwarze na wszystko, co święte i drogie. Naturalnie, że mnie to do pasy doprowadzało. Wtedy ja zwymyślałam od ostatnich jego Rochefortów, Tirardów, Floquetów, a koniec był ten, że nigdy nie powiedzieliśmy sobie dobranoc. Rano on zawsze przeglądał moje pisma i sarkastycznie pytał: Czego wyrzucasz pieniądze, kiedy tych twoich koszalek opalek nie czytasz? Wyrzucam dla honoru domu, bo mi wstyd, że nazwisko nasze kompromitujesz twemi *sans-cullotami*. I tak w kółko. Co jemu do tego się mięszać, czy czytam, czy nie czytam. Czy to moja wina, że nie mam czasu do przeczytania jednej marnéj gazety?

Co ty mówisz na argumentacyę cioci? Dla mnie jest ona klasyczną, bo choć koniec nie wiąże się logicznie z początkiem, ale dla swéj oryginalności podobalo mi się to bardzo. Ciocia, gdy mówi powa-

źnie, zawsze się odznacza czysto indywidualnym zmysłem.

Gdy wystudyuję wszystkie opinie Andrzeja, wtedy wiedzieć będę, jak dalej postępować; masz rację, nigdy zapóźno, gdy chodzi o zabezpieczenie sobie przyszłości.

Co do mnie, nie obawiaj się, jestem już z rycerzem otwarta, szczerza zupełnie. Cóż za względ mógłby mnie jeszcze kępować? Zdobyłam go i pokonałam, nie przemocą, to podstępem. Jestem zwyciężcą — *vae victis*.

Nie oburzaj się, nie będę się znęcać nad twoim protegowanym, ale prosta rzecz, że chcę mieć choć kilka przywilejów zwycięzcy. Andrzej wyjedzie w tych dniach, dąży wprost do Hońska, pozwalam ci go bałamucić, nie jestem zazdrosna; *à titre de revanche*... Z włosienicą i dyscypliną poczekaj do mego powrotu.

Twoja
Iza.

List Księżny Zofii do Izy.

Hońsk, d. . .

Rano list twój odebrałam, a wieczorem Andrzej już był w Hońsku. Zaledwie miałam czas oswoić się z myślą powitania mego szwagra *in spe*.

Z żadną myślą w ogóle nie byłabym się mogła połapać owego dnia, t. j. wczoraj, bo jak to już z depeszy mojej wiedzieć musisz, byłam pod najświeższym wrażeniem ostatecznie powziętej decyzji. Maks się oświadczył i został przyjęty. Czy to nie oryginalnie, że narzeczonemi jesteśmy, ty i ja równocześnie?

Takie mam dziwne uczucie, zupełnie, jak gdyby to, co postanowiłam, nie było stosownym, jak gdybym się wstydzić potrzebowała; a przecież wobec Boga, zdaje mi się, że tylko dobre i prawe pobudki mną kierowały. To nie przeszkadza, że gdy po fakcie dokonany weszłam do mego sypialnego pokoju, gdy spojrzałam na portret Henryka, spuściłam oczy czémprędzej, jak winowajczyni przed wzrokiem mego męża, a raczej tego, który był moim mężem...

Do téj chwili, chociaż mogłam już się oswoić z nową sytuacją przez dwa dni, do téj chwili ciągle mnie trapią wyrzuty sumienia. Nie śmiem spojrzeć na portrety Hońskich, w których odwiecznym gniewie najlepszą i najpiękniejszą część mojej młodości przeżyłam; nie śmiem spojrzeć na tyle, tyle drogich przedmiotów, które z ręki Henryka dostałam, a przecież pozbyć się trzeba tego uczucia, bo nie mam sobie nic do zarzucenia. W samotności pozostać nie mogę, bo jęć się boję, lubię życie w koło siebie, umarłabym, gdyby mi przyszło z tobą się rozłą-

czyć i nie mieć czém pustki zapelnąć. Całe długie moje życie mam jeszcze przed sobą; czy źle robię, że przyjmuję towarzysza do dzielenia ciężarów, albo pociechy? Naturalnie, że nie w tém złego niema, a jednak nie śmiem już myśleć o Henryku.

Zła jestem na siebie, chciałabym więcej serdeczności Maksowi okazać, chciałabym być weselszą w jego towarzystwie, coś mnie dręczy, coś mnie tłoczy, nie mogę się pozbyć jakiegoś przykrego uczucia i nie umiem ukryć tego dostatecznie. Dlatego-to może czuję rodzaj ulgi, gdy choć kilka godzin sama z Andrzejem zostaje, wobec niego krępować się nie potrzebuję; nasza korespondencya tak nas zbliżyła, że dziś, jak ryby w wodzie, swobodnie bujamy, głośno myśląc, dyskutując o tysiącach przedmiotów z takim ożywieniem i z taką satysfakcją, że to formalna uczta, dla mnie, spragnionej gawędy szczerzej, poufniej z sympatyczną duszą. Ciesz się, Izo, twój przyszły właściciel znalazł łaskę w moich oczach, większą, niż byłam na to przygotowaną; nie wiem, czém sobie zasłużyłaś u Nieba na wyciągnięcie tak wielkiego losu w loteryi życia. Andrzej nie tylko krewnym mi był przez Henryka, nie tylko bliskim mi będzie przez ciebie, ale krewnym mi jest i bliskim duchem. Najbliższe to pokrewieństwo, takie *Wahlverwandschaft*. Nie potrzeba znać się przez długie lata, raptem spotyka się i odkrywa odrazu tyle węzłów, tyle cienkich nitczek, wiążących jedną myśl

z drugą w sympatyę, w harmonię niczém niezakłóconą, że godzina jedna więcej zbliżyć może w takich warunkach, niż dwadzieścia lat życia pod jednym dachem, gdy niema téj łączności moralno-umysłowej. Oryginalnie zeszły te dwa dni, od chwili przybycia Andrzeja. Rano schodzimy się około jedenastej w bibliotece, ogień pali się na kominku i tak ciepło, tak przytulnie, jak nigdy; rozprawiamy bez końca, śniadanie podają, rozmowy nie przerywamy, dalszy ciąg prowadzi się jeszcze po śniadaniu, napowrót w Bibliotece. Raptem o trzeciej słychać turkot, twoja siostra czerwieni się, jak pensyonarka — wchodzi Maks — prezentaeya wczoraj się odbyła; dwa ukłony, bez podania sobie ręki i... O nieba! przybawajcie mi w pomoc, ja, ja wprawna w robieniu honorów, pokładająca pewną ambicyę w odgrywaniu roli uprzejmej gospodyni, raptem tak tracę kontenans, że poprostu trzech zliczyć nie umiem. Ani podtrzymuję konwersacyi, ani spoglądam na moich gości, piekę raki *comme une soubrette* i cały mój dowcip ogranicza się na poruszaniu węgla w kominie szczypcami.

Nie rozumiałam, co mi się stało, teraz jednak zdaję sobie sprawę z téj idyotycznej nieśmiałości, jaka mnie napadła; poprostu wstydę się Andrzeja — wstydę się, że powtórnie zamaż wychodzę. On był przyjacielem Henryka, jego bratem ciotecznym, co on o mnie myśli, że ja dla Maksa o Henryku zapo-

mniałam. Tak dalece krępuje mnie to bardzo nierozsądne uczucie, że pozbyć się go nie mogę; ile razy Maks się zjawia, tyle razy ja tracę kontenans. Ci panowie mogliby choć trochę wejść w moje położenie, choć trochę przeczuc, co się we mnie dzieje i dopomóż mi, i nie czekać na mnie do podtrzymywania rozmowy. Obydwaj wykształceni, obydwaj znający świat wytrawnie, a jednak ani cienia postępu w ich stosunkach nie widzę. Andrzej mruka udaje wobec Maksa, Maks popisuje się ironią i najkrańcowszymi teoryjami wobec Andrzeja. Z całym zapasem paradoksów wyjeżdża, jak gdyby mnie chciał na złość zrobić; mówi to wszystko, czego mam nadzieję, że nie myśli, ale co Andrzeja z pewnością oburzać musi. Ja nie śmiem zanadto go powstrzymywać, bo widzę, że jest w swojej złej fazie, a wtedy staje się wcielonym duchem sprzeczności. Im bardziej chciałabym przeczyć, tém goręcej i dalej lansować się będzie.

Nie bój się, Izo moja, nie tak łatwo wykorzenię z niego tę indywidualność, o którą ci tak chodzi; zdaje mi się, że to znacznie trudniejsze zadanie, niż z początku myślałam. Przedewszystkiēm odkrywam w nim dziwny brak równowagi w usposobieniu; zmienia się, jak kameleon, albo jak kapryśna, źle wychowana a piękna kobieta. W pierwszej chwili wydał mi się światowcem, trochę powierzchownym, ale wesołym i dobrym chłopcem, potem spostrzegłam

w nim więcej głębi, dużo wrodzonego usposobienia do melancholii, brak zasad, ale cierpienie głębokie z tego powodu; nareszcie rzucił się na pole pracy, chwycił się oburącz celu przezemnie wskazanego, ale choć nie mam żadnego powodu sądzić, aby miał w tém ostygąć, dość tego powrotu do wygłaszania fałszywych teoryj, aby mnie odstraszyć.

Biedny chłopiec! mnie go tak żal. Tak bardzo chciałabym nadać więcej hartu, więcej systemu jego chwiejnej naturze. Może mi się to uda. Muszę, muszę trzymać się tej wiary, bo inaczej brakowałoby mi sił na podejmowanie takiego zadania. Czegoś mi tak smutno, tak smutno. Jego drażni to moje widoczne przybicie. Bo téż to sensu niema, przecież mnie nikt nie zmuszał wyjść za niego. Jestem pewna, że gdyby nie uczucie pewnego upokorzenia wobec Andrzeja, wszystko inaczejby mi się przedstawiało, ale zdaje mi się, że Andrzej nie pochwała mego wyboru; chciałabym, aby mu się Maks w inném świetle ukazał, a Maks mnie i sobie szkodzi, mnie i sobie na złość robi. Nigdy z Andrzejem nie dotykamy kwestyi mego przyszłego zamażpójścia, i on i ja unikamy tego przedmiotu. Za to o tobie mówimy często bardzo; Andrzej wysoko podnosi zalety twoje i mnie do ich uznania wzywa, jak gdyby z pewnym niepokojem oczekiwał, czy mu przeczyć nie będę. *Je m'en garde bien*, chociaż pytam siebie, czy on cię dotąd nie zna, czy téż chce cię znać taką, ja-

ką cię mieć pragnie. Imię Volnary'ego sprowadziło chmurę na jego czoło; nieraz wzdycha: „moja narzeczona, to urocze, ale zepsute dziecko”; ja się śmieję i pocieszam go: od czego mądrzy ludzie na świecie, jeżeli nie od naprawiania zepsutych dzieci.

Dziś ranek cały minął nam serdecznie i wesoło; o trzeciej znowu Maks zajechał; jakiś nienaturalny, zanadto podniecony mi się wydał. Żartował, dowcipkował, ale każdy jego dowcip był satyrą, wymierzoną przeciw wszystkiemu, co tworzy porządek społeczny. Pojmiesz, że to, w dodatku do innych przykrych uczuć, które ci już wymieniłam, nie mogło mnie ożywić, przeciwnie, zmroziło mnie i jeszcze bardziej onieśmieliło, bo miałam ciągle na myśli, co Andrzej o tém sądzi.

Jutro już hrabia wyjeżdża, z moim wielkim żalem, ale i z pewną ulgą, z powodu Maksa. Prosił mnie, aby list jego do ciebie wysłać razem z moim, załączam więc i jego pismo. Obiecuje powrót za tydzień; na twoje przybycie chce się stawić akuratnie. Cieszę się więc, niż to wyrazić mogę, że was oboje tak wkrótce znowu mieć będę. Wtedy Andrzej jakie dwa tygodnie obiecuje w Hońsku pozostać; może, gdy ty na czwartą przybędziesz, swoboda powróci. *Un parti carré* — mówią, że to jest najwygodniejsza liczba do gawędy i wesołości. Co mnie martwi także, to, że matka Henryka tak zapada na zdrowiu; co chwila w obawie o nią jestem, niewiele jęć bie-

dnęj do życia pozostaje. Nie, stanowczo nie widzę dziś świata w tęczyowych kolorach. Ty jesteś moją tęczą, Izo; wiążesz mnie i godzisz z życiem.

Twoja
Zofia.

List Hrabiego Andrzeja do Izy.

Hońsk, d...

Pewna jasnowłosa osóbką dała swemu rycerzowi pozwolenie pisywania do niej, ale nie powiedziała, od jakiego nagłówka wolno mu będzie listy zaczynać. Jemu się dzisiaj różne pieścizłowe nazwy pod pióro cisną. „Dzieciątko moje najdroższe” byłoby najwłaściwszym tytułem, ale boję się nim grymas niezadowolenia na drogich mi usteczkach wywołać i rad nie rad, list mój od: „Kochana Panno Izo” zaczynam.

A więc, „kochana panno Izo” spieszę pani donieść, że narzeczony twój, parę dni temu, w całości pod dach twój siostry dojechał. Ach, ta twoja, ta nasza siostra! to nie kobieta, to anioł! lub raczej kobieta, w całym znaczeniu tego słowa, co, niech mi pani wierzy, aniołowi się równa! Ale ją, t. j. księżną Zofię, zostawmy na później; bo gdy raz na temat jej doskonałości wpadnę, to końca temu nie będzie, a chcę jeszcze drogić pani powiedzieć, jak mi na sercu ciężko było, opuszczając Méran. Tak, szczerze

mówiąc, gdyby Lunia, dla czuwania nad panią, nie była tam została, tobym nie był jeszcze z Méranu wyjechał. Ja się tak boję panią na wolność wypuszczać, lub, co na jedno wychodzi, pod opieką ciotki zostawiać! Jak ja teraz rozumiem, że księżna Zofia nie jest rada, gdy się pani od niej oddalasz. Pani jesteś skarbem, nad którym właściciele jego zazdrośnie, pilnie czuwać powinni, z obawy, aby skarb nie wykradzono, lub raczej, aby skarb się sam nie wykradł. Gdy już do mnie on należeć będzie, to go całą duszą, całym sercem strzedz będę. Gdy... ale ta szczęśliwa przyszłość daleko jeszcze, a jabym tak pragnął już teraz mieć prawo czuwania nad panią! Panno Izo, czy mi pani udzielasz tego prawa? Prawa strzeżenia twego serca, twój duszy, od wszystkiego, coby je skazić mogło? Pani mnie wysłucha, wysłuchać musi. Ja o to proszę — ale zarazem i wymagam tego, choć widzę, jaki się ogień w pewnych niebieskich oczach, na to słowo „wymagam” zapala.

Czy wie pani, jak najlepiej lubię te oczy sobie przypominać? to leż pełne, nad łóżeckiem Zuni. Wtedy jedynie byłaś pani sobą, wtedy byłaś kobietą, wtedy najrzewniej do serca mego przemówiła. To cię nie rozgniewa, nieprawdaż, panno Izo? gdy ci powiem, że wtedy do księżny Zofii najwięcej podobną byłaś? Twoja prawa natura podnosi cię nad płytkość próżności, nie pozwala ci być zazdrosną,

dlatego pewny jestem, że miło ci będzie usłyszeć z ust moich pochwałę zalet i cnót twój siostry ukochanej. Im więcej, im bliżej księżną Zofię poznaję, tém wyżej staje ona w mojej opinii. Serce proste, bez cienia egoizmu; rozum prawdziwy, bez cienia próżności — słowem, dusza tak czysta, jakby prosto z rąk Boga wyszła. Przytém urok w niej, urok niepojęty; spokojna powaga, czarująca wszystkich dookoła. Ten jój cichy majestat najwięcej mnie, dwa dni temu, zafrapował.

Było to w dzień Nowego Roku. Wstałem rano i wyrzłem zaraz przez okno mego pokoju w lewą baszcie, chcąc pierwszym rzutem oka ziemię naszą z Nowym Rokiem powitać. Jak pani wie, okna zielonego pokoju mają widok na zamkowy dziedziniec i na główny krużganek. Wielki dziedziniec hoński tak jest dla mnie pełen wspomnień dziecięcych, że nigdy bez wzruszenia spojrzeć na niego nie mogę. Nigdy mi jednak tak jakoś dziwnie serce w piersi nie zabiło, jak gdy przedwczoraj ujrzał krużganek i część dziedzińca, napelnione najróżnorodniejszym tłumem chłopów, prostaków i ubogich, i gdy między nimi, stojącą na najwyższych stopniach ganku, spostrzegł księżną Zofię. Ten tłum, to byli jój podwładni, jój ubodzy, „dzieci księżnej pani”, jak ich stary Nikifor, kredencarz, nazywa. Cisnęli się oni wszyscy, młodzi i starzy, kobiety i dzieci, do rąk swój ukochanej pani, szczęśliwego Nowego Roku jój

życząc. Ona stała między nimi, uśmiechnięta, spokojna i majestatyczna, jak jaka matka królów. Patrząc na nią, zapomniałem o naszej demokratyczno-postępowej cywilizacji, zapomniałem o wieku dziewiętnastym i zdało mi się, że to jedna z naszych Jagiellońskich matron przedemną. I ramy tego obrazu złudzenie moje podtrzymać mogły. Ciemne baszty i wysmukłe wieżyczki, gotyckie okna i most zwodzony, a wśród tego poczciwe, prawe twarze naszego wiejskiego ludu i jedna jasna postać kobiety—polki; czyż to wszystko w świat inny przenieść mnie nie mogło? Taką potem, zszedłszy na dół, widziałem także księżnę Zofię, przyjmującą oficjalistów dóbr swoich; taką ją widzę zawsze i wszędzie, z każdym i ze wszystkimi. Inną, wyższą jeszcze, widzę ją tylko przy matce Henryka. Tam, przy tém łożu boleści, staje się ona siostrą miłosierdzia, staje się córką, pełną czułości. Inną ją także widzę jeszcze przy swym narzeczonym.

Ona, co bez cienia arrogancyi, jest jednak zawsze tak pewną siebie, przy panu Wielogłowskim traci swą równowagę, miesza się, staje się prawie nieśmiałą. Czy to miłość ją tak przeistacza? Może jęj prawa dusza, aż nadto pełna delikatności, wymawia jęj powtórne zamążpójście, wymawia jęj, że rzuca i nazwisko, i dom swego pierwszego męża. Ależ ona ma zupełne prawo do tego. Ja, razem z panią, cieszę się z tego nowego życia, które się dla nięj

otwiera, a raczej cieszyłbym się... ale pani sama osądzi.

Gdyby księżna Zofia miała dzieci, gdyby miała syna, toby postać rzeczy zmieniało. Podług mnie, każda matka wdowa, wychodząc drugi raz zamąż, ubliża i sobie i dzieciom; ale w pozycyi księżny Zofii... Dla nięj zamążpójście jest rzeczą zupełnie naturalną. Czy pan Wielogłowski potrafi ją uszczęśliwić? czy on zdoła wznieść się do wysokości jęj duszy i serca — to inne pytanie. Przy pierwszém poznaniu, robi on dziwne wrażenie, niby ducha niepokoju. Ale kto wie? Grunt w nim może i zacny?! Zresztą, gdyby nim nie był, pewnoby mu księżna Zofia swęj rękę nie oddawała.

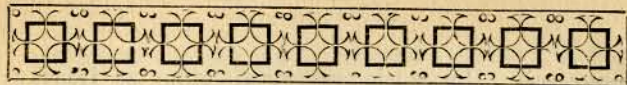
Pani, droga panno Izo, nie wątpię, że pani szwagier *in spe* się spodoba. On taki wesół, taki oryginalny, a pani te dwie zalety tak ceni! Nie znając pana Maksa, mówiłaś mi pani, że go bardzo lubisz. Księżna Zofia tak się ucieszyła, gdym jęj oznajmił, że za tydzień będziesz pani w Hońsku. Naturalnie, że na powrót mojęj pani i jęj rycerz znowu tu zawita. Teraz Hońsk opuszczam, bo mnóstwo zajęć na mnie w domu czeka. A potem muszę już przecie o przystrojeniu Wyszomira na przyjęcie pani pomyśleć. Będę panią prosił, panno Izo, o udzielenie mi spisu wszystkiego — wszystkiego, co pani lubi, o czém marzy, coby jęj miłém być mogło. Naturalnie, pod warunkiem, aby moje zepsute dzieciątko gwiazdki

z nieba, lub czegoś podobnego, *papierosów* np., nie zażądało. Na takie zacheianki, uprzedzam, że głuchym będę.

Czy pani odebrała moją depeszę w dzień Nowego Roku? O szczerości i serdeczności mych uczuć nie wątpi chyba droga moja narzeczona. Rączki jój po tysiąc razy całuję, co téż czynię i cioci (ale nie po tysiąc razy!). Pinczerowi moje uszanowanie. Do mojej siostry z domu napiszę. A więc za tydzień znów razem będziemy w uroczym Hońsku. Proszę nie opóźniać przyjazdu, bo każda chwila, którą bez méj narzeczonój i siostry jój, samotnie spędzę w Wyszomirze, ciężyc mi będzie. Jak dziecko cieszę się na powrót tutaj i na te kilka tygodni, które w towarzystwie pań moich, w ukochanój méj rezydencyi spędzę.

Andrzej Gasztold.

CZEŚĆ TRZECIA.



List Hrabiego Andrzeja do Izy.

Wyszomir, d...

Od kilku dni jestem już tutaj, ale serce moje wciąż jeszcze tam, przy pani, przy was, w Hońsku. Czy zna pani ten wiersz Krasińskiego:

Gdy się przeszłość w duszę wzięci,
Lśni anielskiem w niej obliczem,
W porównaniu z snem pamięci
I nadziei — sen jest niczém!

I w moją duszę wzięła się ta, tak bliska jeszcze, przeszłość dni jasnych i szczęśliwych, któreśmy teraz razem w Hońsku spędzili, a choć przedemną jaśnieje „sen nadziei”, nadziei posiadania cię już wkrótce i na zawsze, dziecko moje najdroższe, serce moje jednak wraca ciągle do wspomnień dni minionych. Nieraz mówiłem pani — nieprawdaż? — jak od dzieciństwa kochałem Hońsk, jakie miałem przywiązanie do tego starego gniazda mojej matki. Teraz pojmuję to przywiązanie, więcej niż kiedykolwiek, bo rozumiem, że w tém uczuciu było także

przecucie. Przecucie szczęścia, które w Hońsku znalazłem. Mnie, między uśmiechem pani a cichą powagą księżny Zofii, tak dobrze, tak błogo było! Dnie i tygodnie mego z wami pobytu tak prędko, tak lekko zleciały! Tak nam dobrze było we troje! — powinienem może powiedzieć — we czworo. Mówiąc do księżny Zofii, nie śmiałbym, naturalnie, jęj narzeczonego pominąć, ale pani mi to wybaczy, wiedząc, jak mało mam do pana Maksa sympatii. A kto wie — może i nie daruje mi pani tej szczerości? Panią przyszły szwagier tak bardzo oczarował! Przecie kiedyś, zostawiła nas pani, księżnę Zofię i mnie, przez dwie godziny zmarzniętych na brzegu stawu, podczas gdyś na stawie z Maksem łyżwowała. Brrr!... Zimno mi jeszcze, gdy sobie to przypomnę! Choć mi w tém *tête à tête* z księżną Zofią miło było, jednak, przyznać muszę, zły, zły byłem na panią; Czy się pani tego domyślała? Pani zapewne bardzo wesoło było, gdyś leciała tak po szalonym po tej śliskiej przestrzeni, z ręką w ręku pana Wielogórskiego, który przy pani zapomniiał może, że jego narzeczona na brzegu marznie! Ale może pani tego małego przejścia już nie pamięta? Nie mówmy o tém więcéj.

Wracając do mego braku sympatii dla pana Maksa, pani, znając nas obydwoch, powinnaś mnie w tém uczuciu rozumieć. A może i nigdy nie zafrasała panią zupełną odrębność naszych charakte-

rów i usposobień, naszych zasad i gustów? Z tej jednak odrębności nie wynika, abym się, broń Boże, od pana Wielogórskiego w czémkolwiek wyżej miał stawiać, albo abym go miał w czém potępiać; ale tam, gdzie usposobienia tak są od siebie dalekie, czy się serca kiedykolwiek zbliżyć mogą? Moje serce w jednym tylko razie do pana Maksa należeć będzie, a mianowicie, jeżeli po latach kilku przekonam się, że on księżnę Zofię uszczęśliwić zdołał. Któż więcéj od niej na szczęście zasługuje? A ona, biedaczka, szczęśliwą się nie wydaje. Zauważyłem, podczas tych kilku tygodni, że księżna Zofia, jedynie będąc z nami, t. j. z panią i ze mną, była jak dawniej sobą. W towarzystwie, albo w obecności Maksa, jakaś chmura zdawała się na jęj czole wisiéć. Czy i panią to nie zafrapowało? Pamięta pani, jak księżna Zofia, przy naszych rannych gawędkach, w bibliotece, zawsze wesołą i ożywioną była, a jaką potem, w Sitowiu, lub wśród obcych, widzieliśmy ją przybitą?

Dziwna to rzecz! Zdaje mi się w tej chwili, że siedzę jeszcze w dużym, safianem pokrytym, fotelu, przy kominku, w hońskiej bibliotece i że słyszę naprzemian, to srebrny śmiech pani, to głos księżny. Prawda, że najczęściej, gdy księżna Zofia i ja, jako poważni ludzie, z lekkiej rozmowy przechodziliśmy na temat książek lub filozofowania, to się śmiech mojej pani już słyszeć nie dawał. Prawda, że moja

narzeczona zaczynała wtedy po cichutku ziewać, potem ciszej jeszcze wstawiała, szła do okna, patrzeć zapewne na liczne w parku wrony, a wreszcie wyslizgiwała się z pokoju i do stajni do Zingary biegła. Prawda, że mnie się wtedy przykro na sercu robiło, widząc, jaki z mojej pani lekkoduch. Prawda, że potem najczęściej dostawała ona odemnie burę za brak powagi i interesowania się kwestyami wyższemi. Ale teraz dałbym dużo, aby w rzeczywistości znaleźć się znowu w Hońsku, w fotelu, przy kominiku i aby na jej ziewanie patrzeć.

Teraz staram się, o ile mogę, aby droga pani w Wyszomirze zanadto nie ziewała. Łódkę już obstałowałem, lawn-tennis na lato będzie gotów; mam już także lekki koszyczek i do niego parę karych kucyków. Mam nadzieję, że to wszystko będzie podług życzenia i gustu pani. Oprócz tego kompletuję tu rzecz jedną jeszcze, o której mi pani wzmianki nie zrobiła, ale, która, myślę, znajdzie uznanie swęj właścicielki. Jest to duża biblioteka. Wszyscy nasi i obcy wielcy poeci czekają w nięj, aby się pani bliżej z nimi zapoznać raczyła. Biedni oni, ci wielcy moi ludzie! Kto wie? Może pani będziesz wolała od obcowania z nimi towarzystwo Zingary, lub psa legawego, Trima? Może podzielasz pani zdanie Maksa, który twierdzi, że poezya, to grat przestarzały? Może?... Ale na co mi tak czarnemi myślami głowę zaprzętać! Gdyby się nawet te niemile hip-

tezy w gustach mojej przyszłej żony sprawdzić się miały, to od czegoż będzie jej mąż, jak nie od przerabiania tego, co koniecznym będzie do przerebienia?

Ale dość już tego. Zanadto się dziś rozgawędziłem i już kochaną panią dawno musiałem znudzić.

Rączki jej i księżnej Zofii jak najczuliej całuję, a staręj księżnie wyrazy głębokiego uszanowania przesyłam. Kiedy się od mej narzeczonej listu spodziewać mogę? Wszak obiecała pisywać często do swego rycerza

A. Gasztolda.

List Izy do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d..

Drogi rycerzu! List twój — list pana — w liście pana...

Sapristi! Jak to trudno pisać do narzeczonego! I tak źle — i tak nie dobrze. Zaczęłam raz, podarłam. Zaczęłam drugi raz, spaliłam, bo miałam ogień na kominku obok siebie. No, a teraz trzeci raz dałam sobie słowo solenne, że ani drzcć będę, ani spałę, tylko bądź jak bądź, dokończę. Dziwny trochę ten brak deeczy, jak na moje stanowcze usposobienie, ale zważywszy, że losy dały mi *chimerycznego* narzeczonego... i jak jeszcze! *Je ne dis que ça!*...

To jednak warte zastanowienia, czy ja z panem w końcu trafię do ładu? Maks dowodzi, że nie. Boże, mój Boże! gdybyś ty słyszał, panie Andrzeju, wszystkie herezye, jakie Maks z piersi swój dyabłu na pastwę wyrzuca od czasu, kiedy pana niema. Tylko się dziwić przychodzi, że się ziemia pod nim nie zapada. Mnie się czasem zdaje, że czuę siarkę w powietrzu; swoją drogą, gdyby Lewiatan zgłosił się po niego *in persona*, to ratowałabym szwagra mego *in spe* z narażeniem własnego życia. To jest skarbiec oryginalnych pomysłów, ten Maks nieoceniony; a choć przedstawia antitezę mego narzeczonego, tém więcej błogosławię losy, że pomyślały o urozmaiceniu dla mnie zwykłego „menu” gawędek około komina. Chciéj być bezstronnym, panie Andrzeju, proszę cię o to, jak o wielką łaskę, ja wiem, że ty tego nie lubisz, że to nie leży w twoim charakterze, ale dla mnie zrób ten wyjątek, chciéj być bezstronnym choć raz w życiu, i wyznaj, że nie piękniejsze go w muzyce być nie może, jak symfonia, że symfonia najpiękniej się wyda na orkiestrze, że w jéj skład wchodzi różne instrumenta i kilkanaście tonów w jedną harmonię zebranych.

Czy rozumiesz, rycerzu, do czego dążę? Nie, naturalnie, bo o ile Zosi myśli umiesz odgadywać, o tyle moje przedstawiają dla ciebie chińską szaradę. Ale ja panu pomogę. Otóż, rozmowa powinna być do symfonii podobna; wiele różnorodnych myśli, wie-

le różnych instrumentów czyli głów, pewna kombinacya, aby urozmaicić melodyę. Tymczasem, duet na jeden głos, to anomalia, a państwo moi, choć jesteście oboje moją Alfą i Omegą, zwykliście śpiewać właśnie taki duet na jeden głos. Ja tego nie umiem ocenić i nie dziwię się Maksowi, że on tego ocenić nie umie. Jeżeli mam być zupełnie szczerą, to wyznam, że porównanie owéj symfonii Maks mi nasunął. Dodał jeszcze, że trzeba potężnego organu lub niezwykłego głosu, aby *le plain chant* kościelne godne było podziwu; w zwykłych warunkach, monotonna nuta znudzi przeciętnego śmiertelnika.

To taki impertymet, ten mój przyszły szwagier. Biedna Zosia będzie z nim miała dużo kłopotu. Mnieby to wszystko bardzo bawiło, gdyby nie przekonanie, że siostra moja zbyt żywo bierze do serca wybryki niewinne swego narzeczonego. To, co mnie śmieszy, ją martwi. Jak gdyby się chciała uniewinnić przedemną, nieraz powtarza mi, że on taki nie był przed moim przyjazdem, że tylko pozory takie ekscentryczne sobie nadaje, że to jednak w gruncie szlachetna dusza. Ależ ja o tém na chwilę nie wątpiłam; niepotrzebnie go broni, bo ja go potępiać nie myślę. Przeciwnie, Maks w innéj formie mniejszy mi się podobał.

Wracam jednak do punktu, który mego rycerza więcej zainteresuje, niż spekulacye nad doskonałościami Maksa. Wracam do pana, bo muszę przecież

uzasadnić: dlaczego nazywam go „chimerycznym”. Już to widocznie od urodzenia *je suis voué aux chimères*.

I tak: najprzód miałam niańkę, która podobno strasznie była kapryśna; Nikifor opowiadał mi, że raz cały dzbanek wody na niego wylała, drugi raz podrapała jego nieboszczkę żonę; podobno nawet jeździła na miotle w dzień przyjęcia na Łyséj górze. Potém dostałam muca, na którym pierwsze hipiczne popisy odbywałam, ten zwykle szedł na prawo, gdy ja ciągnęłam na lewo, do tego stopnia, że chcąc, aby szedł na lewo, ciągnęłam z intencją na prawo; tenże sam muc wykradał siano ze żłobu swego sąsiada, a własnego owsa jeść nie chciał, gdy mu przyszła fantazyja. Potém dostałam Zingarę; smutne to, ale wyznać muszę, że chimery szły *crescendo*. Dziś Zingarę już ujeździłam, ale co się działo z początku! Niebu to tylko wiadomo, niebu, mnie i Robertowi żokejowi, bo Zosia nie byłaby mi pozwoliła zbliżyć się do mojej ukochanej wierzchówki, gdyby wiedziała, jakie jéj się figle trzymały; ale szczęściem, w owym czasie, Zosi nie było wolno konno jeździć dla zdrowia i wszelkie stawania dęba, wszelkie ponoszenia, susy, szczupaki méj Rossinantki pozostały tajemnicą, dopóki nie nauczyła się słuchać téj ręki, która z prawa nią powoduje.

Myślisz rycerzu że to *avis au lecteur*? Nie — niestety, mam to smutne przeczucie, że przyszła kréska

na Matyska; że nosił wilk razy kilka, w końcu poniosą i wilka. Tylko dziwię się, jak wytrwale losy z chimera mi łączą. Bo pomyśl tylko, panie Andrzeju, czy to nie chimera z twéj strony, brać mi za złe, że się na łyżwach kilka razy z Maksem po stawie przesunęłam? Czy to nie chimera uprzedać się właśnie do tych osób, które dla mnie są sympatyczne? do Maksa np.? Czy to nie chimera żądać odemnie, abym, jak druga kropla wody, do Zosi była podobna? Czy to nie chimera nazywać mnie lekkoduchem, gdy się śmieję z ludzkich słabostek i ułomności, a posądzać o ziewanie, gdy ja poważny wyraz twarzy przybieram, słuchając traktatów Alfya i Omegi (t. j. pana i Zosi), o filantropii, kwestyach społecznych i ekonomicznych? Jesteś chimerycznym, mój miły rycerzu, ale, że lubiłam niańkę moją i muca i Zingarę, nie widzę, dlaczegobym ciebie lubić nie miała. (*Kochać*—to wyraz, którego nie powinny używać dobrze wychowane panienki w liście do narzeczonego). Przeciwnie, zdaje mi się, że twoje liczne, a nieuzasadnione pretensye do mnie, dają ci głównie prawo do moich uczuć.

Fatum, w przewidywaniu losów, jakie mi naznacza, obdarzyło mnie naturą zgodną, słodką, uległą, specjalnie zbudowaną do ustępowania ludzkim widzimisię i do przesuwania się tam, gdzie przeskoczyć nie można. Ja dotychczas nie wiedziałam o tych moich zaletach, przeciwnie, pewien rycerz

i wiele innych osób, wmówiło we mnie, że mam charakter najeżony rafami, kolcami, ostrokołami, jedném słowem — czarny charakter. Byłam dość naiwną, że uwierzyłam; już, już, modyfikować się chciałam, kiedy zjawił się Maks w samą porę, otworzył mi oczy na moje zapoznane cnoty i uratował mnie od najzupełniejszej zraty wszelkiej indywidualności.

Mój dobry rycerzu, niech ci do głowy nie przychodzi być zazdrosnym o Maksa, toby sensu nie miało; przeciwnie, wy musicie być przyjaciółmi. To jest mój cel, aby iskrę sympaty zapalić między wami, choćby dlatego, aby Zosię uszczęśliwić. Ale bo też ona oryginalna; męczy ją widocznie myśl, że ty, panie Andrzeju, Maksa nie aprobujesz. Nie rozumiem tego, mnieby to było całkiem obojętnie, gdyby się wybór mój innym nie podobał; grunt w tém, aby mnie się podobał.

Tymczasem, biedna Zosia trapi się brakiem sympaty, jaki panuje między ję mentorem, a ję wybranym. Ja ją pocieszam, że inaczej być nie mogło. Naprzód męska emulacya, bo o ile mój rycerz bardzo piękny, o tyle Maks uroczy; a jeżeli dwie ładne kobiety potrafią się znieść, nawet polubić czasem, o tyle dwóch przystojnych mężczyzn tylko politykować może. Próżność jest gruntem, na którym wyrastają wszelkie wady i zalety męskie, a gdy rywalizacya wchodzi w grę, no, to bywaj zdrów.

Tymczasem... maleńki atom rywalizacyi tlał w sercach waszych, moi mili panowie, w czasie, gdyśmy kwartet w Hońsku stanowili — ty, rycerzu, byleś nierad, że Maks uznaje mnie za godną uwagi; Maks ze swęj strony nie aprobował twego bałwochwalstwa dla Zosi; a tak, między nami mówiąc, cicho, pocichutku, to Maks miał więcej prawa być zazdrosnym, niż mój narzeczony.

Nie myśl, panie Andrzeju, że spostrzeżenie to wywołało najmniejszy cień żalu we mnie; zaręczam ci, że mi to w głowie nie pozostało. W moję naturze niema danych do zazdrości; a potém, ja wiem, że ty mnie kochasz, a Zosię uwielbiasz. Te dwa uczucia wzajemnie sobie nie szkodzą; niby to bliźnięta, ale w zasadzie się różnią, a ja rada nawet jestem, że bliźnięce uczucia żywić możesz dla nas dwóch sióstr, tak bardzo do siebie przywiązanych.

Ale Maks inaczej na tę sprawę mógł się zapatrywać; zdaje mi się, że on jest bardzo despotyczny i choć nie wiele wymaga, jednak silnie obstaje przy tém, czego wymaga. Nie dziwię mu się wcale, że od Zosi żąda miłości, w zamian za swoję; to słuszne, — „serce za serce”.

Tymczasem, moja biedna Zosia... No, nie mówmy już o tém, bo to chmura na mojem jasnym niebie. I nie ta jedna nawet. Czasem mi smutno, ale to tak smutno, że nawet łzami sobie serce ulżyć nie może. Czemu? Może mi tęskno za moim narzeczonym.

nym... może... Czy ja wiem? Nie umiem i nie chcę analizować swych uczuć, to taka próżna gonitwa za motorem... Wrażenia odczuwamy, a ich powodu często, bardzo często, odkryć nie możemy. Analiści z profesji podobni są do pinczera cioci, gdy goni za własnym ogonem.

Biblioteka znajdzie moje uznanie, tylko proszę, aby w niej, oprócz posiłnego pokarmu, był i deser także; ja lubię ciasteczka, nawet w literaturze.

Dziękuję za wszystko, proszę o częste listy i serdecznie pozdrawiam.

Twoja

Iza.

List Hrabiego Andrzeja do Izy.

Wyszomir, d...

Odczytując list pani, droga panno Izo, zły i wzburzony byłem i już mi różne plany bur strasznych w głowie świtały. Kiedy jednak do końca pani „fantazyi prozą” dojechałem, to złość moja w jednej chwili opadła i żal mi się pani zrobiło. Tyś smutna, moje biedne dziecko, a ja nie jestem przy tobie, aby cię pocieszyć, aby ci wlać do serca otuchę. Nie wchodzę w przyczyny tej raptownej zmiany w usposobieniu mojej wesołej ptaszynki. Nie śmiem przypuszczać, aby to tęsknota za biednym „rycerzem” tak panią dręczyła, ale wystarcza mi, że drogić pani

na sercu nie wesoło, abym się już na nią tak bardzo nie gniewał.

Podzielam dziś uczucia matki, której dziecko tylko co z drzewa spadło. Guzy bębna i ją bołą, żal jej psotnika, ale nie może go nie ukarać za wdrapywanie się na sosny. Choć się matki serce przy tém ściska, jednak dziecko dziś leguminy nie dostanie. Potrzebna mu była ta swawola! Niestety! nietylko niegrzeczne chłopczyki psoty lubią! Zdarza się to i dorosłym pannom! Gdybym wiedział, jakiej leguminy pozbawić moją narzeczoną? Ale bo po co, wdając się w niepotrzebne psychologiczno-muzykalne rozprawy o symfoniach, a potem... no, potem... z symfonii, robi się kokofonia uczuć i myśli!

Choć, podług pani, myśli jej zgadywać nie umiem, jednak przeczuwam, jak się moja narzeczoną, odczytując te słowa, na swego rycerza oburzać będzie.

Radzę jednak pani oburzenie swe na później schować, bo ja mego kazania jeszcze nie skończyłem. *Au risque*, że będę znowu zaliczonym do kategorii próżnych, zazdrosnych i chimeryków. Powiem pani, że dziś, mniej niż kiedykolwiek, pana Maksa aprobuję. Miałem go dotąd za człowieka honorowego, za gentlemana, a niech mi pani wierzy, że gentleman tak się o swą narzeczoną, i to przed kim? — przed jej siostrą — nie odzywa! Pana Maksa śpiew kościelny nudzi. Nudzi go, gdy jego narzeczoną

śpiewa! Ha! to niechby ten pan do świątyni nie wchodził!...

Biedna księżna Zofia, gdyby ona choć urywek jednej z rozmów narzecznego i siostry usłyszała! Czy pani nigdy się nad tém nie zastanowiła, jakby ta symfonia jój się fałszywą wydała? A może zastanowiła się pani nad tém? Może to dlatego tak pani na sercu ciężko? Może ten smutek, to żal za liczne niekonsekwencye? Może?... Ach! niech mi pani powie, że to przygnębienie było skrucą. Niech mi pani powie, że już teraz żadnej czarnej chmurki na twym horyzoncie niema. Niech mnie pani zapewni, że jesteś szczęśliwą, bo jeżeli ty, panno Izo, szczęśliwą się nie czujesz, to czyjaż w tém wina? Moja, tylko moja! Mojem zadaniem powinno być teraz uszczęśliwić cię, dziecko drogie, a jeżeli tego uczynić nie potrafiłem, to pamiętaj panno Izo, że jeszcze wolną jesteś.

Takbym pragnął rozchmurzyć dzisiaj twe piękne czoło, pani moja! Ale czém? — to pytanie. Znając gusta i guściki mojej narzeczonej, wysłałem jój przed paru dniami do Hońska lekkie jednokonne saneczki. Czy już pani pędziła w nich przez pola i łąki? Jeśli tak, to myślę, że galop arabszczyków, świst mroźnego wiatru i muzyka końskich dzwoneczków, już czarne myśli w pewnej jasnej główce rozproszyć zdołały. Słyszałem, że temi czasy ma być tańczący wieczór w Sitowiu, i to zapewne dobrze na humor méj pani

wpływie. Czy chce ona, aby jój rycerz pierwszego mazura z nią sunał? Jeśli tak, to niech tylko paluszkami kiwnie, a u nóg jój będzie narzeczony. Widzi pani, jaki to ze mnie pokorny podnózek — *et dire*, że ktoś twierdzi, iż jestem chimerykiem.

Jak teraz zdrowie pani? Proszę pamiętać, że moja narzeczona obiecała mi zawsze jak róża wyglądać. A księżna Zofia jak się miewa i co porabia? Stara księżna czy zawsze tak samo cierpiąca? Rączki jój i księżnej Zofii z uszanowaniem całuję, a do drobnych stópek mojej pani się ścielę, oczekując z niecierpliwością jój przyszłego listu.

Andrzej Gasztold.

List Izy do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Mój dobry, zacyjny rycerzu, prawdziwie rycerska dusza mieszka w tobie. Rozczuliłeś mnie pocziwością, z jaką do serca wzięłeś moją skargę, całkiem nieuzasadnioną, między nami mówiąc, bo jeżeli ja się skarżyć pocznę, to już, doprawdy, koniec świata bliski. Mając taką siostrę, takiego narzeczonego i takiego szwagra w perspektywie... doprawdy, zbyt szczęścia!

Niestety, siostra ma sobie za obowiązek marudzić na mnie czasem, ale to są takie chwilowe napaady, niepociągające nigdy skutków za sobą, bo je-

stem dość sprawiedliwa, aby uznać, że mnie Zosia psuje.

Ty, mój rycerzu, masz jeszcze częstsze napady zrzędzenia, to nie kwadruje z twojém rycerskiém obliczem, *entre nous soit dit*. Naturalnie, że ja nie biorę zbytnio do serca twoich drobnych *ale*, bo są one równie niezbędne, jak plamy na słońcu. Ty jesteś równie doskonałym, jak słońce: ogrzewasz twojém gorącym sercem, oświecasz twoim wysokim umysłem, opromieniasz swoim równym, *prawie niezamąconym* humorem...

Ma foi! Jeżeli mój narzeczony nie będzie ujęty takim panegirykiem na jego cześć i to przez jego panią zbudowanym, to nie wiem, co go zadowolni na świecie. W obawie, aby się w panu nie rozwinęła mała dotąd doza zarozumiałości, muszę trochę mgły rzucić na ów świetlany obraz, dopiero co narysowany. A więc zrzędzenie jest złem koniecznym, kto mnie w opiece swój mieć będzie, zrzędzić musi; dawno wyrzekłam „fiat” pod tym względem. Ale dlaczego jesteś niesprawiedliwym, panie Andrzeju? Czemu odsądzasz nieledwie od czci i wiary człowieka, który ci nie złego nie zrobił? Co prawda, rycerskość twoja zarysowała się dość wczesnie, nawet w twój niesprawiedliwości, bo to, co cię najbardziej dotknęło w uwagach Maksa, przezemnie przytoczonych, to nie aluzya z jego strony do ciebie, ale dotknięcie (jak się tobie zdawało) osoby Zosi. No, no,

mój panie! Ostrożnie! *Je suis fine mouche*. Czemu wyszedłeś z równowagi, potępiając bezwzględnie biednego Maksa o taką drobnostkę? Czy dlatego, że bóstwa nie wolno żartem nawet zadrasnąć, że to na bluźnierstwo zakrawa?

Zaś nie po rycersku, całkiem nawet galanteryi pozbawiona jest uwaga pana, że nie powinnam się wdawać w dyskusye o... symfoniach, bo się z tego w mój głowie rozwinie... kokofonia. *Horrendum!* Mój panie! Któż to zasługuje na usunięcie od leguminy?

Ostrożnie, proszę, ja mam sposoby ukarania mego pseudo-władcy. Jeżeli dziś jeszcze nie korzystam z mych różnych „narzeczęńskich” przywilejów, by pana w proch zetrzeć, choćby jedném spojrzeniem tylko, to dlatego, że mieszczę w sobie ogromny zasób wyrozumiałości. (Zaznaczam, że każdą moją zaletę wyraźnie pod numerem panu do wiadomości podawać będę, bo pan, sam z siebie, żadnej się nie dopatrzysz). Otóż, wyrozumiałość moja uwzględnia wulkaniczny stan umysłu pana, gdyś kreślił do mnie apostrofę, Maksa dotyczącą; takie zaburzenia moralne koniecznie wydać muszą rezultaty, potępiające ich wartość. Skompromitował się mój narzeczony ową kokofonią. Pierwsze reguły rycerskiej uprzejmości nakazują wymazanie z dykcyonarza podobnych wyrażen wobec kobiety, którą się... powinno ubóstwiać. Niestety, to ostatnie słowo nie będzie

moim udziałem, bo nie ja jestem bóstwem, nie ja ideałem!

Złożyłam rym niechęący, bardzo się z tego cieszę; może jednak miłość powoli upoetyzuje mnie trochę. Doprawdy — doprawdy, niech mi pan wierzy, robię się poetyczniejszą. Bywam zamysłona — w dal czasem patrzę, marząc sama nie wiem o czém, a to podobno najwyższy stopień poetyczności. Że mi tam coś w duszy „kloszuje”, to fakt; chciałabym to w żart obrócić, nawet wobec siebie samój. Nie udaje mi się to, a że pan zawładnąłeś zaufaniem mojem, więc się przyznaję. Pan mnie lubisz dzieckiem swoim nazywać, otóż przyznaję się panu, jak dobrze wychowane dziecko ojcu swemu, do wrażeń swych.

Widzę w tej chwili rycerza mojego, który się bardzo dwuznacznie na owo „dobre wychowanie” uśmiecha. W gruncie rzeczy, to jest straszliwą niekonsekwencyą w moim, pełnym logiki narzeczonym, że sobie wybrał na dozgonną towarzyszkę tak źle wychowaną osobę. Czyś się pan nad tém zastanowił, że gdy mnie goście w jego domu nudzić będą, ja ziewać zacznę?

No tak, niéma co w bawelnę obwijać, tak będzie, bo choćby wrodzone dobre serce (druga zaleta) chciało mnie krępować, to, niestety, roztargnienie weźmie górę. Ziewnę przez roztargnienie; na to proszę się przygotować.

Czyś pan pomyślał, że moje sympatyje zawsze ujście znaleźć muszą, że domowników twoich i gości twoich traktować będę wedle moich sympatyj lub antypatyj? Tak być musi; ja jestem szczerą (trzecia zaleta), komedyi nigdy grać nie potrafię, gdy mi się kto podoba, choćbym mu sama tego nie powiedziała, oczy moje powiedzą (Maks to nawet zauważył). Z drugiej strony, gdy mi ktoś wstrętny, to każda okazyja dobra dla mnie, aby mu się z tém pochwalić. Co to będzie?

Gdy kogo w domu pana złapię na kłamstwie, to mu powiem, że kłamie. Gdy jaki stary, a niemily mi krewny, umrze, ja po nim żałoby nosić nie będę; zatańczę przy sposobności. Jednym słowem, widzę ztąd tysiące okazji do skandalizowania uprzedzeń mego pana.

Strach! Jedyną radę, jaką na to znaleźć mogę i udzielam jój panu po przyjacielsku, to, aby pamiętać, czy to w intercyzie ślubnej, czy przy spisywaniu aktu ślubnego, o jakim dobrym haczyku, na którym, w razie „*incomparabilités d'humeur*”, cały nasz ślub mógłby się przyzwoicie powiesić. Ja pana przestrzegam, aby pan później żadnej nie miał do mnie pretensyi.

A teraz przechodzę do tonu zupełnie seryo.

Czemu pan takie ponure konsekwencye wywodzi z mojej aluzyi co do chwilowego smutku? Cóż za przypuszczenia po dzisiejszym liście moim robić

będziesz, panie Andrzeju, gdy znowu ową nieokreśloną melancholię wspominał? Czyż to dowód, że mnie pan nie uszczęśliwiasz? Czy pan, tak znacznie starszy odemnie, masz dość iluzji, aby przypuszczać, że jest szczęście niezmacone na świecie? że jest światło bez cienia? Mogę być bardzo szczęśliwa, dzięki panu i dzięki wam wszystkim, którzy mnie kochacie, a mogę, mimo to, mieć chwile mniej jasne; to i lepiej, bo inaczej zanadtobym się mego szczęścia bała.

Więc saneczkami chciałeś pan rozechmurzyć „moje piękne czoło?” Masz mnie rzeczywiście za bardzo naiwną dziecięcą, mój rycerzu drogi. Niemniej serdecznie ci dziękuję za dar twój; jest śliczny i miły mi bardzo. Siedzę w moim łabędziu, dumając o rycerzu Lohengrinie i puszczam cugle arabczykom i myślom; pędzą na wyścigi przez pola, przez lasy. Arabcy równą, bitą drogą, myśli manowcami. Arabcy przyprószone nieraz śniegiem — myśli, to na chmurce, to na promieniu słońca lecą, lecą żwawo. Dzwonki akompaniują jednym i drugim.

To dziwne... że dzwony grają rolę we wszystkich najważniejszych chwilach życia naszego. Towarzyszą modlitwie przy mszy, towarzyszą śmierci — poważne, wzniosłe. A czasem, jak głos sylfów, dźwięczą i dźwięczą, gdy nas bystry ruch koni w przestrzeń unosi.

Doprawdy, poetyczna się robię, bo czy uwierzysz,

panie Andrzeju, że rozumiem głos dzwonek i rozmawiam z sylfami?

A teraz pocieszająca wiadomość dla ciebie, mój drogi rycerzu. Ów Maks, odsadzony od praw przez ciebie, modyfikuje się znacznie znowu. Wszedł na drogę pokuty; wpatrzony w Zosię, obiecuje jej najpiękniejszą pielgrzymkę do Canossy, jaką kiedykolwiek oczy ludzkie oglądały.

Przyznaję z moją zwykłą otwartością, że mniej jest zabawny od owego dnia przewrotu psychologicznego. Tak mądrze z Zosią rozmawiali, że ja nie potrzebuję już czytać filozofów chrześcijańskich; głosu ich słucham... Oni mnie w końcu nawrócą, kto wie, będziesz miał perfekcyę może, panie Andrzeju? Ale poczekaj jeszcze, zanim Hosanna zaśpiewasz.

Ten Maks, to taki fantastyk. Tydzień temu powiedział mi: „Na świecie trzeba wszystkiego spróbować, aby wiedzieć, co najlepsze. Ja tyle już rzeczy kosztowałem; po wszystkiem niesmak mi w ustach zostawał. Z desperacyi wracam znowu do humanitarnych celów księżnej Zofii; chcę się ostatecznie przekonać, czy tam niema zbawienia dla mnie. Taką próżnię — taką straszną próżnię czuję w życiu”. Biedny Maks, on nie jest szczęśliwy, mnie go tak żal.

Pytasz pan o bal w Sitowiu? Rzeczywiście, zanosi się na wielką gioję; ale dopiero za dwa tygodnie. Na pana, naturalnie, liczymy, témbardziej, że

te festyny na moją cześć mają być wydane. Myśl ta kielkowała w głowie Maksa, w czasie jego here-tyckiej fazy, gdy jednak popiołem głowę swą posypał, szlachetny ów projekt już miał być w niwecz obrócony. Ale od czegoż ja jestem? Nie mogę się przecież stosować do faz mego przyszłego szwagra; on rozdiera szaty swoje, ja nie mam żadnego powodu do takiej śmiesznej demonstracji, a zatem kielkowanie w kłos się zamienia i będziemy wirować...

Co mnie martwi, to, że sama dziś nie wiem, dlaczego tydzień temu tak bardzo za tém obstawałam; *à moins*, że duch przekory wstąpił we mnie. Bo między nami mówiąc, całkiem mi się balu odechciało. To dziki wymysł, pozostałości pogańskich obrzędów, takie obracanie się w kółko. Niezém się nie różnimy w owych ewolucjach od dzikich plemion z okolic gór Księżycowych.

A propos księżycy: doświadczam na sobie, że jeżeli zdarza się śmierć z uderzenia promieni słonecznych, to zdarza się obłęd z uderzenia promieni księżycowych. Coś mnie ciągnie do tych promieni teraz. Kiedy wieczorem ścielą się na śnieżnym puchu, kiedy ogromny, biały obszar oświetlony jest z góry tym przytłumionym, żalobnym blaskiem, to dziwnego wrażenia się doznaje — wielkiej samotności na zamarłym świecie. Nie tak smutnego, majestatycznego i pięknego uroku śmierci nie przypomina,

jak połączenie światła księżycowego z całunem śnieżnym.

Nie wiem dlaczego częściej mi teraz na myśl przychodzi próżność wszystkiego i koniec wszystkiego. Może stan zdrowia biednej stariej księżny temu winien? Zaśnie ona w oczach, lada dzień, ta dusza, która tylko tleje... palić się zacznie, ale już nie tutaj, nie na tym świecie.

Co do Zosi, bądź spokojnym, mój drogi rycerzu. Ona teraz równie pogodna, jak piękny dzień majowy; znajduję, że bardzo spoważniała, a przykro mi, że widocznie coś tai przedemną. Niéma naszej dawniej swobodnej gawędy; ale od chwili „ustatkowania” się Maksa, już się jej śliczna twarzyczka nie zachmurza.

Więc tańczymy pierwszego mazura w Sitowiu, w sam ostatni karnawałowy poniedziałek. Bądź punktualnym, mój drogi panie Andrzeju; a może prędzej przyjedziesz?...

Iza.

List Hrabiego Andrzeja do Izy.

Wyszomir, d...

Choć twój rycerz, jak i ty, droga panno Izo, w „światło bez cienia” i w „szczęście niezmacone” nie wierzy, jednak byłoby to wielkiem, wielkiem szczęściem dla niego, gdyby pewna, pseudo „źle wy-

chowana” osóbką, już pod jego dachem gościła, gdyby raczej w jego domu, już jako pani wszechwładna rządy swe zaprowadziła. Od jakiegoś czasu czuję się tak strasznie samotnym w moim wielkim, pustym Wyszomirze, że zniósłbym, nawet radośnie najdziwaczniejsze fantazyje, najrozpaczliwsze ziewania mojej pani, byleby jej ukochana postać, tu, tu przedemną, na fotelu mojej matki siedziała.

Biedna, droga moja matka! W tych dniach wypada tak zawsze dla mnie bolesna rocznica jej śmierci. Od jakiegoś czasu, twarz jej ukochana ciągle mi w oczach stoi, a żal nieutulony serce mi ściska.

Drepczy mnie także i martwi myśl o mojej siostrze. Niech sobie pani wyobrazi, że pomimo słabego jeszcze zdrowia Linki, zmuszoną była Méran porzucić. Powodem tego nagłego powrotu do domu był oplakany stan majątkowy mego szwagra i fatalne interesa, w które się dobrowolnie wplątał. Czy ja pani kiedy mówiłem o moim szwagrze, Waclawie? Niewieleby to, co prawda, było o nim, biedaku, do mówienia, bo zero to kompletne, któremu tylko wyższy charakter żony jakąkolwiek wartość nadaje. Podczas pobytu Luni za granicą, mąż jej, sam sobie zostawiony, wszedł w jakieś fabryczno-cukrownicze interesa z Niemcem, i tak się przez tego jegomościa dał zawojować, że go nieledwie panem całego swego majątku zrobił. Teraz Lunia wszelkiemi siłami stara się wy dostać męża z tych sieci, i zamorduje się

biedaczka pracą i zgryzotami. Miałem dziś długi, zesperowany list od niej. Nadomiar złego, niepokoi się ona jeszcze strasznie o starszego swego synka, którego u Jezuitów w Carlsburgu pod Wiedniem, umieściła, z czego teraz nie jest kontenta. Biedna Lunia! Muszę się koniecznie, jutro lub pojutrze, do niej wybrać i zobaczyć, czybym nie mógł być jej w czémkolwiek pomocnym. Prosto już z Osieka do Hońska podążę. Czy się pani na swego narzeczonego gniewać nie będzie, jeżeli nie na sam bal w Sitowiu, ale o parę dni wcześniej przyjedzie?

A więc ten bal będzie wydanym li tylko na cześć pani?! Prawda, że przyszli szwagrowie na osobnych prawach stoją! Moja narzeczona pamięta o tém dobrze, gdy chodzi o pana Maksa, ale zapomina niestety, o tych prerogatywach, gdy jej biedny rycerz i jego szwagrowskie uczucia dla księżny Zofii na plac występują... Ale, ale, co ja robię?! *Je cours le risque* być znowu zrzędą nazwanym! Wolę więc pani powiedzieć, że choć się perspektywą pierwszego mazura w Sitowiu, jak młodzieniaszek, cieszę, jednak zdanie pani co do barbarzyństwa wirowych tańców zupełnie podzielał. Czy to nie jest budującym, taka wspólność zapatrywań u narzeczonych?!

Podług mnie, dwa tańce tylko pięknymi, estetycznymi nazwane być mogą, to menuet i nasz stary polonez. Czy i w tém się ze mną pani zgadza? Gdy sobie kwiat towarzystwa francuzkiego z czasów

Ludwika XIV-go chcę przedstawić, to widzę zawsze małe, zgrabne, uśmiechnięte czarodziejki, markizy i upudrowanych markizów, tańczących z gracyą, której my teraz nie znamy, menueta w zwierciadlanej sali. A gdy znowu słyszę czarujące dźwięki jednego z polonezów Chopina, to się przed moimi oczami mniej lekko, ale poważniej i majestatyczniej, przesuwają inne postacie; dostrzegam nasze polskie typy.

Ot, wie pani co, droga panno Izo? dziwna to rzecz, ale rozmarzywszy się tak o wiekach przeszłych, zdało mi się w jednej chwili, że widzę panią w jedwabiach i koronkach markizy z XVII-go stulecia, że się pani z pod pudru i różu do mnie uśmiecha. Obok pani stoi postać inna, poważniejsza, to księżna Zofia.

Niestety, te dwa uroczyste obrazy, wyszłe z ram mojej wyobraźni, znikły, jak jasne widzenia, a twój rycerz, droga panno Izo, znowu sam i smutny w swym pustym domu.

Ale co ja się dzisiaj tak o swój melancholii rozpisałem?! Czyś ty mnie czasem, panno Izo, swém rozmarzeniem nie zaraziła? Może i mnie miłość poetycznie usposabia? Co to będzie, jak nasze rozmarzenia się połączą? Chyba poemata razem pisać będziemy?! Ale nim do wierszowania dojdziemy, powiedz mi panno Izo, gdzieś się sztuki pochlebstwa i madygalów uczyła? Czy nie u jakiego mądrego derwisza, bo twe porównania mojej nędznej osoby do

słońca strasznie mi wschodem pachną! Wolę, gdy dzwonki do głosu elfów porównywasz, lub nawet gdy się zastanawiasz nad nicością tego świata, patrząc, jak pomalą gaśnie matka Henryka.

Krótkie, strasznie krótkie to nasze ziemskie życie, a jednak jakże trudno i ciężko dobrze i godnie je zapelnąć.

Biedna, stara księżna! dla niej najlepiejby już było jak najprędzej męki swe skończyć. Pragnąłbym jednak szczerze, aby nas obojga jeszcze pobłogosławiła.

Za tydzień zapewne będę w Hońsku, teraz żegnaj drogą moją panię, rączki Jój i księżny Zofii jak najserdeczniej całując.

Andrzej Gasztold.

List Izy do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Despotyzmem byłoby z twojej strony, rycerzu, gdybyś mnie dzisiaj chciał więzić w mojej gotyckiej, ciemnej komnacie, kiedy tak cudownie na świecie. Co za słońce! Już wiosna! wiosna! wiosna!

Czy ty rozumiesz, co to wiosna, panie Andrzeju? Nie, ty tego, tak jak ja, nigdy nie zrozumiesz.

Chciałabym się spalić pod promieniami słońca, chciałabym się w trawę zamienić, chciałabym zostać

polnym konikiem, żabką zieloną, komarem, wróblem. Chciałabym być wszystkiém, co żyje na powietrzu, co nie zna zamknięcia, co tylko słońcem żyje. Albo chciałabym się rozpląnąć w nicosć, być atomem bardzo, bardzo lekkim, przyczepionym do skrzydła motyla, albo tą różową chmurką, która tam po niebie leniwie sobie wędruje, nie spieszy się, nie potrzebuje pisać listu do narzeczonego; dobrze jój, rozproszy się, zniknie bez bólu, bez wiedzy.

Co chwila list sobie przerywam i spoglądam przez okno, górne szyby kolorowe karnawałowe światełka rzucają na mój papier; gzygzaki różowe i niebieskie tańczą z mojami literami; tak, teraz zaczyna się karnawał światła, kwiatów, ptaków i wszystkiego, co żyje.

Kontenta jestem z siebie! Bardzo nawet. Pan nie wiesz, co ja robiłam przez cały ostatni tydzień. Dobrze panu tak! czemu mnie nie pilnujesz? Wiecznie sto pięćdziesiąt interesów. Ja powinnam być najważniejszą sprawą w życiu pana; nie jestem... więc... więc przez cały tydzień bałamuciałam Maksa— ale to tak na zabój.

Aha! już pan Andrzej zły. To mi wszystko jedno. Trudno, gdy się nudzę, to bałamucę, a nudziłam się.

Widzisz rycerzu, trzeba uwzględnić okoliczności; ja mam same łagodzące na swoją obronę. Żal mi

było Maksa. Ten biedny człowiek w formalną mi-zantropię wpadał. Przykładowy żywot wiódł, to prawda, ale to widocznie nie trafiało do jego przekonania. Miał zgorzknąć za młodu? Na to nie mogłam pozwolić. Daremnie zwracałam uwagę Zosi, ona ze mną o Maksie nie lubi mówić. Staralam się nie myśleć o tém, że człowiek marnieje pod memi oczyma, zabijałam sumienie pracą. Malowałam, robiąc poważne studia wąsów, oczów, nosów; ale *idée fixe* mnie nie opuszczała. W studyach wychodził wiecznie nos rycerza Gasztolda obok nosa Maksa, wąsy pana obok jego wąsów, oczy pana obok jego oczów — nie! *Cela devenait une obsession!* Rzuciłam pędzel w pokrzywy i wzięłam się do muzyki; to nieszcześnie, że umiem tylko pięć walców — po za tém nic. Maks pośpiewywał na nutę „*My queen*”, a choć wiem, że wszystkie psy i koty śpiewają dziś tę samą melodyę, mimowoli hipnotycznie przygrywałam „*My queen*”. Stawało się to rodzajem tyku u niego i u mnie. Zrzuciłam fortepian. Wzięłam się do robotek, do książki, przyszło słońce wiosenne, najgorszy kusiciel — no, i któżby tam przy robotkach wysiedział? Maks posmutniał, starałam się go rozerwać i — rozerwałam.

Satysfakcyę patrzeć na niego — jak dzierlatka taki wesół. A teraz chcesz pan wiedzieć, dlaczego jestem z siebie kontenta? Bo odniosłam zwycięstwo nad sobą. Młodą parę, t. j. Zosię i Maksa, wysłałam

na spacer mojemu własnymi kucami. Zosia powozi, Maks trzyma nad nią parasolkę; z początku byłam zazdrosna, nietyle o... parasolkę, ile o to powietrze, którym oni oddychają; zwyciężyłam się, mimo namów Zosi, mimo błagalnych prośb Maksa, zostałam w „komnacie uroczystej”, aby pisać. Spełniam obowiązki. Rycerzu, bądźmy oboje kontenci ze mnie.

A teraz, co do balu, rzeczy tak się mają: w trzy dni po Wielkiej Nocy ogromny zjazd w Sitowiu. Cała Ukraina, Podole i Wołyń reprezentowane będą obficie. Za dwa tygodnie — tak, od dziś za dwa tygodnie. Taką szaloną ochotę mam opalić się do tego czasu, t. j. nie ochotę, tylko tentację; jeżeli słońce dalej tak gospodarować będzie, to źle na tym wyjdzie pleć moja. Chociaż może też nie mi nie będzie, bo dotąd wiecznie mi piegami grożą, jak grzesznikowi smołą piekielną, a odkąd żyję, nigdy żaden pieg mnie niż szpecił. Wiesz co, mój rycerzu? Chciałabym być bardzo piękną za dwa tygodnie. Chciałabym olśnić wszystkich. Chciałabym przyćmić wszystkie. Nie marszcz czoła, mój surowy władco; przecież to nie grzech pragnąć piękności. Gdyby to był grzech, toby Bóg ani kwiatów, ani lasu, ani jezior nie stworzył, — to wszystko takie piękne. A może to grzech chcieć olśnić? Ale ty, rycerzu, nie powinieneś mieć o to do mnie pretensyi; jeżeli chciałabym olśnić, to przedewszystkiēm tybyś zbierał tryumfy, kiedy ja już przez pół do ciebie należę. Więc przyjeżdżasz,

panie Andrzeju? Tylko proszę o dobry humor; wszystkie kłopoty niech pan za sobą zostawi. Już kończę, bo doprawdy muszę do Zingary zajrzeć. Myślę, że za kilka dni dosiędę mojej wierzchówki, błoto mnie nie przestrasza. Więc do widzenia, miły rycerzu. Nie myśl, że mnie zgryzoty twoje nie martwią. Martwią mnie, bardzo nawet, ale jakaż na to rada?

Shake-hand.

Iza.

List Hrabiego Andrzeja do Izy.

Osiek, d...

Nie będę, droga panno Izo, z tobą mazura tańczył. Nie będę na balu w Sitowiu twojemi tryumfami się cieszył! nie będę — co mnie jeszcze więcej martwi — podczas świąt w Hońsku przy tobie!

Boże Narodzenie i Wielkanoc, to takie wielkie, solenne uroczystości dla nas, Polaków! Tak wtedy, każda z nas, choćby najzimniejszy, choć sobie z tego sprawy nie zdaje, ciepła serc kochających potrzebuje! A ja, który sobie podczas tegorocznej Wielkiej Nocy tyle radości obiecywałem, spędzę ją zapewne w wagonie!

Do ostatniej chwili nie chciałem pani o moim wyjeździe do Carlsburga donosić, myśląc, że da się

on jeszcze odłożyć — ale podróż ta jest niezbędną i jutro rano do Austrii wyjeżdżam.

Panno Izo, droga panno Izo, o jedno tylko proszę, nie posądzaj mnie o obojętność, nie mów, że „nie jesteś najważniejszą sprawą mego życia”! Bogu wiadomo, że obecnie „najważniejszą sprawą mego życia” jest twoje szczęście. Ale oprócz tego świętego obowiązku, mam jeszcze inne, niemniej święte do spełnienia. Do rzędu takich należy opieka moja nad siostrą.

Domyślałaś się, że to w jej sprawie do Carlsburga jadę. Nie prosiła mnie ona o to, ale przyjechawszy tutaj, zastałem ją tak przygnębioną, tak niešťęśliwą z wiadomości, które o swym Stasiu odebrała, że sam ofiarowałem się malca z Carlsburga odebrać i do domu przywieść.

Lunia z początku, myśląc o pani, propozycyi mojej przyjąć nie chciała, ale, nie mogąc się ruszyć z powodu interesów, zagnalona listem Stasia, zgodziła się na moją propozycyę. Za dziesięć dni najdalej będę tu z powrotem, malca mojej siostrze odstawię i tego samego dnia do Hońska wyruszę.

Czy pani mnie z niecierpliwością oczekiwać będziesz? Czy ja pani choć trochę, choć troszeczkę będę podczas świąt brakował? Panią pewno bał, słońce, Zingara i wiosna pocieszą! Mnie widok wiosny, która panią tak upaja, tylko większym, głębszym smutkiem, większą tęsknotą napelnia. I czy

uwierzy pani, że zawsze, w młodości, w dzieciństwie prawie, wtedy, gdy pani w mém życiu jeszcze nie było, wiosna napelniała mi serce bezmierną tęsknotą! Tęsknota — za kim? za czém? — nie wiem! Zapewne za tém czémś, czego na ziemi, jak na niebie twój różowój chmurki, nigdy nie złapiesz; za tém widziałem, które ludzie szczęściem zowią, za którym gonią, gonią bez wytchnienia, bez przestanku, póki w grobie nie odpoczną!

Ale dość już tego. Do widzenia, droga panno Izo, do widzenia w Hońsku. Do widzenia raz jeszcze. Czemu mi dziś tak ciężko z tobą się żegnać? Nie wiem! Może to przeczucie czego złego?

Rączki pani i księżny Zofii po tysiąc razy całuję, życząc im świąt wesołych i szczęśliwych.

A. Gasztold.

List Izy do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Zanadto mój rycerz grzeczny i dobry. Ani razu nie marudzi w liście swoim i tak pocziwie się odzywa do swój roztrzepanej narzeczonej, że rozczuła mnie i roztkliwia aż nadto — jakoś mi niewygodnie z tém rozczuleniem. Doprawdy! Gdyby wszystkich grzeszników, zamiast karać, serdeczném słowem poczęstowano, toby ludzie z pewnością mniej grzeszyli; wyrzuty sumienia nie dawałyby im spokoju. Tak

jest ze mną mniej więcej. Gdybyś był zrzędził, panie Andrzeju, zacięłabym się w głuchym buncie i zamiast spowiedzi, jaką ci obiecuję, miałbyś obojętny świstek.

Tymczasem przeczułeś widocznie, co dla mnie potrzebniejsze; zamiast wymówek, przesyłasz mi odciętą smutku swego i echo tego, co się w twojem sercu dzieje. Więc też marzę tylko o tém, aby cię pocieszyć, rozerwać w przygnębieniu, aby ci oddać go-racém słowem za słowo serdeczne.

Marzę o tém — ale nie umiem się wzięść do tego. To tak trudno *mettre à nu* serce swoje i to w dodatku takie powikłane, waryackie serce, jak moje, którego ja sama nic a nic nie rozumiem.

Śluchaj, mój rycerzu drogi, chodzi mi o szczęście twoje, bo wiem, jak bardzo wart jesteś tego szczęścia; czuję, oceniam wartość twoją, dzisiaj więcej może, niż kiedykolwiek. Przerażona jestem sobą samą; zkaąd mnie ta pretensya, aby ciebie uszczęśliwić? *Ja—ciebie?* Ależ to jest porywanie się z motyką na słońce. Jakże ja mam być odpowiedzialna wobec siebie, ludzi i Boga za życie twoje; ja wiem, że ty masz dosyć siły, aby sam za nie odpowiadać, ale moim udziałem być powinno opromienianie codziennego *tête à tête* życia twego, a bodaj, bodaj, czy ja jego wiecznie zachmurzać nie będę.

Nie — z ręką na sercu, seryo mówiąc, ja ciebie nie jestem warta, mój rycerzu miły. Dziwisz się?

A jednak dawno już dosyć przyszedł do tego przekonania. Wobec twojej wielkiej, szlachetnej duszy, moja dusza, niby pigmejczyk śmiesznie mały, się wy-daje. Zkaąd mnie stawać obok ciebie? mnie się z to-bą mierzyć. Ja mam być twoją połową? Kiedy ja wobec ciebie, jak kropka nad *i*, a do tego kropka, psująca harmonię litery.

Je divague. Jeżeli tak dalej pozwolę się unieść mojej wrażliwości, to z liryzmu wpadnę w śmieszna czułościowość, więc skrócam rozplywanie się nad twemi doskonałościami i przechodzę do porządku dziennego.

Nie przyjechałeś rycerzu, nie stawileś się na skienienie palca mego i źle zrobiłeś, bo z desperacyi, z upokorzenia, jakiego doznawałam wobec świata, że tak szpetnie opuszczoną byłam, przez mego właściciela, dopuszczałam się karygodnych czynów, całą litanię grzechów mam na sumieniu; gdy wyznam, może mi przebaczone będą. Ani się spytałeś, mój panie, jaką toaletę mieć będę; kogóż to ma interesować, jeżeli nie ciebie? A więc udrapowana byłam fałdami białej *crêpe de Chine*, (czy wiesz, co to za stworzenie?). Każda fałda głębsza podtrzymana była kolibrem, na boku *une volée* kolibrów, w około stanika girlanda z mchu, zakończona bukietem z kolibrów na ramieniu; we włosach girlanda z kolibrów maleńkich, jak mucha. Na szyi nic, na rękę tylko dwie bransoletki od ciebie — kajdany! ale zło-

te, śliczne, artystyczne kajdanki, które dziś Kocham znowu, choć wtedy, no, wtedy, troszeczkę mi ciążyły.

Ale kto cudownie wyglądał, to Zosia; miała powłóczystą suknię z srebrnej lamy, wieniec z białych róż przy staniku i we włosach, na szyi rywierę z brylantów; powiadam ci, rycerzu, niczym wszystkie Goplany wobec tego eteryczno estetycznego zjawiska. Gdyśmy zajechały, stary pan Wielogórski, wprowadził pod rękę Zosię do salonu, mnie Maks towarzyszył i zaszło ztąd oryginalne *qui pro quo*, bo mnóstwo osób wzięło mnie za jego narzeczoną.

Między zaproszonymi byli Zdzisiowie. — Boże mój! jak mi żywo stanęły w pamięci chwile wiedeńskie. Pamiętasz ślub ich, rycerzu? Pamiętasz Volnary'ego?

A teraz, co powiesz na to, panie Andrzeju, że on sam, Volnary, prosił mnie, do pierwszego kadryla i że z nim tańczyłam? Bądź wspaniałomyślny i nie gniewaj się. Jak na mnie, zaręczam ci, że się jeszcze wcale nieźle sprawiałam. Gniewało mnie, że wszyscy o pana mnie zapytywali; co komu do tego, dlaczego to, owo, albo tamto. Dwóch ludzi delikatnych znalazłam między tym zbiorowiskiem srok i trzmieli, a to Maksa i Volnary'ego, nie brali mnie na egzamin i nie mieli min zdziwionych.

Przepysznie wyglądały salony. W oranżeryi, urządzonej *en salon d'hiver*, kolacja. Między egzotycznymi kwiatami bufet i szampan. Od tego zaczę-

łam, bo mi czegoś zimno było na ciele i duchu, wchodząc w te tłumy, które mnie ciekawymi oczyma od stóp do głowy mierzyły. Maks mi nalał jedną szklankę, potem drugą, potem trzecią. Stop — zawołałam — już duch we mnie wstąpił, dosyć tego.

Maks, niezmiernie ożywiony dnia tego, zawołał: „O, teraz mam kolibra takiego, jakim go mieć chciałem”.

Zaczęto walcem. Zosia wirowych tańcy nie tańczy, więc ja z Maksem rozpoczęliśmy bal. Znakomitą mieliśmy orkiestrę; mnie z punktu zaczęło się w głowie kręcić i od muzyki, i od szmeru głosów ludzkich, i od szampana, i od wirowania. A potem, coś złego we mnie wstąpiło; jakiś bunt, niewiadomo przeciw czemu i komu. Pewnie przeciw sobie samą. Bo na nikogo w życiu, oprócz na siebie, nie potrzebowałam się dotąd buntować.

Faktem jest, że na sumienie nie zwracałam najmniejszej uwagi dnia tego, raczej tej nocy. Mazura tańczyłam z Maksem. — Volnary prowadził, wyręczając gospodarza domu. Dziwna rzecz, z kąd ten Węgier ma takie świeże pomysły w tańcu czysto narodowym. Przyznaję jednak, że spadł u mnie w opinii, gdy zauważyła te nadzwyczajne ewolucje, gdy w nim spostrzegła dar tańcowego „*leadera*”. Dla mnie to zawsze śmieszne, takie zaabsorbowanie się i poważne traktowanie figury kotylionowej, albo mazurowej. Gdyby młodzi ludzie wiedzieli, jak ko-

micznie wyglądają z chmurą na czole, gdy z głowy ich, zamiast Minerwy, rodzi się nowy *es* lub *flores*, nogami wykonany, to mniejby się dobijali o zaszczyt prowadzenia skoków. (Zauważ, mój rycerzu, że jak na takiego kolibra, to wcale poważne zapatrywanie się na życie, co?)

Z Maksem rozmawiałam dużo, bardzo dużo — o! zawiele nawet, bo on mi taki chaos zaprowadza zawsze w głowie, że potem nic już nie wiem, co dniem, co nocą, co dobrem, co złem, co smutnem, co wesołem. Nietylko traktowaliśmy lekkie, pobieżne kwestye. Filozofowaliśmy także. Maks określał mi swoje zapatrywanie na szczęście. Mówił mi: „Dlatego jest ono tak rzadkie, że się przesadami krępujemy. Nieraz dla jakiejś bańki mydlańej, szumnie zatytułowanej idea, obowiązkiem, łamiemy sobie życie dobrowolnie. Szczęścia trzeba szukać. Jeżeli spostrzegamy, że to, co braliśmy za szczęście, jest tylko mirażem, to śmieszném byłoby obstawać przy pomyłce naszej i trzymać się jój, jak pijany płotu; gońmy dalej, może nam w końcu uda się schwycić złotopiórego kolibra”.

— Naturalnie, pióra mu powyrywać i puścić na zimno, gdy się spostrzeże, że i koliber był mirażem.

— Nie, puścić tylko wtedy, gdyby się koliber o wolność upominał; przemocą nigdy nie trzymać.

— Więc pan wierzysz, że szczęście schwycić możesz?

— Ja myślę, bo wierzyć... to wielkie słowo, *vide de sens*. Ja w nic nie wierzę.

— Nawet w miłość swoją dla Zosi?

Zmieszał się Maks widocznie.

— Niedyskretne pytanie za niedyskretne pytanie — odpowiedział wymijająco. — W co pani wierzysz?

— Ja? ależ w mnóstwo rzeczy. Credo w pacierzu z przekonaniem i rozmysłem odmawiam, a potem wierzę w wiele serc szlachetnych, w przywiązanie Zosi i hrabiego Andrzeja do mnie...

— Doprawdy? A w swoje przywiązanie do hr. Andrzeja?

Zła byłam i zamiast odpowiedzi, rzekłam:

— Tańczmy lepiej.

Byłam jeszcze bardziej zła, gdy on się roześmiał głośno, ironicznie, nieznośnie, na odpowiedź moją. Ale mazur się skończył. Kolacya, mnie Volnary rękę podawał, zaczynając od słów:

— Pan Maks wraca do obowiązku; patrz pani, jak poważnie księżnę Zofię prowadzi.

Rzeczywiście, dziwnie seryo miny mieli oboje.

Volnary pytał mnie, kiedy ślub nasz; pytał czy jestem szczęśliwą, czy nie żałuję wolności, czy nie wybieram się do Węgier po ślubie — same głupie pytania mi stawiał.

Nie wiem, gdzie ten człowiek był wychowany. Szczęściem, że kolacya krótko trwała.

Ciocia Melcia tańczyła kotyliona. Panie Andrzej, co to za uciecha była dla mnie, *c'était impayable*. Tańczyła ze starym „beau”, księciem Wołkowskim. Tacy byli z siebie kontenci, że ja, tańcząc z Maksem, pokazywałam mu ich, jako obraz szczęścia.

— Wie pani dlaczego?

— Myślę, że dla pustek w głowie; tam, u nich, zamiast myśli, wiecznie walce grają.

Siedzieliśmy w owój chwili we framudze okna.

— Nie, pani, proszę zdjąć rękawiczkę, to powiem dlaczego?

Zdjęłam; pierścionek z rubinem, mój zaręczynowy pierścionek zabłysnął na palcu.

— Niech pani zdejmie pierścionek.

Zdjęłam. Równocześnie Maks swój zdejmował.

— Niech mi pani da swoje kajdany do schowania, ja schowam moje i będziemy się starali dorównać w szczęściu cioci Melci.

Byłam dość rozsądna, że się oparłam temu żądaniu.

— Widzi pani, przesady! Trzymanie się mirażu, jak pijany płotu. Nie, nigdy pani nie będziesz szczęśliwa.

— Pierścionek nic nie ma wspólnego ze szczęściem — rzekłam.

— Ale idea, łącząca cię z pierścionkiem, ma bardzo dużo — odparł.

— Choćbyśmy w przepaść, na dno morza, rzu-

cili nasze kajdany, to wolności nikt nam nie wróci — odpowiedziałam, bo mi się smutno zrobiło.

— Nikt nam nie wróci, jeżeli my jój sobie sami nie wrócimy — odrzekł.

Tymczasem, dziwna rzecz, w czasie tańca kolibry moje, jeden za drugim, ulatywały, t. j. po prostu odrywały się i ginęły, takie to *fragiles* istotki. W chwili, gdy z Maksem rozmawiałam, tylko bukiet na ramieniu został jeszcze, ale zmniejszony.

Aby zmienić rozmowę, zwróciłam jego uwagę na to.

— Widzi pani — rzekł — kolibry uciekają na wolność, ptak tylko szczęśliwy na świecie, bo tylko jego konwenanse, ani idee nie krępują.

— Ciekawa jestem, czy i te dwa odlecą.

— Co „dwa”?

— Ostatnie dwa kolibry.

— Jeżeli odlecą, to powinnaś pani iść za ich przykładem.

— I co?

— L... uciec także na wolność.

— Jeżeli odlecą... zobaczymy.

Gdy wyjeżdżać miałam, Maks mi futro podawał.

— Gdzie kolibry? — spytał.

Nie było. Ostatnie dwa znikły. Maks jednego zgnicionego wyjął z kieszonki, pokazał mi:

— Ja złapałem.

— Emblemat mojej wolności? Śliczniesz się pan z nią obszedł, zgniółł, skruszył.

— Ale przytrzymał.

Nie mieliśmy czasu rozmawiać dłużej, to były pożegnalne słowa jego.

Teraz zdaję sobie sprawę z niedorzeczności takich czczych, balowych *jeux de mots*. Nie gniewaj się pan na Maksa, u niego było to tylko szermierką językową, doprawdy. Ale ja zawiniłam i smutno mi. Okropnie żałuję za grzechy. Cały ten bal zostawił mi szaloną pustkę w sercu i w głowie i niesmak, i niezadowolenie. Pewnie dlatego, że ciebie tam nie było, rycerzu.

Kochaj mnie, kochaj mnie bardzo, panie Andrzeju; w miłości twojej jest zbawienie moje, bo ja, doprawdy, boję się sama siebie.

Czekam pana z grączkową niecierpliwością. Wszystko teraz gorączkowe u mnie — niepokój, i przygnębienie, i niezadowolenie i tęsknota — wszystko! Czekam pana.

Iza.

List Hrabiego Andrzeja do Izy.

Wiedeń, d...

Podczas, gdyś ty, kochana panno Izo, na balu w Sitowiu, wraz twemi kolibrami, fruwała, ja z moim małym siostrzeńcem byłem w operze, na ba-

lecie „*Excelsior*”. Balet ten znam i tylko dla Stasia dnia tego do teatru poszedłem. Malec był w siódmém niebie, ja zaś nie patrzałem na scenę. Wzrok mój gubił się w jednej z łóż parterowych. Łoża ta dnia tego pustą była, ale przed pół rokiem, ja w niej po raz pierwszy ciebie panno Izo, ujrzałem. Po co się nam było w życiu spotykać?! lub raczej, po co mnie, staremu, było w twoje młode życie wchodzić?!

Los sobie czasem dziwnie z nami igra!

Na długi list twój nie myślę dziś, kochana panno Izo, również obszernie odpisywać. Najprzód pociągnęłoby to za sobą niepotrzebne między nami dyskusye; potem za godzinę ztąd wyjeżdżam, a mam jeszcze kilka interesów do załatwienia.

Zapatrywań, teoryi i aforyzmów pana Wielogórskiego rozstrzygać i sądzić bynajmniej tu nie myślę. Brak mi na to i czasu, i ochoty.

Chodzi mi teraz jedynie o wyjaśnienie między panią i mną pewnej, bardzo ważnej sprawy; chcę mówić o wolności pani. Sposób, w który mi pani o swych „kajdanach” wspominasz, daje mi do myślenia, że się pani względem mnie, jako ostatecznie związana uważasz.

Nie, panno Izo, nie, moje dziecko drogie, tyś jeszcze wolna.

Jeszcze ksiądz rąk naszych przed ołtarzem nie złączył. Jeszcześ ty, panno Izo, wolna, bo ja, męż-

czyzna, raz danego słowa nie cofam i tylko *twoje* słowo, gdy zechcesz, zwrócić ci mogę.

Chcesz, panno Izo, abym cię kochał, kochał bardzo. Ale być bardzo kochaną, to jeszcze szczęścia nie stanowi. Aby się wynieść wysoko i pływać w zupełnej atmosferze szczęścia, trzeba samęj kochać, a czy ty mnie, biedne, drogie dziecko, kochać możesz?

Słyszę głos Stasia, który mnie woła, kończę więc, prosząc, aby mi pani swój przysły list do Lwowa przesłać zechciała.

Zatrzymam się tam dni parę i w Hońku stanę zapewne dopiero od dziś za tydzień.

Rączki pani i ks. Zofii serdecznie całuję i pamięci staręj księżny się przypominam.

Andrzej Gasztold.

List księżny Zofii do hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Odwagi mi brakuje i zimnej krwi, aby się do pana odezwać, hrabio kochany. Trzeba tak kochać Izę, jak ja ją kocham (może zanadto), aby się podjąć zlecenia, jakie mi dała.

Jest to trochę egoistycznie z jęj strony, bo czemuż ja mam być zwiastunką przykrości, którą pan, naturalnie, głęboko odczuć musisz swoim wrażliwym i kochającym sercem.

Już pan zgadujesz pewnie, o co chodzi? Już pan wiedzieć musisz, że Iza prosi go o zwrócenie danego słowa?

Powiedzieć panu, jaką zgryzotą dla mnie jest jęj postanowienie, to niemożliwe. Wyznam szczerze jednak, że mniej ze względu na hrabiego, ile na Izę.

Dziwisz się pan? Naturalnie, bo nie wiesz jeszcze wszystkiego, a ja sama nie wiem, jak sformułować rzecz całą.

Przedewszystkiem wytłómaczę hrabiemu, dlaczego mniej ze względu na niego martwi mnie decyzja Izy.

Miałam czas poznać cię, panie Andrzeju, i ocenić.

Uważnie przyglądałam się stosunkowi pana do Izy i przysłam do przekonania, że postępowanie mojęj roztrzepanej siostry nieraz było dla ciebie zmartwieniem; że przywiązałeś się do nięj, jak do stworzenia słabego, potrzebującego opieki, a uroczego przytém; ale że nie czułeś nigdy jedności duchowęj między nią a sobą, i że brak tęj harmonii w zapatrywaniu się na życie, na wszystko, że brak ten cię nieraz unieszczęśliwia. Rozumiałam to aż nadto dobrze i sama nieraz bolałam nad tobą głęboko, hrabio kochany, bo wiem, że dla takiego, jak ty, człowieka, miłość, nie zasadzająca się na wspólności duchowęj, jest czémś zupełnie niekompletném.

Rozumiałam także, czego się od przyszłości spodziewasz: robiłeś sobie nadzieje, że na Izę wpłynąć

potrafisz, że zrobisz z niej ten ideał, jakiego szukasz w kobiecie. Podzielałam nadzieje twoje i dlatego, wiedząc, że ciebie zawód w tym względzie dotknie boleśnie, sama niemniej dotkniętą się czuję. To nie przeszkadza jednak, że w całej tej sprawie ciebie, panie Andrzeju, mniej żałuję, mniej nad tobą boleję, bo ty sobie dasz radę w życiu; po przeboleniu tego zawodu, uznasz łatwo, że Iza ręce ci rozwiązała, że wolniejszym i szczęśliwszym jesteś, odkąd odpowiedzialność jej szczęścia nie ciąży ci na sumieniu.

Ale ona? A tu właśnie jest punkt, który mi tak trudno naruszyć, bo mówiąc w dalszym ciągu o Izie, muszę mówić o sobie, a tak radabym uniknąć tego przedmiotu.

Tydzień ten obfitym jest w wypadki. Wiem od Izy, że nazajutrz, po balu w Sitowiu, pisała do ciebie, kochany hrabio, dając ci szczegółowe sprawozdanie z wrażeń, jakie na tym balu odniosła. O czém cię jednak poinformować nie mogła, to o fakcie, zaszłym w kilka dni później—nie doniosła ci, że ja zerwałam z panem Maksym Wielogłowskim... Co pan za pojęcie mieć będziesz o nas, dwóch siostrach?

Jestem tak upokorzona postępowaniem naszym—głównie postępowaniem mojem, że nie śmiem zastanawiać się nad tém wszystkiem. Nie miałabym chwili spokoju, gdyby nie jedna kojąca dla mnie myśl—pewność, po ścisłym rachunku sumienia, że to, co zrobiłam kiedyś, gdy się z Maksym słowem związa-

łam, było w najlepszej intencji, w przekonaniu, że co najmniej dla jego dobra to zrobię i pewność także, że, zrywając dane przyrzeczenie teraz, postąpiłam według tego, co mi zdrowy rozsądek, miłość własna, godność osobista i serce nakazywały.

Szalone były moje iluzje kiedyś, a propos Maksa, ja jemu na nic przydać się nie mogę. Jeżeli miłość robi cuda, te tylko jakaś rzadka, niezwykła, wzniosła, doskonała i obustronna. Takięj miłości nie odczuwaliśmy widocznie oboje. Moja była za słaba, aby kierunek jego życia, jego zasad odmienić; jego była za krótkotrwała, aby mojemu wpływowi się poddać. Wolałam się wycofać zawczasu, jemu oddając swobodę działania. Notabene, za swobodą tą tak tęsknił, że zanim mu słowo zwróciłam, już z niej korzystał, co mnie i jego w fałszywem świetle stawiało. Jeżeli mimo tego, co przytaczam na uniewinnienie się, ty mnie potępisz, panie Andrzeju, to widać, że zasługuję na potępienie i nie buntuję się.

Jakżebym się miała buntować? Gdyby nie moje szaleństwo, moja nieograniczona zrozumiałość, że z Maksa innego zrobię człowieka, wszystko, co się stało i nad czém tak teraz boleję, nie byłoby miało miejsca.

Że od pierwszego poznania między Izą a Maksym sympatya była wielka, o tém trudno wątpić. Sympatya ta była za wielka nawet, bo widziałam, że jej nie pochwalaleś, hrabio kochany.

Oni oboje nigdy sobie pracy nie zadadzą, aby maskować swoje uczucia, wrażenia; idą za pierwszym impulsem, po szalonym, nie zważając ani na przeszłość, ani na ból bliźniego.

Nie bierz ostatniego określenia za żal do nich osobisty z méj strony panie Andrzeju; tak nie jest. Ale chwilowo nie umiem spokojnie jeszcze patrzeć na tę sprawę i może ich za ostro sądzę. Nie każdy może mieć naturę rozważną, spokojną i umiarkowaną.

Przedewszystkiem Maks umiarkowanie za zbrodnię poczytuje; to najlepszy dowód, jak trudno o czełkowiek wyrokować w świecie, kiedy wszyscy patrzą innemi oczyma na ten sam przedmiot. Otóż *pour abrèger*, sympatya Maksu do Izy i *vice versa* rosła z dniem każdym. *Wahlverwandschaft!* Magnetycznie ciągnęło jedno do drugiego, tak być musiało.

A jednak tego, co być musiało, ja się bałam i boję. Bałam się tak dalece, że tylko myśl, iż Iza wyjdzie za Maksu, jeżeli ja z nim zerwę, powstrzymywała mnie długo od wrócenia mu słowa; byłam dość wielką egoistką, że wolałam Maksu narazić na zawód i nieszczęście może, niż Izę. Maks ze mną nie byłby szczęśliwym, ale przynajmniej nie miałabym tego świdra w sercu i téj obawy okropnej, że Iza szczęśliwą nie będzie. Bo ja na niego przestałam liczyć zupełnie. Straciłam zaufanie do niego, straci-

łam szacunek. I takiemu człowiekowi mam oddawać siostrę moją jedyną?

Iza nie winna — to on winien i ja. On, dlatego, że niesumienne postępował, balamucąc ją bez skrupułu, bez względu na ciebie, panie Andrzeju, i na mnie. Ja dlatego, że człowiekowi temu pozwoliłam wejść w życie nasze i grać w niem tak ważną rolę.

Ale musiałam zgodzić się na prośby Izy. Ty nie wiesz, panie Andrzeju, nie przyznała ci się pewnie siostra moja w listach do ciebie, w jaką prostracę moralną, w jakie przygnębienie wpadała. Nieraz zastawałam ją we łzach[!] tonącą i okropnie cierpiałam wtedy, bo odgadywałam powód cierpienia tego. Biedna Iza! Maks zdaje mi się ją kochać, ale ja mu nie wierzę — już złamana wiara moja. Po owym pamiętnym balu, nie innego mi nie pozostawało, jak zakończyć tę historję. Maks z Izą, nie zważając na oczy świata, kompromitowali siebie wzajemnie. Potém znowu patrzyłam na ból siostry mojej; serce mi się rwało, nie wiedziałam co począć.

Napisałam do Maksu i poszłam Izę o tém poinformować. Rzuciła mi się na szyję i wyznała miłość swoją i żal, że ty ją potępisz i że zgubiona w oczach twoich. Pocieszyłam ją, jak mogłam. Cóż mi pozostawało do zrobienia? Powiedz, hrabio?

Nazajutrz miałam odpowiedź od Maksu, ekscytryczny list w najwyższym stopniu, w którym robił wyraźną aluzję do wolności Izy, do jakichś kolibrów

balowych etc. Prosił o pozwolenie bywania na dół; dałam mu je. Wczoraj porozumiał się z Izą, nie chciał „czasu szczęścia tracić” i dziś mowa już o ślubie, który się ma prędko odbyć. Kiedy już taka wola nieba, to i ja bym wołała, aby wszystko to zakończyło się jak najprędzej.

Jestem złamana, przygnębiona. Oddycham jednak, że tobie rzecz całą wyjaśniłam, i że rola zwia-
stunki złej nowiny już odegraną została.

Załączam pierścionek Izy. Błagam cię, hrabio, przebaczyć jej prędko, nie potępij. To takie dziecko!

Szczęśliwa teraz, oczy jej radośnie promienieją. Takię słodkię, serdeczną, łagodną, jeszcze jej nigdy nie widziałam. Gdyby nie myśl o przyszłości, mnieby widok jej szczęścia wystarczył.

Żegnam cię, hrabio kochany, sercu twemu polecam siebie i Izę; wybacz nam i jeśli możesz, nie odbieraj przyjaźni. Moja dla ciebie, panie Andrzeju, jest niezmienna, głęboka i szczerą.

Zofia.

List Hrabiego Andrzeja do Księżny Zofii.

Lwów, d...

Nie omyliłaś się, kochana księżno, myśląc, że decyzya twojej siostry prawdziwym żalem duszę moją napelni; czegoś jednak nie przeczuła (a to z powodu za łaskawej opinii, którą masz o mnie), to, że pomimo

smutku, po odczytaniu twego listu, spadł ciężar z serca mego — ciężar odpowiedzialności!

Prosząc o rękę panny Izy, przysięgłem sobie najprzód uszczęśliwić ją, a potem dzieckiem tém w życiu pokierować.

Od owego dnia w Méranie, gdy rączkę panny Izy na zawsze, (jak mi się wtedy zdawało) wziąłem w obie ręce moje, od dnia tego zdawało mi się, że i jej życie i szczęście trzymam w ręku swoim.

Choć nie jestem młodzieniaszkiem, nie wiedziałem jednak wtedy, że szczęście i życie kobiety-dziecka, to jasny „koliber,” który samowolnie, niepostrzeżenie z rąk się wyslizguje.

Myślałem... ale co tu do przeszłości powracać, jej się nie przerobi!

I ty, kuzynko, przed paru miesiącami myślałaś, że Maksa uszczęśliwisz — a on...!

Nie przypuszczaj, księżno kochana, że zazdrość, żal, lub nienawiść, obecnie mną kierują, ale ja teraz o panu Wielogłowskim mówić nie potrafię!

Może z czasem sąd mój o nim na lepsze się zmieni; ale teraz, gdy pomyślę o jego postępowaniu, nie względem mnie, nie względem panny Izy, ale względem *ciebie*, kuzynko, to fala oburzenia serce moje podnosi.

I ty mi się jeszcze tłumaczysz, żeś mu słowo zwróciła!

Nie, kuzynko, tu już zanadto szlachetną jesteś.

Prosisz mnie, abym po ostatnich zajściach o tobie i o pannie Izie złego wyobrażenia nie miał.

Do panny Izy żalu nie mam; poznawszy ją, jak ją poznałem, nawet postępowania jej potępić nie mogę, a jeżeli panna Iza na to zezwoli, prawdziwą jej przyjaźń zachowam.

Co do ciebie, kuzynko droga... znasz mnie, wiesz, jak napozór jestem zimny... bałbym się stać śmiesznym, opisując ci teraz, jakimi uczuciami dla ciebie serce moje jest przepełnione.

Jedną rzecz tylko w twoim obecnym postępowaniu, księżno kochana, zrozumieć nie mogę: jakie mogła tak prędko na małżeństwo panny Izy z Makssem zezwolić?

Ty bylabys może Makssem pokierowała, ale panna Iza...! To takie dziecko...! Kto wie jednak? Może ją miłość przeistoczy?!

Jakie to życie dziwne! Przed pół rokiem, ja sobie wyobrażałem, że przywiązanie do mnie pannę Izę z dziecka w kobietę przemieni! To, i wiele jeszcze rzeczy, jak stary idealista, wyobrażałem sobie. A teraz... teraz się wszystko w moim życiu tak raptem zmieniło!

Pojmie księżna łatwo, że w obecnych okolicznościach nie mogę teraz w Hońsku bywać, przynajmniej do zamążpójścia panny Izy. Potem nie zechcesz przed swym starym przyjacielem drzwi swych zamykać? Nieprawdaż, kuzynko?

Jutro ztąd wyjeżdżam. Odwożę Stasia do mojej siostry, a sam powrócę do mego pustego Wyszomira, gdzie książki, zajęcia i gospodarstwo na nowo całym moim życiem się staną.

Załączam do tego listu pierścionek i listy panny Izy. Niech jej księżna odemnie powie, że zawsze i wszędzie tylko jej szczęścia pragnąłem, że i teraz Bogu dziękować będę, jeżeli ją uszczęśliwić raczy.

Rączki kochanej kuzynki jak najserdeczniej całuję, prosząc ją, aby zawsze w prawdziwą i niezmienną mi przyjaźń wierzyć chciała.

Andrzej Gasztold.

List Księżny Zofii do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Prawdziwy kamień spadł mi z serca, gdy list twój odczytałam, panie Andrzeju. Umiem czytać między liniami; domyślałam się teraz, że moja obawa była przedwczesna. Złe przypuszczałam, że decyzja Izy będzie dla pana zgryzotą. Dziś inne wrażenie odczuwam; zdaje mi się, że dobrze się stało, to co się stało. Pan, hrabio kochany, wracasz do wolności, którą zaryzykowałeś w najlepszej wierze. Im bardziej się zastanawiam nad tem, co nieraz boleć cię musiało w czasie kilku ostatnich miesięcy, tem szczęśliwsza jestem, że koniec udręczenia twego nastąpił. Mając dla pana tyle przyjaźni, byłabym podwójnie

bolala, widząc pana unieszczęśliwionym przez siostrę moją. Lepiej dla wszystkich, że taki obrót wzięła cała ta sprawa. Ja także na nowo żyć zaczynam; ani się pan domyślcć możesz, jakie zniechęcenie, jakie czarne myśli opanowywały mnie nieraz w ostatnich czasach. Nie śmiałam pęt zerwać; zdawało mi się, że obowiązkiem moim jest nosić je — teraz dopiero oddycham. Inaczéj na świat patrzę. Z drugiej strony Iza i Maks tacy szczęśliwi! Ten ostatni za surowo został może przez nas osądzony. Lekko-myślny jest, ale nie zepsuty; a taka niezwykła, nieograniczona miłość, jaką go Iza darzy, zbawi go z pewnością.

Może optymistycznie zapatruję się na świat dzisiaj, ale skoro siostra moja taka rozpromieniona, skoro ty, hrabio drogi, zadowolonym jesteś, skoro wszyscy z życia kontenci, czemuż i ja miałabym się cieszyć. Cieszyłabym się więcéj jeszcze, gdyby nie stan zdrowia matki Henryka. Biedaczka codzién więcéj z sił opada, a choć dawno jestem przyzwyczajona do myśli rozstania się z nią, jednak im bardziéj chwila ta się zbliża, tém smutniéj na sercu. Zżyłam się z tym cieniem, który od kilku lat już zdaje się na pół do innego świata należeć — resztki życia w ciele, duch już gdzieś w przestworzu. To mnie zawsze pociesza, że ona była tak zacna, poczciwa, słodka; gorzék z pewnością być jék nie może, gdy nas opuści. Nieraz dziwne myśli cisną mi się

do głowy, gdy patrzę na moją biedną, schorowaną staruszkę i na tę pełnię życia, tryskającą z oczu Izy i Maksa. Tak trudno przypuścić, aby ich, tych dwojga przedstawicieli wiosny, młodości, szczęścia, dotknąć mogła starość, choroba albo śmierć, a jednak i matka Henryka kiedyś młodą i szczęśliwą być musiała. Cóż to życie warte? takie kruche! takie nietrwałe!

Czemu mówisz, panie Andrzeju, że w Hońsku być nie możesz, póki Iza za mąż nie wyjdzie? Jeżeli tobie nie zrobiłoby przykrości zobaczyć siostrę moją uszczęśliwioną przez kogo innego, nie przez ciebie, to się nie krepuj żadnemi względami. Iza powita cię, jak najlepszego przyjaciela; że ja panu zawsze rada będę, o tém nie wątpisz pewnie; zostaje Maks, którego pan nie lubisz. Ale może przekonasz się do niego, teraz, kiedy on Izę ubóstwia i ma prawo do tego. Mnie się zdaje, że nawet, gdy się nie ma żadnéj innék zasługi, to za wiele starczyk powinno uszczęśliwienie choćby jednéj osoby na świecie i zdolność do ukochania téj jednéj wybranék. Jedno i drugie przemawia za Maksem; dzięki jemu, Iza jest tak szczęśliwa, że, jak sama mówi, w niebie szczęśliwszék istoty być nie może. Mimo wszelkich uprzedzeń do Maksa, wdzięczném okiem spoglądam na niego, za to, że opromienił życie mojk siostry ukochanéj. Co do pana, drogi hrabio, prosimy obiedwie, abyś się nie zamykał w twoim samotnym domu. Nie

chcemy, abyś zdziżał nanowo; nie chcemy, aby ci było smutno; nie chcemy, abyś przyszedł do konkluzji mizantropa: że więcej warta książka, niż żywe słowo; więcej spełnienie suche i zimne obowiązku, niż uczucie serdeczne. Aby pana ustrzedz od podobnych wniosków, prosimy do Hońska. Im prędziej, tém lepiej. Lody między panem a Izą prędko stopnieją; tylko nie trzeba znowu stalowego pancerza przywdziewać, drogi rycerzu.

Serdecznie pozdrawiamy pana obiedwie.

Zofia Hońska.

List Hrabiego Andrzeja do Księżny Zofii.

Wyszomir, d...

Droga i kochana Księżno!

Tak mnie jakoś prosto i serdecznie do siebie zapraszasz, że pomimo postanowienia niebywania w Hońsku do ślubu panny Izzy, w tych dniach się tam stawię, aby rączki twe osobiście ucałować.

Tęskno mi już, kuzynko, za bratniem słowem i uściśnieniem ręki twojej; tęskno za drogą mi atmosferą Hońska; tęskno szczególnież za twojem spojrzeniem, za twym słodkim uśmiechem, który, kto wie? może mi powie, że dla mnie, starego, wszystko na ziemi jeszcze nieskończone.

A potem chciałbym jeszcze zobaczyć, przed jój końcem, biedną matkę Henryka; chciałbym, aby mnie pobłogosławiła.

Umierający tak są od nas dalecy, a od Boga blisicy!

Może to dla tego tak nas mimowoli zawsze coś do nich przyciąga! Wzrok ich chwilami tak „nieziemski” — wtedy zapewne w wieczność już zagładają! Ach! gdyby nam oni zagadkę życia wyjaśnić mogli!

Jestem teraz ciągle myślą przy stariej księżnie i przy tobie, kuzynko droga. Jak to ciągle czuwanie nad chorą ciebie męczyć musi! Prawda, że po rozstaniu się z ukochanemi, jedyna pociecha, co nam tu, na ziemi pozostaje, to myśl, że do końca staraliśmy się im życie osłodzić; a ty, kochana księżno, tę sztukę nad sztukami tak znasz po mistrzowsku!

Odetchnąłem, wycytując w ostatnim twym liście, że teraz przynajmniej o los twój siostry spokojniejsza jesteś; że Maks twego zaufania okazuje się godnym.

Nie wiem doprawdy, jakie to będzie teraz moje pierwsze spotkanie z panem Wielogłowskim.

Nie będę przed tobą ukrywał, że jedynie ze względu dla ciebie, księżno, i dla panny Izzy, obawiam się przykrych przejść między nami. O przeszłe moje stosunki z panną Izą spokojniejszy jestem. Wspólnie do siebie żalu nie mamy, a tam, gdzie żal nie istnieje, tam przyjaźń jeszcze powstać może.

Zresztą ty, kochana kuzynko, wszystko to na jaknajlepszej stopie postawisz; nie wątpię o tém — liczę na takt i serce twoje.

W przyszłą sobotę stawię się w Hońsku. Wyzomir nie żał mi opuścić. Tu mi wszystko zanadto moje szalone marzenia szczęścia przypomina.

Gdy tu powrócę, zastanę dom mój takim, jakim był przed mojem poznaniem panny Izy; takim, jakim go moja nieboszczka matka zostawiła. Z nią razem szczęście z pod mego dachu uleciało. Czy kiedy jeszcze cicha, prawdziwa radość—radość serca i duszy przy mojem samotném ognisku zasiądzie? — nie wiem! Wiem tylko jedno, że musiałyby mieć oczy twoje i twój uśmiech, kuzynko, aby w nią mógł jeszcze uwierzyć!

Rączki twoje, kochana księżno, całuję, a pamięci stariej księżny i twój siostry się przypominam.

A. Gasztold.

CZEŚĆ CZWARTA.



List Izy do Maksa.

Hońsk, d...

Dziś rano stara księżna Hońska umarła. Spieszę uwiadomić pana o tém, wiedząc, żeś się wybierał do nas z swymi przyjaciółmi z Anglii, aby nam ich przedstawić. Smutno mi bardzo; Zosia okropnie przybita, lepiej może, abyś pan także do jutra swój przyjazd odłożył. Co do panów Burnett, mam nadzieję, że się zdarzy sposobniejsza chwila do zrobienia ich znajomości.

W téj chwili odebrała Zosia depeszę od hrabiego Andrzeja. Na wiadomość o śmierci księżnej, odpowiada, że jutro będzie w Hońsku. Eksportacya ma się odbyć pojutrze, pogrzeb we czwartek rano.

Do widzenia, mój drogi panie. Tak przywykłam widywać pana codziennie, że dzień dzisiejszy, będzie dla mnie podwójnie smutnym; ale wolę, abyś pan dziś nie przyjeżdżał—wiem, że Zosi przykroby było, gdyby ją kto od ciała biednej zmarłej odrywał.

Jeszcze raz: do widzenia jutro.

Iza.

List Maksa do Izy.

Stanie się według woli pani. Nie będę dziś w Hońsku; niestety, nie będę też ani jutro, ani pojutrze. Dick Burnett, mój przyjaciel, potrzebuje odemnie przysługi; którą ja jeden tylko wyświadczyc mu mogę. Dzisiaj marzyłem o ucałowaniu rączek pani; smutno mi, że marzenie moje się nie spełni. Miałem zamiar prosić moją „*carissime*” o urlop na kilka tygodni, bo sprawy Dicka jakiś czas za granicą mnie zatrzymają. Jutro w każdym razie byłbym musiał wyjechać. Czy to być może, abym miał tak długo pani nie widzieć i wyjechać bez pożegnania.

Nigdy nie myślałem, aby oddanie przyjacielowi usługi mogło tyle kosztować. Dick liczy na mnie— zawieść go nie mogę, ale żałuję w tej chwili, że mam przyjaciół i obowiązki dla nich. Zły jestem, smutny, zgryziony, zmasakrowany ostatecznie listem mojej pięknej pani. Bardzo mi żal stariej księżnej. Zawsze mi żal starych, co się wynoszą; tu sobie spokojnie drzemali, a bogowie jedni wiedzą, czy przebudzenie co warte. Jeżeli się człowiek budzi w chwili śmierci, to pytanie wielkie, czy mu z tym lepiej.

W każdym razie, mimo całego mego współczucia, najwięcej żal mi dziś siebie. Zły jestem, jak osa. Wszyscy odemnie uciekają. Miałbym ochotę kogo zgryźć — toby mi może ulżyło...

Czemuż ja pani pożegnać nie mogę? *Goddam!*

Przepraszam panią. List mój jest arcydziełem nietaktowności, zważywszy na chwilę. Ludzie tak dbają o hipokryzyę! Bo w gruncie rzeczy ani ja, ani pani, nic nie tracimy na śmierci tej staruszki, która o naszej egzystencji nie wiedziała, czemuż ja mam udawać, że się martwię, lży krokodylowe ronie—dlaczego? Czy aby pani dowieść, że mam serce? Podług mnie, byłoby to tylko dowodem, że mam talent do komedyi.

Martwię się, ale niczém inném, jak tylko tém, że dziś nie ucałuję różowych paluszków mojej uroczej narzeczonej; że nie usłyszę z ust jej zapewnienia, iż jej smutno będzie bezemnie.

Cheiałbym, aby pani smutno było, bardzo, bardzo.

Cheiałbym, abys kilka łez wylała nawet; ale cheiałbym, abys lży te mnie oddać mogła.

Więc do widzenia, zdaleka, kiedy tego żadasz, moja pani. Tęskno mi już dziś za tobą.

Rączki twe całuję. Księżnie Zofii proszę złożyć mój hoł głęboki.

Maks.

Za pięć dni stanę w Londynie. Mój pierwszy kurs będzie na Regent Street, post-office, gdzie poste-restante na list pani czekać będą.

List Izy do Maksa.

Hońsk, d...

Szkaradnie to było z pana strony! Miałabym ochotę niecierpieć pana za to. Tak się nie wyjeżdża za morze, w jakieś mgliste kraje, nie uprzedzając o tém, kogo należy.

Chciałabym nie módz darować téj winy; chciałabym nie pisać; chciałabym nie tęsknić i wstyd mi, że między dobrą wolą a wykonaniem taka olbrzymia przepaść leży.

Cieszę się, żeś pan przynajmniej ze trzy razy na darmo do owego „post-office” chodził. Naumyślnie, *na złość* nie pisałam całe dziesięć dni. Milczałabym dłużej jeszcze, gdyby tylko o pana chodziło, ale że chodzi o mnie także, więc się odzywam.

Dla jakiegoś zamorskiego Dicka poświęcać harmonię między nami, tego się po panu nie spodziewałam.

Czego on chciał od pana, ten nieznośny Anglik?

„*By Joe,*” proszę pamiętać, że nie znoszę, aby przyjaźń — miłości w drogę wchodziła. Bardzo to pięknie, gdy się Kastor z Polluxem Kochają, ale bardzo brzydko, gdy poświęcają najpotężniejsze uczucie dla jakichś chimerycznych obowiązków.

Upokorzona jestem, szczególnie wobec Andrzeja Gasztolda. Bawi tu od jakiegoś czasu. On się zajmował pogrzebem staréj księżnéj, wszystkiemi cere-

moniami; on był ciągle obok nas w tych smutnych chwilach, a pana brakowało...

Już takie widocznie moje przeznaczenie. Narzeczony Nr. 1-szy nie stawiał się na bal i kazano mu się podać do dymisji. Narzeczony Nr. 2-gi nie stawiał się na pogrzeb... Podług sprawiedliwości, powinienam trzymać się téj saméj zasady i także o dymisji myśleć.

Ale gdzież tu sprawiedliwości szukać na świecie? *Je patiente* i daję czas do poprawy. Proszę nie nadużywać moich dobrych chęci.

Przez trzy dni mieliśmy pełen dom. Cała prowincya zjechała się na pogrzeb księżnéj. Tyle było ruchu z powodu śmierci, że mnie ten kontrast ciągle frapował. Czemu najgłębszy, ostateczny spokój wywołuje na świecie tyle niepokoju i zamieszania?

Marzę o ślubie cichym, tylko wobec dwóch świadków, o ślubie, któryby w niczém nie zakłócił zwykłego trybu życia — i marzę o pogrzebie cichym, bez zjazdów, bez zgiełku, bez ceremonialnych obiadów. Ci, co są w domu, niech mnie do trumny włożą, zainoszą do grobu i wrócą do zwykłego trybu. Proszę pamiętać, że taka jest wola moja.

Lubię nieraz liczne zebrania, ożywienie, *va et vient* wesołego towarzystwa, ale nie lubiłabym tego w chwili śmierci mojej lub bliskich mi osób i nie w chwili ślubu.

Dla staréj księżnéj lepiej, że umarła i dla Zosi

także. Zupełnie nie podzielałam pana zapatrywania drzémka starości litość we mnie wzbudza. Chciałabym umrzeć młodo, zanimbym komuś ciężarem się stała; chciałabym, aby mnie żalowano, aby śmierć moja stała się dla tych, co mnie kochają, pustką w życiu.

Ten katafalk, który tak niedawno temu stał w sali portretowej, otoczony lasem świec jarzących, rzucił cień na cały zamek, a bodaj czy nie na wiosnę całą, przynajmniej dla mnie.

Nie mogę spojrzeć na opadające kwiaty, aby o śmierci nie myśleć; każdy liść wędnący sprowadza mi do głowy myśli z tamtego świata.

Naturalnie, że mnie pan wyśmiesz, ale tём gorzej dla pana. Zamiast się śmiać, powinieneś być blisko mnie i rozpraszać wszystkie grobowe przywidzenia.

Zosia mniej jest odemnie wrażliwą, już odzyskała równowagę umysłową po owém zamieszaniu, jakie biedna księżna mimowolnie sprawiła. Pogodna jest i taka dobra, że godzi mnie ze światem.

Dobrze się stało, tak jak się stało. Moja niedoskonałość o mało że nie zamknęła wrót do szczęścia dwom najdoskonalszym istotom, jakie mi się zdarzyło spotkać — i sobie w dodatku, jeszcze komuś... jeżeli się nie mylę.

Komuś, kto nie jest wcale lepszym odemnie, kogo się czuję godną, wówczas, gdy hr. Andrzeja nigdy się godną nie czułam.

Pan musiałeś mieć to samo uczucie w obec Zosi, jakiego ja wobec p. Gaszolda doznawałam. Musiałeś powtarzać sobie codziennie: „nie jestem wart rozwiązań rzemików od jej trzewików.” Co? Czy nie mam racyi?

Ale ten, kto nie jest godzien owego rzemikowego zajęcia, jest za to godzien pożałowania, bo to bardzo nieprzyjemne uczucie, takie uznanie swéj niższości. To téż ja pana tak żalowałam, że postanowiłam urządzić kontredansową figurę: „zmiana dam.”

Wszyscy lepiej na tём wyjdą.

Cieszę się mojem dziełem, patrząc na Andrzeja i Zosię. Oni są tak rozsądni! tak rozsądni! że aż pusty śmiech na ten ich rozsądek porywa.

Gdyby się odrazu porozumieli, gdyby on jej się natychmiast oświadczył, gdy ja mu tylko kajdany z rąk zdjęłam, to już byłiby najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem, prawie tak szczęśliwymi, jak my.

Mówię „prawie,” bo mam to przekonanie, że rozsądni ludzie nie mogą nigdy odczuć tój saméj potęgi szczęścia, co szaleni. Szczęśliwym można być po szalonemu, po pijanemu, ślepo, bez opamiętania; ale nie ze spokojem, wyrachowaniem, rozsądkiem.

Bądź co bądź, Andrzej z Zosią tracą dobrowolnie najpiękniejsze chwile życia; patrzą na siebie, uśmiechają się czule i na tём się kończy wymiana uczuć. W rozmowie trzymają się stale gospodarstwa,

amelioracyi, astronomii, budynków i inwentarza. Śmieszni ludzie!

A może nie tak śmieszni, jak mi się wydaje; może patrząc na siebie, mówią sobie więcej, niżby najwymowniej słowami powiedzieć mogli...

Jak to często spojrzenie więcej jest warte od wyrazów: czytamy w oczach kochanych to, co nam najpiękniejsza nasza własna wyobraźnia w duszy śpiewa; gdy tymczasem wyrazy, pochodzące z ust ukochanych, nieraz nie odpowiadają wcale temu, cośmy roili.

Nawet z panem już mi się to zdarzyło, bo jesteś takim czasem heretykiem. Aż zimno i dreszcz przejmuję, gdy występujesz z niektórymi pseudo-teoryami — a jednak tak ślicznie patrzeć umiesz, że oczy twoje zadają kłam wyrazom.

Ciekawa jestem, kiedy się Andrzej zdecyduje zgiąć kolano przed Zosią?

On zgina obydwą nawet i ręce wyciąga oddawna, ale tak zakochany, że nie śmie sformułować uczu swoich.

Biedny człowiek! Jaki on czyściec musiał przejść ze mną, zanim do nieba trafił.

Gdzie pan jesteś? Co robisz? Kiedy wracasz?

Brzydki, szkodliwy, niedobry, nieznośny!

Nienawidzę owego Dicka! Jestem pewna, że całe te sentymenta Kastora do Polluxa są niepotrzebnym wymysłem.

Taki cudowny wieczór! Księżyc, jak na wschodnich obrazkach, dwa srebrne rożki w powietrze wznosi, niby wprost z minaretu zdjęty. Topole balsamiczne tak pachną cudownie! Drobnutki, białe obłoczki, jak nieprzeliczone stado gołębi, na niebie zawisły.

Nikt i nic nie tęskni, gdy tak pięknie na świecie, tylko ja jedna.

Dobranoc, mój drogi panie.

Iza.

List Maksa do Izy.

Londyn, d...

Darling. Nikt nie tęskni, tylko pani jedna? A ja co? Więc ja się za nic nie liczę?

Shocking! Jaka egoistka z méj narzeczonój! Więc chciałaś mi „na złość” zrobić? Doprawdy chciałaś, Izo, moja słodka? Mnie tak trudno w to uwierzyć; chociaż przyznać muszę, że jeżeli rzeczywiście taki był twój zamiar, to go dopięłaś. Nie złościłem się wprawdzie, ale przykro mi było — bardzo przykro, gdy z pustemi rękoma wracałem z poczty.

Swoją drogą pochlebia mi niezmiernie gniew twój, moja piękna pani. Dumny jestem, kontent z siebie, że mi się udało zdobyć takie niezdobyte serce takiej uroczej kobiety.

Dick dowodzi, że jestem okropnie próżny, że więcej dbam o formę paznogi i zawiązanie krawata, niż on o przeprowadzenie „*home-rule*”.

Może to być; w gruncie rzeczy i wobec wieczności, znajduję, że „*home rule*” i węzeł u krawata równoważą się zupełnie. A jeżeli wygląd zewnętrzny wpływa na zdobywanie serc niewieścich, to tysiąc razy więcej każdy z nas dbać powinien o piękny wąs i modny tużurek, niż o wyniki wojny międzynarodowej, albo o kwestye socyalne.

Więc jestem próżny, a list pani zrobił mnie próżniejszym, niż kiedykolwiek. Pawanowałem się po ulicach Londynu i zdawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą i wszyscy mówią: „*happy fellow*”.

A jednak nie jestem szczęśliwym człowiekiem: jest to aberacyą umysłową z méj strony, bo powinieniem się czuć najszczęśliwszym z ludzi; wiem o tém, gdy się zastanowię i wyliczam wszystkie warunki do szczęścia.

Że jednak zastanawiam się rzadko, a liczę jeszcze rzadziej, więc zdaję sobie tylko sprawę z tego, że mnie coś trawi, gnębi, pożera... może to tylko tęsknota? Może...

Czemu nie wracam, pytasz naturalnie, droga moja. Dlaczego? Przedewszystkiém dlatego, że nie pokażę się w Hońsku tak długo, jak tam ten surowy Katon, ten niepokalany cenzor, gościć będzie. Mam antypatyę do wszystkich, którzy się na jakimś piede-

stale stawiają i roszczą sobie prawo do narzucania swoich widzimisię ogółowi ludzi. Niechże krety pozwolą sępom, czy jastrzębiom, być sobą. To takie śmieszne! Zupełnie, jak gdyby kret za złe brał koniowi, że sobie nory nie buduje i o próżniactwo go obwiniał.

Sentencye i teorye waszego hrabiego Andrzeja denerwują mnie i irytują. Takie niesłychane pokusy muszę zwalczać, aby mu nie powiedzieć, z jakimi uczuciami noszę się dla niego, że wolę już go lepiej nie spotkać, choćby dlatego, że niecierpię zwalczać pokus; jest to najidiotyczniejsze zajęcie, podług mnie: komu co z tego kiedy przyszło, że się człowiek sam dobrowolnie tyranizuje.

Nie mogę znieść myśli, że ty *moja*, moja, tylko moja, podajesz mu rączkę na dzieńdobry i dobranoc, temu „*croque-mitaines*”. To moje prawo, zazdrosny jestem o każde spojrzenie twoje, chciałbym ci oczy zawiązać, abyś na nikogo nie patrzała — tylko na mnie.

Skarżysz się, że nie zawsze usta mówią to, co oczy — nawet moje. Ależ czyja w tém wina? Pewnie twoja, moja Izo najmilsza. Wtedy, gdy twoja fantazyja po gwiazdach buja i czytasz w mojem spojrzeniu to samo rozbujanie, ja cię słowami sprowadzam w inne krainy, niemniej zaczarowane, ale cieplejsze i łatwiejsze do zdobycia, niż te nadpo-

wietrzne światy, które mnie zawsze dreszczem przejmują i o zawrót głowy przyprawiają.

Wędrowka po gwiazdach — to wieczność, a wieczność — to śmierć. Czy ty się śmierci nie boisz, pani moja? Gdybym był pewien, że wszystko się skończy, tobym się nie bał.

Czytałaś „Uranie” Flammariona? Całość, to kosałki opalki dla dorosłych dzieci, ale jest tam kilka stron ślicznych. Czy nie chciałabyś tak umrzeć, jak Spero ze swoją narzeczoną?

Powiesz, że lepiej żyć razem. Może... może! Zawsze tylko *może!* Gdybyż czegoś na świecie pewnym być można!

Czy ty doprawdy Dicka nienawidzisz? Ja myślę, że to ci się tylko zdaje. To taki poczciwy chłopiec! Cóż on temu winien, że ja nie jestem lepszy, niż jestem.

Zresztą, kto mi dowiedzie, że jestem gorszy od innych? Kto mi dowiedzie, że między mną a takim Gasztoldem ja nie mam większej wartości.

On ma innych bogów, ja innych; on hołduje swoim, ja moim. Kto mi dowiedzie, czyja wiara lepsza?

Pierwszém mojem bóstwem jesteś ty, drugiem miłość; po za tém nie nie widzę i nie mnie nie obchodzi; do tego wszystko skierowane w moich dążeniach i pragnieniach.

Teraz marzę o zbudowaniu przybytku, godnego mego bóstwa. Musisz mieć świątynię, jakiej żadna Wenus nie miała. Nie przypuszczasz, abym cię chciał do Sitowia zabierać, abym cię pozwolił mieszkać w staroświeckim, śmiesznym dworku. Zbuduję na wzgórzu marmurowy pałacyk, korynckiej architektury; zapehnię go wszystkiem, co piękność mojej pani podniesie i co oczy pieścić może. Tutaj już wiele obstalunków zrobiłem — to moje najmilsze zajęcie i wtedy tylko jestem w moim żywiole, gdy układam w myśli, co najpiękniejszego zdobyć dla ciebie i czém cię otoczyć.

Dick temu nie winien, że wyjechałem; doprawdy, że nie. Pomagam mu konie ujeżdżać; paradną ma jedną czwórkę rasową. Nie będę miał spokoju, póki ję od niego nie wykręcę. To moja *idée fixe*, aby nas ta czwórka do ślubu wiozła, ale on się droży do śmieszności. To nie, postawię na swoim, choćby dlatego, że zawsze na swoim postawić muszę. Dzieci własne sprędałbym, gdybym je miał, a kupiłbym te złote kasztany.

Nie gniewaj się na Dicka, bo mam wyrzuty sumienia. Wyjechałem dlatego, że mnie coś ciągnęło do mglistej Anglii; stęskniłem się za nią, znudziła mnie szlachta okoliczna. Widok brata szlacheica wystarczał — *pour me mettre hors des gonds*. „Jak tam pszenica u ciebie? U mnie oziminy liche.” *Goddam!* A co mnie do tego, jakie oziminy u pana

Ski, albo Icz? Nie, Izo — wierz mi, ja od czasu do czasu muszę sobie płuca oczyścić z rodzinnego powietrza. Nie cierpię tej sielanki, zasadzającej się na uwielbianiu wszystkiego, co swoje. Miejscowe patryotyzy, to zabytki barbarzyńskie. Ojezyna moją jest świat cały; kocham go, kiedy mi humor sprzyja, a niecierpię, gdy mi chmury duszę obsiadą. Nie gniewaj się, *darling*. Ty wiesz, że zawsze miałem zamiar wyjechać do Wiednia, albo Paryża, aby na twe przyjęcie Sitowie ozdobić. Zdecydowałem się na Londyn; tu wszystko ma więcej „cachet”. Ale to, co widzę, takie piękne, że na to nigdy dom sitowiecki stosownym być nie może. Dwór zostawimy starym, a sami w Parkanach zamieszkamy, to dużo odpowiedniejszy punkt dla nas obojga. Zanim pałac wykończę, będziemy podróżowali. Pojedziemy do Indyj, a zimę spędzimy na wyspie Cejlon. Czy dobrze?

Na słoniach jeździć będziemy, a miłość o ileż piękniejszą nam się wyda przy blasku księżycy na dalekim wschodzie, niż tego bladego pirożka, który u nas tak podziwiałaś.

Ręce twe całuję.

Maks.

List Izy do Maksa.

Hońsk, d...

Co ja z panem pocznę? Czy też kiedy dam sobie z nim radę? Pewnie nie!

List pana jest poprostu przerażający i zmartwiłabym się bardzo, gdybym nie znała mego Maksa.

Ty taki jesteś fantastyk! Z tobą nigdy jutra pełnym być nie można i tak, jak nie wiem, z której strony i w jakiej formie nadpłyną chmury na niebie za godzinę, tak samo nie wiem, co za nowy pomysł, jaki kaprys strzeli ci do głowy jutro, gdy cię dziś żegnam.

Nie chcę pałacu marmurowego, nie chcę czwórki Dicka, nie chcę Cejlonu. Nie, nie i nie!

Proszę sobie wyperswadować te wszystkie dziwaczne pomysły. Ja mam zupełnie inne plany.

Porzucisz bałwochwalstwo, a będziesz się kłaniał tej samej potędze, którą Andrzej i Zosia uznają. Uściśniesz rękę Andrzeja serdecznie, bez uprzedzeń, będziesz radził z bracią szlachtą nad oziminami i uprawą kartofli. Wyrzeczysz się kosmopolityzmu, staniesz się wzorowym hreczkosiejem dla mnie, dla mej miłości.

Jeżeli mnie tak kochasz, jak mówisz, to dasz mi tego dowody — nie takie, jakie się tobie dostatecznymi wydają, ale jakie ja sobie wymarzyłam.

Dziwisz się? Nie spodziewałeś się podobnej propozycji? Myślisz może, że mi Zosia dyktuje? Nie, to ja — ja, Iza; tylko trochę zmieniona, trochę poważniejsza, trochę lepsza, niż dawniej. Miłość podobno cuda robi, podobno przeistacza.

Exemplum: twoja pani, mój panie.

Tak, biore pana na munsztuk; taka wolność nieograniczona tylko do nadużycia prowadzi. Proszę wracać do owczarni, zbląkana owieczko. Zobaczysz, jak ci dobrze będzie. Nie chcę nie z Londynu, chcę tylko powrotu pana. Hrabia Andrzej za kilka dni wyjeżdża, więc jeżeli dziś jeszcze przykroby ci było spotkać się z nim, to zanim powrócisz, już go tu nie będzie. Z czasem, myślę, że polubicie się i będziecie żyć w zgodzie.

Byłam dziś konno w Sitowiu u twoich rodziców na obiedzie. Jacy oni dla mnie poczciwi i jak oni ciebie kochają, niewdzięczniku! Tak miło spędziłam kilka godzin między twoją matką a twoim idealnym ojcem. Mama nazywa mnie swoją córeczką — to mi robi tyle przyjemności. Matki mojej prawie nie pamiętam, a to taki słodki tytuł do dawania — nie używałam go dotąd.

Twoja matka mnie nawróciła, a ja mam misję nawrócenia ciebie; obiecujesz nie utrudniać mi zbytnio zadania, co? powiedz, mój drogi panie.

Ojciec twój martwi się, że tak, bez żadnego powodu, do Londynu się wybrałeś. Radzi mi, abym

cię krótko trzymała. Żałuje, że cię za granicą wychowywał, skłaniając się do twojej prośby i twoich gustów.

Kocham twoich rodziców i cieszę się z tego. Wracałam o zachodzie słońca do domu. Zingara w dobrym była humorze; ku wielkiemu niezadowoleniu Wojciecha, przesadziłam ten sam rów pięć razy zrzędu, zaprawiając moją wierzchówkę do skoków. Zosia tylko ze starym Wojciechem jeździć mi pozwala, gdy mnie samą puszcza. Cóż robić? muszę jej dogodzić. Taka jestem szczęśliwa, że wszystkim dogodziłbym chciała. Na odwrót usposobienia panna, nie wiem, dlaczego miałabym się czuć szczęśliwą, bo nieba skarały mnie takim fantastykiem narzeczonym, że prędej powinienabym rozpaczać nad swemi losami. Pan przeciwnie, uznajesz powody do szczęścia, ale mimo to, w czarną melancholię wpadasz.

Wszystko takie nielogiczne na świecie, a najtrudniej zbadać, czemu serce Ignie w tę, a nie w tamtą stronę; albo czemu myśl dzisiaj z różanych iluzji utkana, a jutro z żalobnego kiru. Im więcej pragnęlibyśmy zbadać przyczyny naszych własnych uczuć, tém bardziej się w nich gubimy. Ja się dziwię, że wszyscy, którzy analizują własną duszę, bzika w końcu nie dostaną. Próbowалам kilka razy tego zajęcia i taki chaos ztąd wynikał, że obieca-

łam sobie zostawić w spokoju moje wewnętrzne „ja”.

Czybym chciała umrzeć z tobą tak, jak narzeczoną Spera? Byłabym zdolna własne życie poświęcić, aby ciebie ocalić; ale nie jestem pewna, czyby ciebie śmierć moja zabiła?

Nie wątpię, że mnie kochasz; gdybym o tém zwątpiła, to życie straciłoby dla mnie, wszelką wartość, ale wiem także, że mnie kochasz miłością bardzo niedoskonałą, taką naturalnie, na jaką cię stać — a ty tak niedoskonałym jesteś!

Pod pewnym względem bardzo to szczęśliwie — nie będziesz miał prawa żądać odemnie zalet i cnót, których nie posiadam; będziesz musiał zamknąć oczy na moje wady rozliczne; nie będziesz na mnie marudził, a to dla mnie szczyt szczęścia.

Tak, jestem szczęśliwa, że mi Pan Bóg dał cię; że kocham, kocham tak bardzo! Jestem szczęśliwa, że żyję; że świat taki piękny; że ludzie tacy dobrzy. A będę jeszcze szczęśliwsza, gdy wrócisz wesół i swobodny jak najprędzej; gdy mi powiesz, że cię już czarne myśli nie gnębią; gdy mi powiesz, że lepij ci przy mnie i ze mną, niż gdzieś daleko, za morzami!

Do widzenia. Nauczyłam się modlić i modłę się za ciebie codziennie; teraz rozumiem, że, szczególniej kochając, wiara staje nam się drogą i niezbędną.

Z wdzięcznością dla Boga, że nas do wieczności stworzył, podpisuję:

Twoja na wieki

Iza.

List Maksa do Izy.

Londyn, d...

Już mi panią odmienili! To nieszczęście prawdziwe! Ale to moja wina: trzeba mi było pilnować ciebie i nie zostawiać między drogowskazami.

Proszę cię, błagam na wszystko, raz na zawsze, nie staraj się nawracać mnie — i sobie i mnie uprzykrzyłabyś życie tym sposobem, a nie osiągnęłabyś żadnego celu.

Zostaw mi najzupełniejszą swobodę. Siostra twoja przekonała mnie ostatecznie, że więzów nie zniosę.

Przypuszczam, że jestem materialistą — i cóż ci to szkodzić może? Materializm zasadza się na uznawaniu w życiu tego, co sprawdzić mogę, co widzę, na co patrzę, czego dotykam, co rozum mój obejmuje. Idealiści gubią się w labiryncie zagadek, tajemnic; najfantastyczniejsze bajki za prawdę poczytują; nie chcą rozumieć, ani widzieć, ani słyszeć, a gonią za czémś, o czém nikt pojęcia mieć nie może, czy egzystuje.

Jestem więc materyalistą; ciebie kocham, dlatego, żeś piękna, a nie dla twoich duchowych zalet, bo co do tego, to bardzo rzecz względna, jak się kto na zalety zapatruje. Drogowskaz Andrzej inaczej, ja inaczej; Eskimos jeszcze inaczej, a Tuareg, albo Pawns, jeszcze inaczej.

Przypuszczam nawet, że kobietę powinno się mierzyć nie jej wewnętrznymi, ale zewnętrznymi przymiotami, bo któż mi dowiedzie, że tak zwana dusza nie jest doskonalsza w Rosinie, baletnicy, niż w pani Monk, stariej dewotce, przełożonej kilku instytutów filantropijnych?

Za to oczy moje wystarczają, aby mnie przekonać, że ty jesteś piękniejsza od najpiękniejszych, i w to wierzę; dlatego przed panią moją jestem *chapeau bas*, ale przed nikim więcej.

Że jestem fanatykiem, to być może; ale przecież nie zrobisz mi zarzutu z tego, że w mój głowie różne zmiany zachodzą. Czyżbyś lubiła monotonię? W takim razie, czemu pani owego pseudo-rycerza, Gasztolda, nie mogła na żaden sposób w sercu swoim zakorzenieć?

Tylko bez *humbugu*, moja piękna Izo — przedemną pozować nie potrzebujesz; nie wmawiaj ani we mnie, ani w siebie patryarchalnych gustów; ani nam obojgu patryarchalnych planów nie narzucaj.

Na to także się przygotuj, że banalnego życia wieść nie będziemy, jeżeli w ogóle żyć będziemy,

(co nieraz wydaje mi się bardzo niepotrzebnym zajęciem).

Lubię oryginalność, a pani łatwo się do gustów moich zastosuje. Czemu tak powstajesz przeciwko Indyom i Cejlonowi? Pomyśl, jakby ci ładnie było w hamaku pod bananami! U nóg twych oswojony... lampart, zamiast psa — małpka, zamiast faworyta kota — kilka węży. Miałabyś tyle kwiatów wkoło siebie! byłabyś okryta kwiatami; ciepłoby nam było i jasno! Powiedz, Izo, czy ci się to nie uśmiecha? Jeżeli nie potrafiłbym stworzyć dla siebie takiego życia, o jakim marzę, jeżeli milionami nie otworzyłbym sobie drogi do wszystkiego, o czym najśmielsza fantazyja zamarzyć może, to wolałbym dać za wygraną i skwitować z życia.

Na samą myśl prozy i monotonii, codzienną *terre à terre* egzystencji, dreszcz mnie przejmuje.

Masz słuszność, gdy nie liczysz na marmurowy pałac; do tego trzeba milionów, a ja ich nie mam dotychczas, ale rzuciłem rękawicę losowi, postawiłem życie na jedną kartę — zobaczymy.

Wszystko zależy od wygranej, a zanim losy raczą zdecydować, nie mogę się stawić na twe żądanie, pani moja.

Nie gniewaj się na mnie; staraj się znieść mnie takim, jakim jestem. Niestety, czasem zdaje mi się, że nie jestem stworzony do uszczęśliwienia nikogo na świecie, a wtedy żal mi, że wnięszalem się w ży-

cie twoje, któreby bezemnie może tak promienném być mogło.

Egoistą byłem zawsze — to jedno mnie tłómaczy, że absurdem byłoby twierdzić, iż jest choć jedna osoba na świecie nie egoistka. Póty, póki jednostki egzystują, póty „ja” istnieć musi, a co za tém idzie, każde „ego” z osobna uważa się za centrum świata, za cel stworzenia i do siebie wszystko odnosi. Otóż ja, szukałem ratunku, spokoju, oparcia — myliłem się często, sam spokoju nie znalazłem, a odebrałem go nieraz tym, u których go szukałem. Niespokojny duch we mnie. Co począć? tak być musi. Trzeba się z tém pogodzić, albo...

Ale czemu ja wspominam o tém wszystkiém? Sam nie wiem; to do niczego nie prowadzi. Wolałbym, abyś przezemnie szczęśliwą być mogła; wolałbym dać ci tylko rozkosz, zachwyty, uniesienie, zenit szczęścia w udziale — ale jeżeli takie już moje przeznaczenie, że nawet tobie jedną, którą kocham...

Nie, doprawdy, to sensu niéma, takie banialuki pisać. Przebac mi, pani moja najlepsza, uwzględniij to, że całą noc nie spałem, że zdenerwowany jestem. Choć to śmiesznie dziś o nerwach mówić; ja się tego wstydzę, od chwili, w której się przekonałem, że każdy stangret, każdy *groom*, każda panna służąca, nawet stróże noeni, na nerwy się skarżą. Zrobiła się to taka „*maladie bourgeoise*”, że kto choć

trochę ponad tuzinkowość wybić się myśli, nie powinien nigdy o swoich nerwach wspominać.

Ja tak nienawidzę wszystkiego, co trąci tak zwaną „*bourgeoisie*”, tak rozumiem Flaubert’a, choć on sam takim był nieraz typem znieawidzonego przez siebie gatunku. Ale ty pewnie nie znasz ani „*M-me Bovary*”, ani „*Salammbô*” etc.? Przeczytamy może kiedy razem; choćby na złość „jego doskonałości” Gasztoldowi będę ci dawał wszystko, wszystko do czytania. Jak on mnie wtedy gniewał, gdy ci z taką arbitralną miną zapowiadał, że „*Sapho*” Daudet’a nigdy nie postanie w twoich rączkach. Zobaczymy!...

Rączki te stokrotnie całuję.

Maks.

List Izy do Maksa.

Hońsk, d...

Wszystko robisz, co możesz, aby mi odwagę odebrać. Dlaczego? Zostaw mi moje iluzje — co ci to szkodzi, jeżeli mi one do szczęścia potrzebne?

Ja się jeszcze upieram i nie wierzę, to jest nie biore *à la lettre* słów twoich. A może też nie znam cię jeszcze?

Nie, nie lubię monotonii; ale wolałabym jednolitość w usposobieniu, w sposobie myślenia — to nie wspólnego z monotonią nie ma. Jeżeli nie chcesz,

abym cię na inną drogę nawracała, to, naturalnie, dam temu pokój; ale pozwól mi wierzyć, że przyjdzie czas, kiedy zupełna harmonia, zupełna jedność panować będzie w naszych zapatrywaniach. Teraz nawet myślę, że w głębi ducha zgadzasz się ze mną, ale miłość własna do kontrydykeji cię pobudza.

Ty nie możesz być materyalistą z przekonania. Pomyśl tylko! Świat, ograniczający się na materji, to absurdum. Gdyby materya władcą była, to dzieło rąk ludzkich przewyższałoby dzieło ducha ludzkiego; rolnik uprawiający ziemię, albo rąbiący drzewo na opał, stałby wyżej od Platona, od Shakespeare'a. Gdyby materya była władcą, to zdźbło słomy miałoby większą wartość, niż ła ludzka, bo zdźbło słomy przeistoczy się i odrodzi, na zasadzie, że nic w naturze nie ginie. A ła ludzka, a westchnienie, miałyby przepaść bez wieści? bez odrodzenia się? Więc spróchniały listek miałby mieć większą wartość od modlitwy ludzkiej? Przyznaj, że materyalizm, to absurdum. I przyznaj, że kochasz coś więcej we mnie, nietylko oczy, albo usta moje?

Szkaradny niedowiarku!

A może ty żartujesz tylko. Powiedz, że tak i nie bierz już przywiązania mego na próby. Niestety, moje serce tak dalece przeszło na twoją własność, że najgorsze herezye z twój strony mogłyby mnie tylko unieszczęśliwiać, ale nie już nie jest zdolne zmienić kierunku moich uczuć. Więc choćby dlatego,

mięj wzgląd na mnie i nie pisz, nie wyznawaj takich pogańskich teoryj.

Twój list jest zagadkowy; mnóstwo rzeczy pozostało dla mnie tajemnicą. POCO tobie te miliony, kiedy to co mamy, wystarczy nam aż nadto?

Czemu chcesz mnie przerażać jakiemiś domysłnikami, które takim niepokojem mnie napelniają? Wiedzisz, niepoczciwy ateusz, z twego powodu pierwsze łyzy wylałam, od czasu, jak zostałam pasowana na dorosłą pannę... bo nie liczę tych, które poświęciłam pamięci stariej księżnej — tamte nie bolały, a te — bolą.

Proszę cię, wracaj jak najprędzej. Zosia zaniepokojona, patrzy na mnie czasem badawczym wzrokiem i nie śmie o nie pytać, biedaczka, bo listów twoich nie chce i nie może jej pokazywać; a gdy się martwię wiadomościami, od ciebie odebranymi, stają się szorstką i niecierpliwą. Gdzież mnie się zdobyć na anielską słodycz i rezygnacyę Zosi?

Nie jestem teraz dla niej taką, jaką być powinna. Ona mnie tak smutnie zapytała wczoraj: „Czy nas Maks rozdzielił?”

Ja szorstko i niesprawiedliwie odrzuciłam: „prędzej Andrzej”.

Bo nie mogę znieść, aby choć aluzyą dotknięto ciebie w czémkolwiek. Mnie jednej wolno ciebie krytykować, nikomu innemu; a mnie, choć wolno, wolałabym nie mieć na czém oprzeć téj wolności.

Codzień mi smutniej. Gdzie się podział czas ten, kiedy wszystko brałam lekko, z uśmiechem lekceważenia. Niepokoję się o ciebie, a niepokój ten dziwnie wpływa na moje usposobienie. Każda godzina za rok się liczyć może, a ostatnie kilka tygodni, zdaje mi się, że dały mi patent na starą, doświadczoną kobietę. Codzień spoglądam w lustro i dziwię się, że nie siwieję. Czy nareszcie: „Do widzenia?”

Twoja

Iza.

List Maksa do Izy.

London, d...

Moja biedna Izo, ty filozofujesz, ja tymczasem głowę tracę i nie umiem się zdobyć na myśl jedną, któraby sens jakiś miała. Nie potrafię dziś odeprzeć argumentów twoich.

Powiedz mi: czy miałabyś odwagę pójść za mnie, aby prowadzić życie w smutnej mierności? Nie obawiałabyś się codziennej prozy życia? Umiałabyś odmówić sobie wielu rzeczy, które ci się niezbędnymi wydają.

Jestem człowiekiem zrujnowanym; osobisty mój majątek przepadł w spekulacji, która nietylko moje mienie pochłonęła.

Wieś, w której rodzice moi mieszkają, to wszystko, co im i mnie się zostało, a właściwie, co im się

zostało, bo ja mam tyle długów, że po ich śmierci Sitowie nie spłaci wszystkich ciężarów.

Wiem, że ty jesteś majątna, ale mnie upokarza myśl zależności od ciebie, a potem, twój majątek zaledwie jaką taką egzystencję zapewnić nam może; nigdy nie starczy na życie takie, o jakim dla ciebie marzyłem.

Zaryzykowałem bardzo wiele — źle zrobiłem; masz prawo mną pogardzać, ale taka była moja niepohamowana natura — życie całe. Wszystko, co było ryzykowném, ciągnęło mnie jak magnes. Żaluję, przykro mi, ale gdybym nie popełnił tego szaleństwa dziś, popełniłbym jutro, za rok, za lat dziesięć, bo mówiłem ci już: nie umiem zwalczać pokus, co więcéj nie widzę racji bytu w takiej walce z sobą samym.

Więc jestem zrujnowany. Ty nie możesz wychodzić za zrujnowanego człowieka. Cóżby na to siostra twoja powiedziała? Co „jego perfekeya” Andrzeja Gasztold?

Od trzech dni wiem już, że jestem bankrutem; chaos w moich myślach panuje, jestem w stanie niepoczytalnym. To jedno czuję, z tego sobie sprawę zdaję, że zawiniłem głównie przeciw tobie; to mi kamieniem ciąży na sercu i tylko twoje przebaczenie może mi jaką ulgę przynieść. A gdy mi przebaczysz, jeżeli mi przebaczysz, to powiedz, że mnie nie

kochasz, że nie dbasz o mnie. Powiedz — powiedz. Lepiej tak będzie.

Chciałbym, żebyś tego powiedziéć nie mogła, a czasem wolałbym, abys mnie znienawidziła; aby ci los mój obojętniał; abys nie dbała, czy żyję, czy nie żyję.

Rodziców żal mi także okropnie, ale takie już przeznaczenie przyniosłem z sobą na świat, że muszę unieszczęśliwiać tych, których kocham.

Nie potępiaj mnie, miej trochę współczucia. Odrzuć mnie — tego ci za złe nie wezmę. Wolno ci przeciąć ostatnią nitkę, która mnie wiąże do życia.

Ja nigdy, nigdy o życie nie dbałem. Nawet w chwilach szczęścia miewałem na dnie duszy uczucie niezadowolenia, czy przesyty — goryczy jakiegós. Oszołomiony byłem często, ale nigdy tak dalece, abym wartość do czegokolwiek przywiązywał. Życie, to smutna farsa.

Dawniej twoja siostra dała mi kilka chwil prawdziwego uniesienia, ale za ciężka, zanadto nużąca była dla mnie droga, abym mógł za nią dążyć. Zresztą, to uniesienie było tylko złudzeniem. Ciebie jednak kocham, o ile kochać umiem najsilniej i dlatego nie pozwolę ci być szczęśliwą. Śliczne przeznaczenie!

Jeszcze czas jakiś muszę tu zabawić. Napisz, choéby przez litość, słów kilka i pozwól mi, może po raz ostatni, ręce twe ucałować!

Maks.

List Izy do Maksa.

Hońsk, d...

Mój jedyny. Źle sądzisz i mnie i Zosię. Ona pierwsza dziwiłaby mi się bardzo, gdybym cię opuścić miała dla materyjalnej zmiany w położeniu twojem.

Czy mogłes na chwilę przypuścić coś podobnego? Chciałabym być obok ciebie w téj chwili, aby cię uspokoić i pocieszyć, bo widocznie rozdrażniony jesteś bardzo, a nie będę miała wypoczynku, dopóki cię w Hońku nie zobaczę.

Jak można się tak przejmować stratą majątku? Ty szczególniej, który tak lekko brales wszystko w życiu i sam mi mówił, że nic na świecie jednego westchnienia nie warte, jak możesz tak ubolewać nad czémś, co w każdym razie zupełnie drugorzędną gra rolę?

I ja się dręcę, i mnie smutno, smutno bardzo ale dręcę się twojem udręczeniem; smucę się, bo ty się smucisz — sam fakt finansowej ruiny jest dla mnie obojętnym. O ileż więcej znaczenia ma dla mnie myśl, że ty o życie nie dbasz, pomimo, że ja powinnam ci życie to zapewnić.

Pytasz, czy zniósę mierność, czy potrafię odmówić sobie wielu rzeczy?

Mierność, to takie względne pojęcie! Dla ciebie to jest miernością, co dla milionów dostatki i zbytki stanowi. Otóż, wmówimy w siebie, że dostatki te posiadamy, przy dobrej woli, uda nam się to bardzo łatwo.

Nawet Zingarę chętném sercem opuszczę, jeżeli tak być musi. Gdy o tobie myślę, przychodzi mi ciągle na pamięć zwrotka z piosnki, którą Zosia śpiewa:

„Chlebabym mu uprosiła,
Skrzypki za nimby nosiła”.

Nie, mój jedyny! Gdy się przekonałam, że ciebie kocham, wiedziałam, że to już na wieki — na złą, czy dobrą dolę.

Tylko bądź dobrej myśli, ta dola może być jeszcze dużo szczęśliwszą, niż sobie wyobrażasz.

Nie wmawiaj w siebie wielu złych rzeczy. To wszystko nieprawda. Jesteś szlachetny, prawy, dobry, kochany, najmiłszy człowiek na świecie. Szczególniej jesteś kochany, bardzo, bardzo kochany.

Gdy się jest tak kochanym, to przecież nie można być zupełnie nieszczęśliwym!

Gdybym brała dosłownie ostatni list twój, tobym oczy wyplakała, zamęczyłabym się; ale w chwili rozdrażnienia pisze się tyle rzeczy, o których się godzinę później nie myśli.

Jakżeś ty mógł żądać na chwilę, abym ci powie-

działa, że cię nie kocham? To był szkaradny żart z twojej strony. Ty wiesz dobrze, że na takie kłamstwo nigdy zdobyćbym się nie mogła.

Nie mów mi, że nie dbasz o życie. Odwołaj to prędko, bo niemilosiernie znęcasz się nademną, gdy mi takie rzeczy mówisz.

Chciałabym, żeby list ten mógł być pchnięty jaką siłą elektryczną, byś go w tej chwili mógł odebrać; aby cię doszedł napelniony tém serdeczném ciepłem uczucia, jakie do życia wiązać cię powinno.

Gdybyż to miłość cudów dokonywać mogła i prznosić siłą tęsknoty na miejsce, na którym być się pragnie! Popełnilabym rzecz najokropniej „*incorrecte*”, poleciałabym wyrwać cię z tego antypatycznego miasta i sprowadzić tu napowrót — do kraju, do rodziców, do mnie. Mój panie drogi, błagam cię, wracaj prędko. Nie wąż nigdy o mnie, bo byłoby to jedną z największych herezyj, do jakich jesteś zdolny.

Zosia kazała mi powiedzieć, że Hońsk niecierpliwie czeka na twe przybycie.

Ja ci obie ręce podaję, nie po raz ostatni, ale po raz tysięczny, prosząc Boga, abyśmy do śmierci ręką w rękę iść mogli.

Iza.

List Maksa do Izy.

Londyn, d...

Nie miej do mnie żalu, droga moja. Wierz mi, że to, co ci się na chwilę nieszczęściem wyda, jest jeszcze wielkiem wybawieniem dla ciebie. Nie miej do mnie żalu.

Ja żyć nie mogę. Nazwij to chorobą; umieram z choroby najwięcej wyczerpującej, bo każda chwila życia jest dla mnie męczarnią. Kilka dni dłużej takiej walki wewnętrznej, a skończyłbym pomieszanem z myślów, co przecież byłoby gorszem niż śmierć.

Dotychczas myśl o rodzicach i o tobie powstrzymywała mnie zawsze. Ale w końcu wyczerpuje mnie zanadto odpieranie pokusy. Pragnienie „*not to be*” stało się dla mnie myślą tak natrętną, tak narzucającą się, że nie ma innej rady — tak być musiało.

Nie martw się; pomyśl, czy to nie wszystko jedno, kilka lat prędzej, czy później. Czy to nie lepiej skończyć odrazu, jak człowiek wolną wolą obdarzony, niż cierpieć fizycznie i niedołączyć przed śmiercią, jak zwierzę, i bać się tej śmierci, wyglądając jej.

Ja wiem, że ty się nie zgodzisz na moje rozumowanie i to mi zatruwa myśl „końca”; inaczéj takbym

spokojnie żyć przestał! Cokolwiekby ci powiedział na moje uniewinnienie, nie wystarczy — wiem o tém. Ale choć to jedno chciał zrozumieć; że ja żyć nie mogę. Nie mogę!

Wymagać dłużej egzystencji odemnie, byłoby to wymagać aby człowiek w którym wszelkie warunki życia wyczerpały się, żył dłużej. Moja rola odegrana na świecie — wygląda na uciętą i niedokończoną; ale cóż na tej ziemi logicznie rozpoczętém i wykończoném bywa? Wszystko niedopowiedziane, kilka słów mniej, czy więcej, wszystko jedno. Jak to szaleństwa ludzkiego dowodzi takie tragiczne zapatrywanie się na śmierć! Widzimy ją dokoła, śmiercią tysięcy pokoleń żyjemy, a dla jednostki ta sama śmierć nas przeraża. Czy to nie jest najwyższą niedorzecznością? Jeden liść mniej na drzewie, kto spostrzeże? Jeden człowiek mniej na ziemi, to taki mikroskopijny ubytek! Niéma doprawdy o czém mówić, bo nie konieczniejszego i pospolitszego nad śmierć nie znajdziemy.

Nie miej do mnie żalu; lepiej, że kilka lat prędzej, niż później. Byłbym może powoli i po kropelce zatruwał twoje życie, a tak, usuwam się w porę jeszcze. Tyś taka młoda — zapomnisz.

W strunach, które składały moje moralne „ja”, brakowało jednej — struny szczęścia. Za to struna bólu drgała nieustannie, nawet kiedy się śmiałem i starałem się zagłuszyć ją na wszelki sposób. Już

mam dosyć tego — wolę umrzeć, niż oszaleć. I dla mnie i dla ciebie tak lepiej. Wierz mi, w mojej głowie taki nieraz chaos panuje, taki zamęt nie do opisania, że strach mnie zdejmuję, czy umysł mój nie rozstraja się nieuleczalnie, narówni z nerwami.

Chciałbym, żebyś była szczęśliwa; ty masz dane do tego. Ja nie; należę do tych, których Bourget nazywa „*impuissant du bonheur*”. Wiem, że czyn mój nazwą wszyscy potwornie egoistycznym; ale ja nazwałbym każdego gorszym egoistą, ktoby żądał odemnie, abym żył — kiedy żyć nie mogę.

Ciebie i matkę moją, której oddasz list załączony, błagam o przebaczenie. Wierzcie mi: dla was żyć chciałem, ale nie mogę!

Bywaj zdrowa, Izo moja! Może... może... „do widzenia”, gdzie... w przestrzeni!

Maks Wielogórski.

List Księżny Zofii do Hrabiego Andrzeja.

Hońsk, d...

Żądasz odemnie bliższych szczegółów tego okropnego wypadku, a ja nic nie wiem, głowę tracę i Boga tylko błagam, aby nie wpaść w rozpacz ostateczną. Iza tego nie przeżyje. Chciałabym przebaczyć Maksowi, że po szalonym żył i umarł, ale nie mogę mu darować, że złamał życie mojej siostry.

Wybacz, że tylko słów kilka ci przesyłam, ale

noc całą czuwałam przy Izie; teraz siostra miłosierdzia mnie wyręcza, kazała mi pójść spocząć trochę. Ale jakże ja mogę myśleć o spoczynku? To ironia. Mam sobie za obowiązek uwiadomić cię o wszystkim, wiedząc, że się niepokoisz, a żeś nam sercem oddany.

Iza zachorowała zaraz po odebraniu listu od Maksa. Od téj chwili nie odzyskała przytomności. Gorączka straszna — tyfus zdeklarowany. Doktorzy spodziewają się przesilenia pojutrze. Ja się tak boję — tak boję! Trwoga wszystkie władze umysłowe mi odbiera; nawet modlić się nie mogę.

Kończę już, zapewniając cię, drogi Andrzeju, o niezmiennéj przyjaźni mojej. Oby się Bóg zlitował nad nami! Nie śmiem nawet mieć nadziei, a umarłabym, gdyby mi ją odebrano.

Zofia Hońska.

D E P E S Z E.

Do Hrabiego Gasztolda — Wysomir.

Iza umarła.

Zofia.

Do Księżnej Hońskiej — Hońsk.

Przyjeżdżam wieczornym pociągiem.

Andrzej.

K O N I E C.



92440